

polska zbrojna

**NIEZBĘDNIK
DODATKI
STAŻOWE**

NR 1 (825) STYCZEŃ 2015

INDEKS 337 374 ISSN 0867-4524
CENA 6,50 ZŁ (W TYM 8% VAT)



**GEN.
MIECZYŚŁAW
GOCUŁ**

Podsumowuje pierwszy rok reformy systemu dowodzenia

POLSKIE LEOPARDY

**CZARNA
DYWIZJA
ZYSKA
POTEŻNĄ
PIĘĆ
UDERZE-
NIOWĄ**

DEKADA DRAPIEŻNIKA

ROSOMAK: PO FALI KRYTYKI PRZYSZŁA PORA NA SUKCES. TERAZ JEST DUMĄ NASZYCH ŻOŁNIERZY I SYMBOLEM MODERNIZACJI SIŁ ZBROJNYCH





WIELKA WOJNA

1914 - 1918

Prawdziwy koniec Belle Époque.

Zapraszamy na wystawę

MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

Al. Jerozolimskie 3, 00-495 Warszawa



PATRONI MEDIALNI



dzieje.pl

OWIA WIEKI

ODKRYWCA

Polska Zbrojna

SPONSORZY WYSTAWY





WOJCIECH KISS-ORSKI

ZACZEŁO SIĘ TYPOWO PO POLSKU. KANONADA KRYTYKI W MEDIACH I BZDURNE, NIEMERYTORYCZNE KOMENTARZE.

to wszystko było na tyle skuteczne, że o mały włos polska armia nie miałaby rosomaka, dziś wychwalanego pod niebiosa przez te same media. Dziesięć lat temu bowiem nagonka na nowy transporter odstręczała wszystkie banki od skredytowania uruchomienia produkcji. Generalnie zmierzaliśmy do klęski.

Tymczasem to, co stało się potem, dowodzi, że można, że upór i ciężka praca dają efekty i się opłacają. Z tego między innymi powodu w tym numerze „Polski Zbrojnej” właśnie rosomakowi poświęcamy czołowe artykuły. Treść w nich zawarta świadczy o tym, że w branży zbrojeniowej wcale nie musimy robić wszystkiego sami i od podstaw. Mądrze wybrana licencja, dobrze skonstruowana umowa, inwestycje w maszyny i przeszkolenie specjalistów to wystarczające gwarancje rozwoju. Dziś już nikt nie mówi o zakładzie w Siemianowicach jak o XIX-wiecznej manufakturze. Dziesięć lat polonizacji rosomaka dało wymierne efekty: są kooperanci, kilka tysięcy miejsc pracy, a wojsko ma świetny, rozwojowy sprzęt.

Nasz flagowy transporter okazał się odporny nie tylko na broń przeciwnika, lecz przede wszystkim na ataki rodzimych malkontentów. Zaryzykuję opinię, że stanie się prawdziwą perłą Polskiej Grupy Zbrojeniowej.

➤ Więcej o rosomaku na str. 12–35



nr 1 (825)
styczeń 2015



Zdjęcie na okładce:
Adam Rolik – Combat
Camera DORSZ

12 | NORBERT BĄCZYK
Dekada drapieznika

Po dziesięciu latach można stwierdzić, że rosomak się sprawdził. Od początku problemem był nie sam wóz, lecz sposób jego wdrażania.

18 | NORBERT BĄCZYK,
PIOTR BERNABIUK
Mocny argument

Płk Michał Kuraczyk mówi o atutach i mankamentach rosomaków.

22 | NORBERT BĄCZYK,
PIOTR BERNABIUK
Nasz wóz

Żołnierze 12 Brygady Zmechanizowanej dzielą się doświadczeniami z eksploatacji swoich transporterów.

26 | MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK
Lemury i szakale

O zwyczaju malowania symboli i grafik na pojazdach.

28 | NORBERT BĄCZYK
Marka: Rosomak

Adam Janik o jednym produkcie, na którym zyskało wielu.

30 | TADEUSZ WRÓBEL
Pancerne pokolenie

Historia pojazdów opancerzonych w powojennym polskim wojsku.

33 | TADEUSZ WRÓBEL
Koła w natarciu

Ośmiokołowce w armiach świata.

A. DWULATEK / CC DORSZ



armia

36 | BOGUSŁAW POLITOWSKI
Poligonowy konglomerat
Konsolidacja i specjalizacja – klucze do jeszcze efektywniejszego szkolenia.

40 | ARTUR GOŁAWSKI
Połączona siła wojska
Refleksje po roku funkcjonowania Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

44 | NORBERT BĄCZYK,
TADEUSZ WRÓBEL
Nasza domena to planowanie
Generał Mieczysław Gocuł o reformie systemu dowodzenia.

48 | NORBERT BĄCZYK
Bieg z przeszkodami
Wyzwania szkoleniowe dla czołgistów z polskich leopardów.

51 | MICHAŁ ZIELIŃSKI
W cieniu sokoła
Międzynarodowe ćwiczenia „Falcon '14”.

56 | BOGUSŁAW POLITOWSKI
Ćwiczenia z pazurem
Wspólne zmagania Polaków i Brytyjczyków na poligonie.

59 | MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK
Odrzutowe szkolenie
Rozmowa z płk. Konradem Madejem, pierwszym polskim certyfikowanym instruktorem na amerykańskim odrzutowcu T-38C.



62 | ŁUKASZ ZALESIŃSKI
Czternastki: ostatni rozdział
Mi-14PŁ odejdą ze służby w 2021 roku. Sentyment pozostanie.

JAROSŁAW RYBAK
65 | Potencjał tkwiący w sianie
Wojskowe wariacje na temat fraszki Sztajndyngera.

DYREKTOR WOJSKOWEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO

płk Dariusz Kacperczyk,
sekretariat@zbrojni.pl
tel.: +4822 684 53 65, 684 56 85,
faks: 684 55 03; CA MON 845 365, 845 685, faks: 845 503;
Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ

Wojciech Kiss-Orski,
tel.: +4822 684 02 22, CA MON 840 222; wko@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI

Aneta Wiśniewska, tel.: +4822 684 52 13, CA MON 845 213

ZASTĘPCY SEKRETARZA REDAKCJI

Katarzyna Pietraszek, tel.: +4822 684 02 27, CA MON 840 227;
Joanna Rochowicz, tel.: +4822 684 52 30, CA MON 845 230;
polska-zbrojna@zbrojni.pl

TEKSTY

Piotr Bernabiuł, Anna Dąbrowska, Paulina Glińska, Małgorzata Schwarzgruber, Tadeusz Wróbel,
tel.: +4822 684 52 44, CA MON 845 244,
+4822 684 56 04, CA MON 845 604;
Magdalena Kowalska-Sendeck, tel.: +48 725 880 221;
Wiktor Bater, Norbert Bączny, Robert Czulda, Jerzy Eisler, Andrzej Fąfara, Grzegorz Gielerał, Artur Gołowski, Włodzimierz Kaleta, Piotr Korczyński, Tomasz Ottowski, Bogusław Politowski, Jacek M. Raubo, Kacper Rękawek, Jarosław Rybak, Łukasz Zalesiński, Michał Zieliński

DZIAŁ GRAFICZNY

Marcin Dmowski (kierownik), **Paweł Kepka, Monika Siemaszko**,
tel.: +4822 684 51 70, CA MON 845 170

FOTODYTOR

Andrzej Witkowski,
tel.: +4822 684 51 70, CA MON 845 170

REDAKCJA TEKSTÓW

Renata Gromska, Barbara Szymańska, Urszula Zdunek,
tel.: +4822 684 55 02, CA MON 845 502

BIURO REKLAMY I MARKETINGU

Adam Niemczak (kierownik), **Anita Kwaterowska** (tłumacz),
Magdalena Miernicka, Małgorzata Szustkowska,
tel.: +4822 684 53 87, 684 51 80,
Elżbieta Toczek, tel.: +4822 684 04 00,
faks: +4822 684 55 03; reklama@zbrojni.pl

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE

TOPLOGISTIC, ul. Skarbka z Gór 118/22, 03-287 Warszawa,
tel.: +4822 389 65 87, +48 500 259 909,
faks: +4822 301 86 61; biuro@toplogistic.pl

Numer zamknięto: 19.12.2014 r.

DRUK

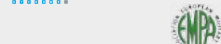
ARTDRUK ul. Napoleona 4, 05-230 Kobyłka, www.artdruk.com

PRENUMERATA

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl. Eventualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7.00-17.00. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

PARTNER

Narodowe Archiwum Cyfrowe.
170 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl



Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów. Egzemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: CA MON 840 400



arsenał

U S N A V Y

JACEK M. RAUBO
72 | Podwodna pięść Dawida
Izrael wzmacnia flotę okrętów podwodnych.



wojny i pokoje

N A C

PIOTR KORCZYŃSKI
100 | Z Syberii do Polski
Dzieje V Dywizji Strzelców Polskich.

ANDRZEJ FAFARA
106 | Mars rotmistrza Dobrzańskiego
Mniej poważny epizod z życia Hubala.

TADEUSZ WRÓBEL
110 | Latające katamarany
Od czasów I wojny światowej zaprojektowano kilkadziesiąt samolotów dwukadłubowych. Do produkcji weszło kilka.



strategie

M S

TOMASZ OTŁÓWSKI
82 | Kolonie kalifatu
Jeszcze pół roku temu żartowano sobie z planów Państwa Islamskiego. Dziś już nikomu nie jest do śmiechu.

KACPER RĘKAWEK
87 | Ogień zwalcza ogień
Najpierw strzelaj, potem pytaj – czyli antyterroryzm po egipsku.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
91 | Gra w pokera
Warsaw Security Forum 2014.

TADEUSZ WRÓBEL
94 | Wpadka generała
Czy niefortunne porwanie gen. Mory świadczy o sile kolumbijskich partyzantów, czy o słabości strony rządowej?

GRZEGORZ GIELERAŁ
96 | Eskulap w mundurze
Duże szpitale wojskowe w NATO.

WIKTOR BATER
99 | Niech ryczy z bólu ranny łos
Putin po ciemnej stronie mocy.

horyzonty

ANDRZEJ FAFARA
114 | Operator w ogniu
Sławomir Idziak o tym, dlaczego tak chętnie oglądamy filmy akcji.

PIOTR BERNABIUK
118 | Nic mi się nie udało
Jak smakuje zwycięstwo według kolarza Szymona Koziatka.

PAULINA GLIŃSKA
122 | Błękitna pustynia
O audiobooku nagrany przez dziennikarza Rafała Molendę.

BOGUSŁAW POLITOWSKI
124 | Monety wdzięczności
Zbiór coinów chor. Damiana Mrozka.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
134 | Migawki spod Hindukuszu
Wystawa zdjęć Marcina Ogdowskiego i Marcina Wójcika „Polski Afganistan”.

JERZY EISLER
146 | Ognisty łuk
O jednej z najdroższych produkcji w dziejach kina.

kadr

**BLISKO PÓŁ TYSIĄCA POLSKICH I KANADYJSKICH WOJSKOWYCH SZKOŁIŁO SIĘ
PODZAS ĆWICZEŃ „FALCON '14” NA PODKARPACKIM POLIGONIE. Żołnierze
25 Brygady Kawalerii Powietrznej oraz kompanii Oskar królewskiego pułku
korzystali ze śmigłowców Mi-8, W-3W Sokół, moździerzy, pocisków kierowanych
Spike i Carl Gustaf (na zdjęciu).**





ARKADIUSZ DWULATEK /
COMBAT CAMERA DORSZ
NOWA DEBA



Szacunek i wsparcie

Ruszyło Centrum Weterana Działań poza Granicami Państwa.

Centrum Weterana Działań poza Granicami Państwa zostało otwarte pod koniec grudnia 2014 roku. Placówka znajduje się w Warszawie przy ul. Puławskiej 6a. Jej budowę minister obrony Tomasz Siemoniak zapowiedział jesienią 2012 roku podczas wizyty w bazie w Ghazni w Afganistanie. Obiecał wtedy, że powstanie takie miejsce, które będzie jednoczyło wszystkich weteranów.

W Centrum weterani oraz rodziny poległych żołnierzy uzyskują pomoc i wsparcie, a w rozwiązaniu ich proble-

mów pomoże prawnik czy psycholog. Placówka będzie spełniać kilka funkcji: edukacyjną, promocyjną, informacyjną i konsultacyjną. Ma także podtrzymywać pamięć o tradycji i historii działań Wojska Polskiego poza granicami kraju. Będzie współpracować z organizacjami pozarządowymi zaangażowanymi w sprawy weteranów. Centrum zajmie się również gromadzeniem dokumentów, wspomnień i pamiątek związanych z misjami, a jego zbiory (sala tradycji oraz biblioteka) będą dostępne dla wszystkich

zainteresowanych tą tematyką. Przy budynku Centrum stoi pomnik Żołnierzy Poległych w Misjach i Operacjach Wojskowych poza Granicami Państwa, a na Ścianie Pamięci znajduje się 120 tabliczek z nazwiskami poległych na misjach.

Centrum Weterana Działań poza Granicami Państwa podlega dyrektorowi Departamentu Spraw Socjalnych MON. Dyrektorem placówki został ppłk Leszek Stępień, pierwszy żołnierz ranny w Afganistanie. MS

www.centrum-weterana.mon.gov.pl

ROBERT SUCHY / DPI MON

OGŁOSZENIE

Konkurs na rzecz obronności

Wiceprezes Rady Ministrów, minister obrony narodowej ogłasza III konkurs

„Na najlepszą pracę naukową i wdrożenie z obszaru obronności”.

Suma nagród w konkursie wynosi **200 tys. zł**. Na najlepszą pracę naukową lub rozwojową przewidziano **60 tys. zł**, w kategorii na najlepsze wdrożenie produktu, będącego efektem badań naukowych lub prac rozwojowych – **50 tys. zł**.

W konkursie mogą wziąć udział między innymi pracownicy wyższych uczelni, instytutów badawczych, towarzystw naukowych czy konsorcjów naukowo-przemysłowych.

Wnioski konkursowe należy kierować na adres:

Departament Nauki i Szkolnictwa Wojskowego MON,
al. Niepodległości 218, 00-911 Warszawa,
do 30 stycznia 2015 roku.

Regulamin konkursu jest dostępny na stronie internetowej:
<http://www.dnisw.mon.gov.pl>.



Wzmocnienie bezpieczeństwa

Rząd przyjął 9 grudnia 2014 roku

„Plan wzmocnienia bezpieczeństwa państwa”.

Dokument ten, przygotowany przez MON i BBN, jest odpowiedzią na toczący się za wschodnią granicą konflikt rosyjsko-ukraiński. 10 grudnia na jego temat dyskutowała Rada Bezpieczeństwa Narodowego. Prezydent Bronisław Komorowski, który przewodniczył posiedzeniu Rady, zapowiedział, że będzie zabiegał o poparcie dla programu

Rakietowe konsorcjum

Chcemy, żeby polskie konsorcjum – we współpracy z firmami zagranicznymi – było integratorem kompletnego systemu spełniającego wymogi stawiane przez Ministerstwo Obrony Narodowej przed systemem »Narew«, powiedział prezes zarządu Polskiej Grupy Zbrojeniowej SA Wojciech Dąbrowski. „Nasza oferta to realna propozycja, a nie koncept”, podkreślił. Oficjalne zawiązanie konsorcjum miało miejsce 11 grudnia 2014 roku w Radomiu. W jego skład wchodzi 11 spółek. Oprócz PGZ SA są to Zakłady Mechaniczne „Tarnów” SA, PIT-Radwar SA, PCO SA, Huta Stalowa Wola SA, Mesko SA, Wojskowe Zakłady Elektroniczne SA, Wojskowe Zakłady Łączności nr 1 SA, Wojskowe Zakłady

Uzbrojenia SA, Jelcz Sp. z o.o. i Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Centrum Techniki Morskiej SA.

„Narew” to nowy system rakietowy obrony powietrznej krótkiego zasięgu, który MON chce kupić. Inspektorat Uzbrojenia na początku listopada 2014 roku ogłosił zamiar rozpoczęcia dialogu technicznego w tej sprawie. Zestawy rakietowe mają mieć zasięg do 25 km i powinny zwalczać samoloty, śmigłowce, pociski manewrujące i bezałogowe statki powietrzne. Według planu modernizacji sił zbrojnych w grę wchodzi dostawa 9 baterii do 2022 roku i kolejnych w późniejszym terminie. „Jest o co walczyć, bo program może kosztować nawet 11 mld zł”, stwierdził Zdzisław Gawlik wiceminister Skarbu Państwa. WRT ■

Czterdzieści pocisków

Nigdy w historii nie mieliśmy tak nowoczesnej broni”, powiedział wicepremier i szef MON Tomasz Siemomniak w czasie ceremonii podpisania 11 grudnia 2014 roku w Krzesinach kontraktu na dostawę 40 pocisków AGM-158 JASSM oraz pakietu modernizacyjnego samolotów F-16. Za wszystko zapłacimy 250 mln dolarów. Dzięki amerykańskim

pociskom polskie jastrzębie będą mogły atakować strategiczne obiekty nieprzyjaciela, na przykład stanowiska dowodzenia czy węzły łączności, oddalone o kilkaset kilometrów. Umowa zakłada, że pierwsze pociski dalekiego zasięgu o obniżonej wykrywalności AGM-158 JASSM trafią do polskiej armii już za dwa lata. KW/PZ ■

wszystkich liczących się sił politycznych, także partii opozycyjnych. Będzie ono potrzebne między innymi przy przyjmowaniu przez parlament ustawy zwiększającej od 2016 roku wydatki na obronę z 1,95% do 2% PKB.

„Osiągnięcie szerokiego porozumienia wszystkich sił politycznych jest jednak możliwe”, przekonywał prezydent i przypomniał, że już w 2001 roku wszystkie partie poparły plan modernizacji technicznej sił zbrojnych oraz ustawę gwarantującą nakłady na obronność na poziomie 1,95% PKB. Prezydent nazwał plan wzmocnienia bezpieczeństwa „adekwatnym zarówno do możliwości Polski, jak i do obecnych zagrożeń”. Nie ujawnił jednak szczegółów, bo strategia jest dokumentem tajnym. Do publicznej wiadomości podano jedynie jej najważniejsze założenia.



MARTIAN KLUCZYŃSKI



Nowy prefiks

Zmieniają się wojskowe numery telefoniczne.

Od początku marca 2015 roku, wybierając wojskowy numer telefonu, trzeba będzie dodać przez dotychczas używanymi cyframi prefiks 261. Przez to wszyscy abonenci sieci w resorcie obrony będą stosowali numerację dziewięciocyfrową zamiast obecnej sześciocyfrowej. Taki numer wojskowego abonenta będzie obowiązywać z każdego miejsca w kraju, bez konieczności stosowania numerów kierunkowych. Ponadto abonenci resortów już nie będą wybierali w rozmowach wychodzących prefiksów dla sieci publicznej: lokalnej – 00, międzynarodowej – 01 czy międzymiastowej – 02. Numery te będą takie same jak z telefonu publicznego. Pozostaną natomiast prefiksy niezwiązane z połączeniami w sieciach publicznych, na przykład 03 jako wyjście do sieci NATO. Zmiany wynikają z dostosowania systemu numeracji wojskowej do modelu obowiązującego pozostałych operatorów. AD

„Rada zgodnie uznała, że priorytetem jest zamysł zbudowania w Polsce własnego systemu obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej”, relacjonował po spotkaniu Bronisław Komorowski. W przyszłym roku MON ma rozstrzygnąć przetarg na dostawę systemu obrony powietrznej średniego zasięgu Wisła. W 2015 roku ma się także rozpocząć procedura kupna rakiet systemu obrony powietrznej krótkiego zasięgu Narew.

Innym elementem, który ma przyczynić się do zwiększenia bezpieczeństwa Polski, jest rozwój infrastruktury wojskowej. Wśród zadań wytyczonych w strategii znalazło się także – o czym mówił gen. Stanisław Koziej, szef BBN – podejmowanie inicjatyw społecznych głównie w środowiskach proobronnych. JT/PZ ■



Nominacje i głosowanie

BUZDYGANY 2014

Od 21 lat Buzdygan – posrebrzaną replikę XVI-wiecznej oznaki godności rotmistrzowskiej – dostają ludzie nietuzinkowi, odważni w myśleniu i kształtujący nowoczesny wizerunek Wojska Polskiego. Żadne wyróżnienia w naszej armii nie wywoływały dotychczas tylu emocji i takiego zaangażowania w typowaniu kandydatów, w końcu radości i wzruszeń.

Tym, którzy w wojsku służą od niedawna, warto przypomnieć, że to prestiżowa i honorowa nagroda miesięcznika „Polska Zbrojna”, którą przyznajemy ludziom nieprzeciętnym. Od ponad 20 lat byli i są wśród nich najlepsi oficerowie i podoficerowie, znani politycy, wybitni dziennikarze, sportowcy, przemysłowcy, a także miłośnicy i sympatycy wojska. Często po naszym wyróżnieniu ich kariera zawodowa nabierała rumieńców – awansowali, stawali się znani.

Zgodnie z regulaminem, kandydatów do wyróżnienia pięcioma Buzdyganami zgłaszają przedstawiciele Ministerstwa Obrony Narodowej, Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych, Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych, inspektoratów, korpusów, brygad, pułków i instytucji związanych z armią. W lutym 2015 roku zbierze się kapituła złożona z ubiegłorocznych laureatów i wybierze pięć osób, które dostaną Buzdygan.

Jeden z sześciu Buzdyganów przyznajecie Wy. Od 10 do 24 stycznia 2015 roku Czytelnicy mogą bowiem zgłaszać na naszym portalu nominowanych do nagrody. Następnie od 29 stycznia do 12 lutego 2015 roku będzie trwało głosowanie na pięć osób spośród nominowanych. Buzdygan trafi do tego, kto zbierze najwięcej głosów. Wszystkich laureatów przedstawimy w kwietniowym wydaniu miesięcznika „Polska Zbrojna” i na naszym portalu polska-zbrojna.pl.

PolskaZbrojna



PIOTR
BERNABIUK

Strach się bać

CZY PAN SZEREGOWY WIE,
CO TO ZNACZY BAĆ SIĘ
O PONAD TYSIĄC LUDZI?



Generał powiedział, że się nie boi!”, z taką sensacyjną wiadomością przybiegł trzeciego dnia „trzepania” jednostki przez „kontrol” szef naszego pododdziału. „Idę sobie przez sztab korytarzem. Drzwi do sekretariatu wodza otwarte – stary żołnierz to ma bystre oko i czujne ucho – więc widzę, jak dowódca stoi z szefem sztabu i słyszę, jak mówi: »Nic nie zmieniamy. Wszystko idzie zgodnie z planem, a kontroli to ja się zupełnie nie boję. Na strach był czas i miejsce na misji«”.

Głuchą ciszę, jaka zapadła po tak sensacyjnej wieści, przerwał pomocnik dowódcy pierwszego plutonu, chor. Kasior: „To szef jakoś bardzo powoli szedł, że usłyszał takie długie zdanie. A poza tym żadna sensacja. Żołnierz powinien być odważny i nie bać się wroga”. Szef się zaperzył i odpalił: „Na temat żołnierskiej odwagi wolałbym z kolegą chorążym nie dyskutować. Wczoraj mieliśmy przykład...”. „Szefie, to był kamuflaż, chorąży wcale nie spanikował, ale chciał zmatolić tego gościa z kontroli. No, że niby drży przed autorytetem, żeby tamten poczuł się... No, szef wie...”, zaczął przełożonego bronić jeden z żołnierzy. Sierż. Przychodzki skierował jednak dyskusję na właściwe tory, żeby problem się nie rozmył w czczej paplaninie: „Zastanawiam się, dlaczego w żadnym regulaminie ani instrukcji nie piszą o strachu. Nie został na przykład sklasyfikowany i podzielony na prosty żołnierski, bardziej złożony na poziomie dowódcy plutonu i wreszcie generalski, taki na najwyższym poziomie. Bo proszę, obecny tu pan szeregowy Ubytek, ma poczucie strachu bardzo przyjemne, a odwagę dopiero na dorobku. Pracuje nad sobą. To widać. Szczególnie nad bicepsem. Myśli, że jak będzie silny, to inni będą się go bali. Zwróćcie uwagę, że żołnierze, którzy byli na misji i jeździli w patrolach, na ogół są raczej spokojni. Swoją strach tam wywieźli i zostawili”.

„Rychu, dobrze wiesz, jak było. Jak siedziałeś w rosomaku, szczególnie początkowo, to bez przerwy myślałeś o tym, że zaraz coś pie... i będzie po tobie. A jak się już zaczęło – a mieliśmy parę zdarzeń – to było tyle roboty, że o tym nie myśleliśmy. Z czasem wszystko zrobiło się normalne i dopiero w ostatnim miesiącu zaczęliśmy gadać, że coś nam za dobrze idzie. Wtedy zrobiło się trochę nerwowo”. Szer. Ubytek, który słuchał opowieści z otwartymi ustami, nagle przełknął ślinę i zapytał: „A generał jeździł z wami na patrol? No bo jak nie, to czego się bał?”.

„No jak? Generał na patrol? Generał miał swój własny strach, bardziej wyrafinowany. Bał się, proszę pana szeregowego, bardziej politycznie i na większą skalę, o to co powiedzą w Warszawie i kilku innych stolicach, o to jak przejdzie do historii, a już najbardziej bał się o swoich żołnierzy. Czy pan szeregowy wie, co to znaczy bać się o ponad tysiąc ludzi? Więc jak widzi tę »kontrol«, to wie pan... Po prostu się nie boi”. Rozmowa o strachu wyraźnie dodała nam odwagi. Biorąc przykład z przełożonego, przestaliśmy bać się kontroli, która tego dnia miała nadal dobierać się naszej kompanii do

skóry. I nagle chorąży, pomocnik dowódcy plutonu, zapytał: „Szefie, czego ty się najbardziej boisz na świecie?”. Szef się nie wahał: „Szczerze? Boję się, że będę musiał kolejną sprawę załatwić w naszym WOG-u”. Chorąży się tylko uśmiechnął: „A ja, od kąd rzuciłem palenie, najbardziej boję się tego, że żona przyłapie mnie z papierosem”.

|ROSOMAKI|

NORBERT BĄCZYK

DEKADA DRAPIEŻNIKA

Mija dziesięć lat od momentu, gdy nasza armia odebrała pierwsze rosomaki. Przez ten czas transporter przeszedł daleką drogę – od niesprawdzonej, krytykowanej konstrukcji po dumę sił zbrojnych i symbol modernizacji technicznej.



UB 02279



U S A R M Y



L

ato 2007 roku. Od kilku miesięcy w Afganistanie służyli polscy żołnierze pierwszej zmiany nowego, silnego kontyngentu w ramach natowskich ISAF, które przejęły odpowiedzialność za zrujnowane wojnami państwo islamskie. Jeden z oficerów czasowo został wówczas wezwany do kraju w dość nietypowej sprawie – miał przedstawić swym zwierzchnikom opinie żołnierzy na temat rosomaków, które od wiosny wykorzystywali na patrolach, a w razie potrzeby także w walce.

Jego opinia miała mieć duże znaczenie, gdyż kilka miesięcy wcześniej medialna nagonka, sugerująca niską jakość transporterów – pierwszy raz w swej historii kierowanych na misję – i niezapewnienie w nich bezpieczeństwa, zmusiła Ministerstwo Obrony Narodowej do serii spektakularnych decyzji. Przeprowadzono nowe testy rosomaków, strzelano do nich i detonowano pod nimi miny. Zamówiono dodatkowe opancerzenie. Złożono też publiczne deklaracje – jeśli wozy zawiodą, żołnierze nie będą ich używać w Afganistanie. Wprawdzie wiosną 2007 roku wysłano tam pierwsze 24 rosomaki, ale gdyby zawiodły, jako dublerzy miały im służyć leciwie BRDM-2 Szakal, które również załadowano na statki płynące

do Azji. Opinie, które przywiózł do kraju wezwany oficer, były jednak jednoznaczne – rosomak to najlepszy wóz, jaki do tej pory Wojsko Polskie dostało na misję. A szakale? Postąły trochę na parking, a potem cichaczem wycofano je z PKW Afganistan.

DZIESIĄTKA Z PRZYPADKU?

Rosomak, nazywany oficjalnie, choć niepoprawnie, kołowym transporterem opancerzonym, wszedł do wyposażenia Sił Zbrojnych RP wraz z końcem 2004 roku, a pierwsze dziewięć sztuk armia odebrała uroczyście na terenie Wojskowych Zakładów Mechanicznych w Siemianowicach Śląskich w styczniu 2005 roku. Wszyscy ci, którzy po dziesięciu latach od tamtych wydarzeń mogą wskazać rosomaka jako sukces modernizacji technicznej wojsk lądowych, muszą też pamiętać, że to jednak sukces dość niejednoznaczny, w jakiś też sposób przypadkowy, choć jednocześnie bardzo symboliczny. Symboliczny, gdyż to, że dziś w wyposażeniu Wojska Polskiego znajdują się te wozy, jest ściśle związane z naszym wejściem do NATO w 1999 roku.

Panowało bowiem wówczas przekonanie, że w przyszłości czeka na stabilizacja pozimnowojennego świata, w którym armie państw moźnych i bogatych będą wysyłane w zapalne, biedne rejony globu w celu doprowadzenia do nor-

ROSOMAKI ZYSKAŁY PRZYDOMEK „ZIELONE DIABŁY”.

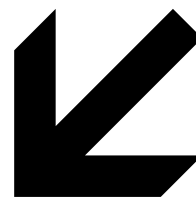
BUDZIŁY STRACH, PONIEWAŻ MOGŁY POJAWIĆ SIĘ WSZĘDZIE I O KAŻDEJ PORZE DOBY

malizacji. Aby jednak żołnierze nie zamienili się tylko w policjantów, wojska ekspedycyjne miały opierać się na tak zwanych siłach średnich – niemających w swoim wyposażeniu ciężkich czołgów czy samobieżnych haubic o trakcji gąsienicowej, ale jednak lepiej uzbrojonych niż jednostki lekkie, dysponujące tylko samochodami terenowymi i szcątkowym wsparciem artylerii. Siły średnie miały zostać wyposażone w transportery opancerzone o trakcji kołowej. Takie pojazdy dają ochronę przed bronią ręczną piechoty, mogą wspierać ogniem broni pokładowej desant, a dzięki wysokiej mobilności pokonują szybko duże przestrzenie lub służą do żmudnych patroli. Można też przewo-

zić je w dalekie rejony na pokładach dużych samolotów transportowych. Są doskonałym narzędziem działań manewrowych, pod warunkiem jednak, że wprzecznie się je w szerszy system zintegrowanego pola walki.

Gdy Polska przystąpiła do NATO, sojusznicy poprosili nas o wkład w tak rozumiane siły ekspedycyjne. Odpowiedzią było przyjęcie celu Sił Zbrojnych NATO oznaczonego kodem EL 0858, czyli wdrożenie odpowiednich pojazdów bojowych. Zakup kołowych transporterów opancerzonych (KTO) został wpisany do „Programu przebudowy i modernizacji technicznej Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej na lata 2001–2006” jako priorytet.

Przetarg, początkowo tylko na jedną brygadę z 215 woza- mi, ostatecznie rozstrzygnięty w listopadzie 2002 roku, opiewał aż na 690 pojazdów dla trzech brygad, w tym odmianę 6x6 (formalne podpisanie kontraktu nastąpiło w 2003 roku, później, w wyniku kryzysu finansowego w 2008 roku, obniżono pulę zamówienia do 570 pojazdów dostarczonych w latach 2004–2013). Jego szybkie zorganizowanie i rozstrzygnięcie było, jak na nasze standardy, czymś niezwykłym i faktycznie oznaczało sukces. Tym większy, że zamiast jednego związku taktycznego, przeznaczonych na misje zagraniczne, większa liczba transporterów pozwalała na wyposażenie aż kilku brygad. Była to zatem inwestycja, którą określa się dziś mianem komina inwestycyjnego. Przetarg, który ma wpływ na strukturę i efektywność całej armii. Wówczas wielkim zaskoczeniem okazał się natomiast sam obiekt wyboru – Armoured Modular Vehicle (AMV) z fińskiej firmy Patria, której rodzimym partnerem zostały →



Każdy z rosomaków, z armatą kalibru 30 mm, może rozszarpać człowieka na strzępy albo zamienić samochód terenowy lub ciężarówkę w dymiącą kupę złomu.

ARTUR WEBER

siemianowickie WZM. To bowiem WZM sprzedawały formalnie licencyjny pojazd wojsku – kontrakt miał pozwolić polskim zakładom i kooperantom na rozwój.

Oczywiście wygrała oferta formalnie najtańsza (4,9 mld zł), do tego w momencie wyboru istniejąca właściwie w postaci jednego prototypu. Tyle że od początku AMV był konstrukcją przemyślaną i, wbrew pozorom, dopracowaną – sprawdzony silnik, podzespoły od najlepszych firm na rynku, projektowanie z użyciem komputerów i ogromne doświadczenie fińskiej firmy Sisu (mającej już na koncie rodzinną transporterów XA-180/XA-203, a wówczas współpracującą z Patrią nad nowym projektem) gwarantowały jakość wyrobu. Wtedy jednak w Polsce nie wszyscy dawali wiarę temu, że oferta najtańsza, chociaż przecież nie tania, może być jednocześnie najlepsza. Dlatego jeszcze przez kilka lat w różnych mediach można było natknąć się na bezzasadne merytorycznie, tendencyjne artykuły i komentarze, przedstawiające AMV w jak najgorszym świetle. Pojazd miał tonąć, mieć pancierz niemal z papieru i wiele wad konstrukcyjnych, nie spełniać polskich oczekiwań, a zakład w Siemianowicach Śląskich przedstawiano jako dziewiętnastowieczną manufakturę zdolną tylko do przekształcenia w muzeum. Z powodu nagonki medialnej przez pewien czas WZM nie mogły znaleźć banku, który skredytowałby uruchomienie produkcji, mimo deklaracji MON o zamiarze kupowania transporterów.

KOŚLAWY PROGRAM

Problemem programu „Rosomak” od początku był nie sam pojazd, lecz koślawy system jego wdrażania do służby w Wojsku Polskim. Już nazwa programu: „Kołowy transporter opancerzony”, raziła brakiem precyzji. W naszej armii obowiązują normy, które dokładnie klasyfikują sprzęt wojskowy. Czegoś takiego jak KTO w nich nie ma. Regulaminy wojsk lądowych i międzynarodowe traktaty, takie jak CFE, także precyzują definicje systemów uzbrojenia – mamy w nich czołgi, bojowe wozy piechoty, transportery opancerzone, natomiast próżno w nich szukać kołowych transporterów opancerzonych.

Niuanse związane z nazewnictwem to jednak tylko specjalistyczna semantyka. To co od początku budziło najwięcej trosk w związku z programem „Rosomak”, było znacznie bardziej namacalne. Pierwotny kontrakt obejmował bowiem tylko wersje bojową i bazową. Ta ostatnia miała być w kolejnych latach podstawą odmian specjalistycznych, w tym wozów rozpoznawczych, dowodzenia, technicznych i medycznych. Dopiero wszystkie razem tworzyłyby one system – brygadę zmechanizowaną wyposażoną w wozy bojowe i pomocnicze o jednolitej trakcji, zdolne do jednoczesnego manewru.

Niestety, większość z odmian specjalistycznych zanotowała olbrzymie opóźnienia i dziś – dziesięć lat od chwili, gdy mury siemianowickich zakładów opuściły pierwsze rosomaki – wiele z nich wciąż czeka na wdrożenie. W armii teraz znajdują się: bojowy wóz piechoty w odmianach Rosomak, Rosomak M-1 i M-1M (dwie ostatnie to wersje afgańskie), transporter opancerzony M-3, KTO-S (przewozi obsługę i wyrzutnie ppk Spike, zwany spajkowozem), wóz wsparcia dowodzenia WSRiD, pojazd do nauki jazdy (NJ) oraz WEM – wóz ewakuacji medycznej. Wdrażany jest WPT. Nadal jednak czekamy na takie odmiany jak moździerz 120 mm Rak, dowódczy BMS (WD 3), serię wozów dowodzenia (WD, WD

W AFGANISTANIE ŻOŁNIERZE MOGLI WYKORZYSTYWAĆ WOZY DO MAKSIMUM, POZNAJĄC ICH REALNE MOŻLIWOŚCI I OGRANICZENIA

OPL Łowcza, WD OPL Rega), wóz rozpoznania technicznego (WRT) i rozpoznania skażeń – RSK – czy też szczególnie interesujące, choć kontrowersyjne, wozy R-1/R-2 dla pododdziałów rozpoznawczych. Nie wolno też zapominać, że dopiero na etapie prototypu jest ZSSW (zdalnie sterowany system wieżowy) dla następnej odmiany uzbrojonej w armatę kalibru 30 mm, a jego wdrożenie determinuje nie tylko uzbrajanie w rosomaki kolejnych batalionów piechoty, lecz także części brygadowych kompanii rozpoznawczych. Pełne ukończenie choć jednej brygady do poziomu 300 rosomaków zatem jeszcze trochę potrwa. W optymistycznym wariacie będzie to rok 2016, w realnym prawdopodobnie 2018.

Inercja z wdrażaniem wersji specjalistycznych przekłada się na możliwości bojowe związków taktycznych używających wozów. Przywołany już system jest tak silny, jak mocne jest jego najsłabsze ogniwo. Sieć łączności dowodzenia oparta na samochodach Honker za rosomakami jeszcze nadaży, przynajmniej do czasu, aż przyjdzie pododdziałom działać w trudnym terenie. Jak jednak za rozpędzającymi się na szosie do ponad 100 km/h „roškami” mają sprawnie się poruszać gąsienicowe wozy zabezpieczenia technicznego, projektowane do współdziałania z czołgami i z czołgów się wywodzące? Zresztą nawet pododdziały bojowe doborowych brygad, czyli 17 i 12 Brygady Zmechanizowanej, wciąż nie są jednorodne – część kompanii i batalionów piechoty zmotoryzowanej nadal używa gąsienicowych BWP-1, choć minęło dziesięć lat od decyzji, że te brygady mają przeisać się na koła.

MUSI PŁYWAĆ?

Problemy nie ominęły też i samego rosomaka. Pierwotnie miał pływać, być przenoszony w ładowni C-130, uzbrojony

w ppk, a w wersji rozpoznawczej mieć tylko sześć kół. Z tych wszystkich wymogów jedynie oczekiwanie uzbrojenia w przeciwpancerne pociski kierowane można uznać za pozbawione kontrowersji. Polski wymóg pływalności został spełniony, ale za cenę gorszego opancerzenia, które jest słabsze niż w oryginalnych AMV (fińskie wozy, tak jak szwedzkie, chorwackie, słoweńskie czy te budowane dla RPA, nie pływają). Ze względu na konieczność zachowania odpowiedniej wyporności, nie można za to zamontować dodatkowych sensorów. A zatem rosomaki pływają kosztem poziomu ochrony balistycznej, siły ognia i możliwości rozpoznawczych.

CZEKAJĄC NA OSTRZE

Siła ognia jest zresztą niepełna. Niestety, nadal nie ma w linii odmiany rosomaka uzbrojonej w ppk. I to pomimo że w tym samym czasie co KTO realizowano wielki program zakupu pocisków Spike. To czyni wóz niepełnym narzędziem walki. Doskonała armata kalibru 30 mm może być postrachem dla lżej opancerzonych wozów przeciwnika, ale gdy pojawią się czołgi, trzeba będzie „odskoczyć”. Mając ppk, można by się bronić. Oczywiście plany cały czas uwzględniają uzbrojenie pojazdu w taką właśnie broń i pod żadnym pozorem nie można z nich rezygnować.

W rosomaku widać jak na dłoni też coś, co można określić jako brak tożsamości na czas pokoju i wojny w naszej armii. Rosomak z Afganistanu i rosomak z Polski wyglądają jak bogaty i biedny brat. Wersje afgańskie, zwłaszcza M-1M, użytkowane w odległej i niebezpiecznej misji, były silniej opancerzone (nie pływały), doposażono je w środki łączności, obserwacji i pozycjonowania o większym spektrum. Podobno nawet paliwo lano do nich inne niż w kraju, bardziej wydajne. Żołnierze, jak nigdy wcześniej na poligonie, mogli wykorzystywać wozy do maksimum, a dzięki temu poznawać ich realne możliwości i ograniczenia. Serwis i dostawy części zamiennych były znacznie szybsze niż w Polsce. Można oczywiście powiedzieć, że „tamte” rosomaki zostały dopasowane do misji, ale to tylko część prawdy. Żołnierze desantu w Afganistanie zostali wyposażeni w dodatkowe kamery, aby lepiej widzieć z wnętrza wozu, dowódcy dostali więcej sprzętu łączności do sprawnej komunikacji, działonowi – duże przydziały amunicji, logistycy – sporo części i stała pomoc fachowców z przemysłu. Czyli coś, co jest potrzebne zawsze i wszędzie. Chyba że się założy, że w ojczyźnie sprzęt nie służy do efektywnej walki, lecz do szkolenia. Wtedy niedociągnięcia, braki, paraliżująca biurokracja, gorsze lub niepełne wyposażenie nie mają takiego znaczenia. Nabierają go dopiero na wojnie. Afganistan obnażył tę prawdę także w wypadku rosomaków.

A JEDNAK SUKCES

To właśnie misja w Afganistanie uczyniła z rosomaka symbol sukcesu, namacalny dowód postępującej modernizacji technicznej sił zbrojnych. Ani F-16 Jastrząb, ani ppk Spike nie zostały wysłane na operacje zagraniczne. Rosomaki – tak. Jednocześnie służyły w azjatyckim Afganistanie i afrykańskim Czadzie. Przez ponad dwa lata nosiły miano „szczęśliwych”. Aż tyle czasu potrzebowali talibowie, aby skonstruować ładunek wystarczająco silny, żeby spowodować śmierć żołnierza jadącego tym pojazdem. Partyzanci

długo „badali” nasze wozy, coraz bardziej zdesperowani ich żywotnością. Załogi „rosków” na ogół były krok albo i dwa przed przeciwnikiem. Wyposażone w nocne kamery termowizyjne, same w afgańskich ciemnościach były niewidoczne. Miały „doskonały wzrok” i bardzo „długie ręce” w postaci armat szybkostrzelnych zdolnych wypluć z siebie 200 pocisków w ciągu minuty. A każdy z nich, kalibru 30 mm, może rozszarpać człowieka na strzępy albo zamienić samochód terenowy lub ciężarówkę w dymiącą kupę złomu. Rosomaki zyskały przydomek „zielone diabły” (od koloru pancerza), ponieważ budziły strach u przeciwnika, a u sojuszników zainteresowanie, a potem nawet i zazdrość.

Wciąż ulepszone były doskonałą wizytówką naszej armii, która dostała pojazd idealnie odpowiadający celowi sił zbrojnych NATO wskazanemu przed dekadą. Na misjach takich jak Afganistan duże gabaryty i wysokość były wręcz zaletą, bo oznaczały wystarczająco dużo miejsca w środku, także na bagaż, wodę i wspomniane dodatkowe wyposażenie pokładowe. Rozmiary umożliwiały też dobrą obserwację otoczenia. Jako rasowe wozy bojowe rosomaki miały i niezłą siłę ognia, i znaczną mobilność. Nawet Amerykanie zaczęli bacznie się im przyglądać. Gigant zbrojeniowy Lockheed Martin nawiązał współpracę z Patrią, promując wóz nazwany za oceanem Havoc jako nowy transporter dla marines. Trudno o lepszą rekomendację.

FLAGOWY SPRZĘT

Na krajowym podwórku program „Rosomak” przyniósł wiele pozytywnych doświadczeń. W wymiarze przemysłowym WZM Siemianowice Śląskie (dziś Rosomak SA) stały się modelowym przykładem udanego zaabsorbowania licencji i rozwoju firmy dzięki stabilnie prowadzonej produkcji oraz świadczeniu usług związanych z produktem (szkolenia, naprawy). Program w ogóle przyniósł sporo korzyści dla przemysłu, ponieważ polonizacja rosomaka dała pracę setkom podwykonawców w Polsce. Dziś już nawet pancerze są produkowane u nas w kraju, a taka umiejętność to rzadkość, nawet w wysoko rozwiniętych przemysłowo krajach Europy.

Dla wojskowych księgowych program KTO, rok w rok generujący ponad pół miliarda złotych, oznaczał systematyczną realizację dużego kontraktu wieloletniego – a zatem realizację modelu uznawanego za optymalny dla modernizacji technicznej. Generałowie i planiści dostali sprzęt, który z marszu mogą zgłaszać do różnych misji zagranicznych wykonywanych pod flagami NATO lub Unii Europejskiej. Rosomaki pozwoliły nadać konkretny kierunek w rozwoju kilku brygad zmechanizowanych, zaliczanych do wojsk wysokiej gotowości. Wobec porażek i opóźnień programów takich jak „Krab” czy „Głuszc”, stały się wizytówką modernizacji wojsk lądowych. Żołnierze z linii odczuli satysfakcję, gdy dostali nowy, powszechnie podziwiany sprzęt. Ministerstwo Obrony Narodowej uznało program za perspektywiczny i w 2013 roku podpisano kolejny kontrakt na rosomaki, które w Siemianowicach Śląskich będą produkowane co najmniej do 2019 roku.

Po dziesięciu latach można stwierdzić, że program „Rosomak” trafił w swój czas i przyniósł naszej armii olbrzymie korzyści. Wóz się sprawdził. Sposób zaś jego wdrażania to już zupełnie inna historia. Powinniśmy wyciągnąć z niej wnioski na przyszłość. ■

MOCNY ARGUMENT

Z ppłk. Michałem Kuraczykiem

o doświadczeniach z rosomakami rozmawiają
Norbert Bączyk i Piotr Bernabiuk.

Panie Pułkowniku, pamięta Pan swoje pierwsze spotkanie z rosomakiem?

Pierwszy raz zobaczyłem ten wóz, kiedy w 2010 roku przybyłem do 17 Brygady. Przyszedłem wówczas jako major na stanowisko szefa sekcji S2 [rozpoznawczej] brygady. Wcześniej czytałem o tym pojeździe i widziałem go na zdjęciach.

Wówczas to był już dość znany wóz bojowy – rosomaki operowały w Afganistanie i Czadzie. Jakie było pierwsze wrażenie?

Na pewno był większy niż BWP-1 i BRDM-2, na których wcześniej służyłem. Znałem jednak parametry rosomaka, więc nie byłem zaskoczony. Zaraz po przybyciu do brygady zacząłem przygotowania do wyjazdu do Afganistanu, ale tam również pełniłem funkcję szefa rozpoznania brygady i nie miałem zbyt wiele czasu na zaznajomienie się z tym sprzętem. Oczywiście byłem zainteresowany możliwościami rosomaka, zwłaszcza uzbrojeniem i wnętrzem wozu, jego mobilnością. Jednakże w Polsce nie miałem okazji się nim przejechać.

Czyli tak naprawdę poznał go Pan dopiero na misji?

Dopiero w Afganistanie, ale w roli pasażera, a nie bezpośredniego użytkownika. Z perspektywy szefa S2 interesowa-

łem się przede wszystkim użyciem wozów w kontekście działań przeciwnika, stąd generalnie miałem dobre informacje na temat skuteczności rosomaków w walce ogniowej, manewrowości oraz przeżywalności załóg w razie porażenia wozu. Wiedziałem też, że żołnierze darzą go dużym zaufaniem. Nie wdając się w szczegóły, co się działo na naszej zmianie, realne doświadczenia potwierdziły opinię co do skuteczności i dobrej konstrukcji rosomaka. Pozwalał on na szybki manewr, przenoszenie silnego uzbrojenia i transport piechoty w dość komfortowych warunkach. Także załadowanie odpowiedniej ilości amunicji, wyposażenia, wody. Przyrządy optyczne umożliwiały dobrą obserwację. Odporność na wybuchy tamtejszych min domowej produkcji była duża, chociaż były ofiary wśród żołnierzy przebywających wewnątrz wozu. Żaden pojazd jednak nie jest odporny na wszystko.

Konkluzje z Afganistanu?

Choć wówczas nie byłem bezpośrednim użytkownikiem wozu, miałem dobre informacje o efektywności działań, co mi dało do myślenia na temat konstrukcji wozu i jego przydatności w działaniach zwanych asymetrycznymi. Rosomak doskonale sprawdził się na pierwszej linii, jako „mocny argument” dla wspieranej piechoty. Jako szef rozpoznania zauważyłem, że wóz umożliwiał szybki manewr w terenie, poza drogami. Na →



*Realne doświadczenia potwierdziły
opinię co do skuteczności i dobrej
konstrukcji rosomaka*



tle wozów amerykańskich z rodziny MRAP, których używaliśmy, odznaczał się lepszą manewrowością i przewagą siły ognia. Był też bardziej odporny na ostrzał z RPG. Tyle że dno wozu nie jest minoodporne, ale w tym wypadku istotny okazał się układ wielu kół. Jeśli Rosomak najechał na ładunek kołami, to w razie wybuchu utracił jedno lub kilka z nich i mógł jechać dalej. Eksplozja nie powodowała wówczas poważnych obrażeń wśród załogi.

Kiedy objął Pan dowodzenie batalionem piechoty zmotoryzowanej?

Po Afganistanie, w 2012 roku.

W czasie wojny partyzanckiej rosomak był królem pola walki, a teraz musiał Pan zapewne spojrzeć na niego z perspektywy zupełnie innych wyzwań taktycznych. Jakie wnioski nasuwają się po dwóch latach dowodzenia batalionem?

Rozumiem, do czego panowie zmierzają. W konflikcie pełnoskalowym nie jest to broń do bezpośredniej, czołowej konfrontacji z pododdziałami ciężkimi konwencjonalnego przeciwnika. Nie należy wysyłać rosomaków wprost na czołgi, nawet gdyby miały do samoobrony wyrzutnie ppk. Tyle że te wozy pozwalają na dynamiczne działania manewrowe, zwłaszcza na terenie z bogatą siecią dróg bitych i gruntowych, czyli takim jak w Europie. Umożliwiają wykonywanie manewrów oskrzydających, nagle przerzucenie piechoty w rejon działań, szybkie wsparcie, zajęcie rubieży ogniowych. Ale to nie jest wóz na bardzo ciężki, błotnisty teren. Chociaż rosomaki mają dużą zdolność pokonywania przeszkód terenowych, to jednak mniejszą niż pojazdy gąsienicowe, w tym BWP. Manewrowość to największa zaleta rosomaków, ich najmocniejszy atut. Może nie bez znaczenia jest charakter dowódców załóg i kierowców wyszkolonych na tych wozach. Ci ludzie, w większości mający doświadczenia afgańskie, są skłonni do energicznego manewrowania. Moi dowódcy pododdziałów, w tym trzech dowódców kompanii, dowodziło plutonami w „Afganie”. Tam nauczyli się sprawnego, szybkiego, skoordynowanego manewru.

Podobny manewr wydaje się oczywistością na wojnie, ale w czasie pokoju wyjechanie ciężkim sprzętem poza zamknięty poligon to nie lada wyzwanie...

Dzięki niezawodności technicznej, sile ognia i szybkości te wozy na drogach działają płynnie. Gdy dysponuje się prawie całym batalionem na kołach, to ruch tyłów można skoordynować z ruchem elementu bojowego. Nawet na ćwiczeniach na mapach jest to przyjęcia, że taki batalion jest w stanie się przemieszczać sprawnie, w miarę zwartym ugrupowaniem. Oczywiście taki efekt można też osiągnąć, gdy miesza się elementy gąsienicowe z kołowymi, ale wychodzi to mniej płynnie. Trzeba też przełamać w sobie pewną barierę, która jest efektem użytkowania wozów gąsienicowych w czasie pokoju. Dowódcy przyzwyczaili się, że pojazdami gąsienicowymi, takimi jak BWP, nie wyjeżdża się na drogi, są zatem przywiązani do poligonu. Tymczasem rosomakami można bardzo odważnie manewrować poza takim terenem. Większym wyzwaniem są tu procedury, biurokracja, ograniczenia formalnie, a nie technika.

Służył Pan w batalionie rozpoznawczym. Czy ponaddwudziestotonowy, wysoki jak ciężarówka, rosomak nadaje się do rozpoznania?

Manewrowość to największa zaleta rosomaków, ich najmocniejszy atut

Na pewno nie do klasycznego rozpoznania, rozumianego jako skryte przenikanie. Gdy tworzone nasze brygady na rosomakach, pod względem struktury wzorowano się na amerykańskich brygadach Stryker. Tam cały batalion rozpoznawczy ma takie wozy, a u nas mają je tylko kompania i plutony rozpoznawcze w kompaniach dowodzenia batalionów piechoty. Na pewno pozytywnym jest to, że rozpoznawcze wyposażone w wozy bojowe tego samego typu będzie mogło operować z taką samą szybkością, jak siły główne brygady. Plutonowi rozpoznawczemu na rosomakach będzie jednak ciężko w walce, bo nie jest to pełnowartościowy pluton piechoty. On tylko powieli strukturę z wozami BRDM – drużyna rozpoznawcza liczy cztery osoby. Już zwykła drużyna piechoty jest słaba, a ta jest jeszcze słabsza. Dobrze, że ich rosomaki niczym nie różnią się od pozostałych wozów batalionu piechoty, choć docelowo mają mieć dodatkowe sensory do rozpoznania.

Rosomaki jednak zastępują BWP-1. Czy to jest dobre narzędzie walki dla piechoty liniowej?

Rosomak, według norm i traktatów, jest bojowym wozem piechoty, tak jak BWP-1. Jest to jednak nieco inna konstrukcja i nierozsądnie byłoby uważać go za następcę BWP czy porównywać z pumą, bradleyem albo warriorem. Rosomak to jest silnie uzbrojony transporter piechoty. Wieża z armatą kalibru 30 mm skłania do traktowania go jako wozu bojowego, który może wykonać natarcie w linii, wspierając atakującą piechotę. Dlatego uważałbym z takimi pomysłami. W kontakcie z przeciwnikiem mającym czołgi, które dają przewagę ogniową, trzeba być bardzo roztropnym. Dowódca batalionu nie zawsze będzie w stanie uniknąć takiego kontaktu, a otwarty teren będzie zabójczy dla rosomaków. Praktyka ćwiczeń na symulatorach potwierdza, że ten wóz nie służy do walki w otwartym terenie, nawet ze wsparciem czołgów. Rosomaki mogą przerzucić piechotę w odpowiedni rejon, udzielać jej wsparcia, niemniej ich natarcie powinno następować tylko w określonej sytuacji taktycznej. Ze względu na wielkość wozu trzeba dobierać teren i ukrycia, żeby mógł on wykorzystać swoje walory, a minimalizować słabości. Nowoczesne czołgi, takie jak Leopard 2, potrafią bardzo szybko poruszać się w trudnym terenie. Rosomaki, nie wszędzie jednak za nimi pojadą. Choć szybkie, uszkodzą zawieszenie. Ponadto nawet

ze wsparciem czołgów będą narażone na duże straty w razie bezpośredniego kontaktu z bronią pancerną przeciwnika. Dlatego tak ważne są rozwój zintegrowanego rozpoznania i koordynacja działań z innymi jednostkami. Walki czołowej można uniknąć manewrem, wykonać odskok, zaatakować przeciwnika lub jego linie zaopatrzeniowe ze skrzydła.

Zamontowanie ppk nie rozwiązałyby problemu słabości uzbrojenia rosomaka?

W pewnym sensie tak. Zaczęć jednak od tego, że rosomak w porównaniu do BWP-1 już dziś jest bardzo dobrze uzbrojony. Porównywanie go z pojazdem z lat sześćdziesiątych mija się przecież z celem. BWP łatwo jest ukryć w terenie, bo jest niski, ale obserwacja z niego jest ograniczona. Pociski kierowane Malutka, używane niegdyś na BWP, były trudne w obsłudze, szkolenie zaś operatorów żmudne i stosunkowo mała była pewność trafienia celu ruchomego. Armata kalibru 73 mm miała ograniczoną wydajność ogniową i niewielką prędkość początkową pocisków. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych to było coś, ale później pojawił się BWP-2 i to raczej z jego uzbrojeniem można porównywać teraz rosomaka. Ma on 30-milimetrową armatę szybkostrzelną, której wydajność ogniową i parametry balistyczne oraz celność dzięki systemowi kierowania ogniem są bardzo dobre. Z powodzeniem możemy eliminować wozy opancerzone potencjalnego nieprzyjaciela. Czołgów jednak nie. Nie mamy ppk, a taka broń jest bardzo potrzebna. Rozstawiane w terenie spike'i są wprawdzie w kompanii wsparcia, ale nie ma mobilnych wyrzutni w wozach kompanii piechoty. Ćwiczenia „Gepard '13” wykazały małą skuteczność rosomaków w natarciu na czołgi. To nie jest nic odkrywczego. Ten wóz nie jest do walki z czołgami. Podobnie było w BWP – ppk służył przecież głównie do samoobrony piechoty w razie ataku wozów pancernych.

Pewnym mankamentem jest kanał obserwacji w paśmie światła widzialnego przy armacie 30 mm, który jest czarno-biały. Kolor tymczasem też jest przecież elementem identyfikacji. Jeśli jest światło widzialne, to chciałoby się widzieć barwę. Podam przykład z Afganistanu. Tam nie było wszystko jedno, czy się szuka czarnej, czy białej toyoty... a zawsze była biała. Również w kraju kolory są elementem identyfikacji celu. Żeby je zobaczyć, trzeba spojrzeć w inny celownik, pomocniczy. Dowódca na swoim monitorze nie ma takiej możliwości, chyba że użyje peryskopu. To jest wada. Innym mankamentem jest brak środków łączności: tylko jedno radio i brak wozów dowodzenia. Na pojazdach do szczebla plutonu wymaga to użycia protez w postaci radiostacji przenośnych montowanych na wieży czy w desancie.

Jest Pan zwolennikiem wdrożenia do służby wozu wsparcia bezpośredniego na bazie rosomaka z armatą kalibru 105 mm?

Skoro Amerykanie mają takie wozy w brygadach Stryker, Włosi w swoich brygadach, a Francuzi w pułkach, to dlaczego my nie moglibyśmy mieć takich? Taki wóz zwiększyłby naszą siłę ognia.

Jakie są mankamenty rosomaka?

Generalnie to bardzo dobry wóz, ale nie ma ideału. Najbardziej narażone na uszkodzenia są elementy układu jezdnego, mające bezpośredni kontakt z terenem, zwłaszcza półosie. To

najczulszy punkt pojazdu. Podobnie opony. Czasem zdarzają się wgniecenia pancerza, uszkodzenia pływaków, urywanie stopnia przy drzwiach desantu piechoty. Zimą niekiedy zamarza woda wewnątrz osłon i przegubów układu jezdnego. Kierowcy szczególnie muszą też uważać w czasie jazdy po terenie zmarzniętym, żeby nie dopuścić do uszkodzenia podzespołów. Należy pamiętać, że ogromny wpływ na poziom sprawności wozów ma wyszkolenie i doświadczenie załóg. Niedoświadczona załoga znacznie łatwiej uszkodzi pojazd.

No to zdaje się, że niedługo liczba awarii wzrośnie, gdyż kończy się 12-letnia służba szeregowych zawodowych, a większość kierowców czy działonowych to właśnie tacy żołnierze. Odejdzie sporo doświadczonych ludzi.

W 2016 roku ten proces faktycznie się nasili. Należy mieć nadzieję, że przeszkolenie nowych będzie odbywać się w miarę sprawnie.

A jak się Panu podoba pomysł, żeby na tak skomplikowanych i wymagających stanowiskach dotychczasowi szeregowi służyli w stopniu kaprała?

Jeśli to ma być sposób przedłużenia ich służby, i tylko dlatego mają zostać kapralami, to mi się nie podoba. Bo kapral jest podoficerem, a podoficer to dowódca. Podoficerowie mogliby być specjalistami, jest to kwestia przyjęcia pewnych rozwiązań i przyzwyczajenia się do tego. Wolałbym jednak kojarzyć kaprała z dowodzeniem, a nie z technikiem specjalistą. Moim zdaniem tacy żołnierze mogliby pozostać szeregowymi, ale ich służba byłaby wydłużana o kilka lat, pod warunkiem że spełnialiby normy sprawnościowe. To jednak kwestia przepisów i odgórnych regulacji.

Czy rosomak musi pływać? Wymóg wyporności przecież blokuje wiele programów modernizacyjnych tego wozu.

Z jednej strony, jak się popatrzy na liczbę spraw, które ów wymóg pływalności blokuje, to można się zgodzić z moim dotychczasowym dowódcą, gen. Rajmundem T. Andrzejczakiem, który uważa to za niepotrzebne. Z drugiej jednak pływalność zwiększa mobilność operacyjną.

Kompania piechoty zmotoryzowanej się przeprawi, ale już kompania wsparcia i dowodzenia batalionu – nie. Na co więc taka możliwość?

Nigdy nie było tak, że wszystkie wozy musiały pływać. Raczej wykorzystywano to jako element manewrowy do uchwycenia przyczółków. Choć, jak stwierdził jeden ze znanych mi saperów, w Polsce jest wiele miejsc, gdzie łatwo można wjechać rosomakiem do wody, ale bardzo mało, gdzie da się z niej wyjechać. Pływalność tego wozu wydaje się zatem nie tak istotna. Wyjazd z wody to najtrudniejsza część forsowania. Dobrych miejsc do tego jest w Polsce mniej więcej tyle samo, ile dogodnych brodów na rzekach. A nie zawsze saperzy będą mieli warunki, aby wysadzać przeciwny brzeg, zwłaszcza gdy jest broniony. ■

PŁEK MICHAŁ KURACZYK JEST DOWÓDCĄ
I BATALIONU PIECHOTY ZMOTORYZOWANEJ
17 WIELKOPOLSKIEJ BRYGADY ZMECHANIZOWANEJ.

**NORBERT BĄCZYK
PIOTR BERNABIUK**

Kojarzone są głównie z „cyfrową brygadą” z Międzyrzecza. Równie bogate doświadczenia na rosomakach zdobyli żołnierze szczecińskiej 12 Brygady Zmechanizowanej.

NASZ WÓZ



Dwa bataliony piechoty zmotoryzowanej na rosomakach – 1 bpzmot z 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej oraz 1 bpzmot z 12 Brygady – ćwiczyły niedawno na poligonie drawskim. I choć najnowsze wozy bojowe wojsk lądowych kojarzą się głównie z międzyrzeczką brygadą, gdzie trafiły jeszcze w 2005 roku, to niedługo potem ich użytkownikiem została również brygada szczecińska. Dziś żołnierze 1 Batalionu 12 BZ mogą pochwalić się imponującym doświadczeniem w eksploatacji tych wozów, tym bardziej że w jednostce służy wielu weteranów, nie tylko oficerów i podoficerów, lecz także szeregowych zawodowych ze stażem równie długim jak historia rosomaka w Wojsku Polskim.

MIGAWKI Z MISJI

„Wraz z końcem listopada 2012 roku pojechaliśmy w konwoju przez prowincję Ghazni na spotkanie z jedną z lokalnych starszyzn”, wspomina st. szer. Bartłomiej Rosołowski, żołnierz 1 bpzmot 12 BZ, kierowca rosomaka od 2008 roku. Na misjach spędził 13 miesięcy. „Wracaliśmy później tą samą drogą po własnych śladach, żeby ewentualnie zobaczyć, gdzie zostały ułożone w ziemi pułapki. W wiosce byliśmy jednak na tyle długo, że podłożono ładunek pod naszymi śladami i go zamaskowano. Ajdik wybuchł między pierwszym a drugim lewym kołem. Dwa koła wyrwało razem z piastami i wahaczami, oderwało fragmenty dodatkowego pancerza i siatki LSO.

Siła podmuchu



była tak duża, że puściły zaczepy wjazdu i ten się otworzył. Na całe szczęście, bo inaczej fala uderzeniowa złamałaby mi kark. Podobnie dowódca i załoga – zostali tylko muśnięci podmuchem. Skończyło się na obtarciach i potłuczeniach. Akumulatory wpały do przedziału desantu, ale utrzymały się na przedkach, które są dość grube”.

„Po eksplozji żołnierze jadący w pojeździe zostali ewakuowani. Podeszedłem do wozu, stwierdziłem, że jego stan jest na tyle dobry, że można jechać dalej. Gdy ajdik urwie tylko jedno koło lub dwa, nie ma to wpływu na mobilność rosamaka. Po ustawieniu na miejscach akumulatorów wóz mógł jechać dalej”, dodaje kpr. Michał Wojciechowski, dowódca załogi. Wojciechowski służy na rosamakach od 2006 roku, czyli od momentu, gdy pierwsze wozy dotarły do szczecińskiej brygady. W Afganistanie spędził łącznie 16 miesięcy, osiem jako kierowca i drugie tyle jako dowódca załogi.

„Po opatrzeniu powierzchownych ran razem z kapralem zdecydowaliśmy o kontynuowaniu jazdy”, opisuje Rosołowski.

„Wsiadłem z powrotem do mocno przechylonego wozu i, ryjąc przodem po asfalcie, tak że zostawały w nim bruzdy, dojechałem do bazy. Na miejscu przekazałem go do naprawy. Gdy rosamak straci dwa koła, trzeba włożyć więcej siły w kiero-

wanie nim, ale dojedzie. A kiedy na skutek wybuchu stracimy płyn hamulcowy, są inne możliwości zatrzymania wozu. Jak się rozleci skrzynia biegów, mamy jeszcze awaryjną. Jak »pójdą« akumulatory od wieży, to możemy naprowadzać ręcznie. To żywotna konstrukcja”, konkluduje starszy szeregowy.

W Afganistanie używano kilku odmian rosamaka, nie tylko bojowego wozu piechoty (BWP) i transportera opancerzonego, lecz także wozu ewakuacji medycznej (WEM). Jak bardzo ważne są używane przez pododdziały wersje specjalistyczne pojazdów bojowych, zastępujących samochody ciężarowe czy terenowe, pokazał właśnie Afganistan.

„Miałem rannego w kontakcie ogniowym. Załoga WEM-a uratowała mu życie. Żołnierz został natychmiast przetransportowany do medycznego rosamaka, który towarzyszył patrołowi. Poszkodowanego można było położyć. Gdyby nie taki wóz, trzeba by zwolnić pojazd bojowy, wyrzucić z wnętrza cały desant. WEM jest mobilny i może sprawnie poruszać się pod ostrzałem. Nie musi, jak karetka, przepychać się po zablokowanej, zatarasowanej drodze. Załoga zjechała z niej w teren i, omijając kawalkadę pojazdów, opuściła zagrożony rejon, aby szybko udać się do miejsca, gdzie wylądował śmigłowiec Medevac”, wyjaśnia por. Maciej Szyłkowski, zastępca dowódcy 2 Kompanii 1 bpzmot, od 2009 roku, czyli zaraz po ukończonej szkole oficerskiej, służący w batalionie piechoty zmotoryzowanej na rosamakach.

„Afganistan faktycznie pokazał przydatność rosamaków. W patrolach często poruszałem się MRAP-em, ale bez naszych wozów czułbym się mniej bezpiecznie. To pojazdy typowo →



ADAM ROIK / COMBAT CAMERA DORSZ

bojowe. Dzięki termowizji w wieży zapewniają dobry wgląd w teren. Doświadczony dowódca czy działonowy mógł szybko dostrzec ewentualne zagrożenie, zwłaszcza w nocy, gdy skanowaliśmy otoczenie właśnie celownikami termowizyjnymi. W razie zagrożenia nawet z 2 km można porazić cel z pokładowej armaty”, dodaje por. Maciej Szyłkowski.

Przydatne były również transportery opancerzone, czyli rosomaki wyposażone tylko w broń maszynową obsługiwaną ręcznie. „Wjeżdżając do wiosek, w ciasne uliczki, mogliśmy liczyć właśnie na transportery. Zamontowane na nich karabiny maszynowe miały bardzo szerokie kąty ostrzału, bo rosomaki z wieżami, wyposażone w długie lufy armat, nie mogłyby tam użyć głównego uzbrojenia”, dodaje Szyłkowski. Zastrzega jednak, że zasadniczymi zaletami wozu są manewrowość i siła ognia, co wpływa na dużą efektywność użycia w działaniach patrolowych, a to w Afganistanie miało ogromne znaczenie.

LATA PRAKTYKI

Żołnierze służący na rosomakach podkreślają, że aby dobrze opanować ten wóz, jest potrzebna praktyka. „Na początku, gdy dostajesz nowy pojazd, jeden z najnowocześniejszych w wojsku, twoja fascynacja miesza się ze strachem. Bo używanie rosomaka za 10 mln zł to duża odpowiedzialność. Boisz się, że coś uszkodzisz, zwłaszcza delikatne systemy celowniczo-optyczne, wymagające uważnej i fachowej obsługi. Dlatego wielu żołnierzy obawia się korzystać na poligonach ze sprzętu w 100%, są ostrożni. Pewność przychodzi z czasem, wraz z doświadczeniem. Moim zdaniem potrzeba co najmniej trzech lat działań ćwiczebno-bojowych, aby odpowiednio wyszkolić działonowego. I to pod warunkiem właściwego, czyli częstego dostępu do poligonu”, opisuje st. szer. Adrian Gregorowicz, działonowy – operator w rosomaku, z siedmioletnią praktyką na wozie, z czego 22 miesiące spędził w Afganistanie.

Abymy zdobyć takie umiejętności, trzeba albo używać tego wozu długie lata w kraju, albo mieć doświadczenie z Afganistanu. A najlepiej jedno i drugie, bo na jednej, dwóch zmianach załogi miały tam okazję wystrzelić z armaty więcej amunicji niż przez całą służbę w kraju. Dotyczy to także amunicji podkalibrowej, z której w Polsce nie strzela się ze względu na reżimy bezpieczeństwa (duży zasięg lotu). Podobnie kierowcy – na misji mogli „cisnąć” z pojazdów, ile się dało, zdjęto bowiem ograniczniki mocy silników. Spalały więcej paliwa, szybciej się zużywały, ale zamiast 360 KM czasu pokoju dostępne było 500 KM czasu wojny. W PKW logistyka służyła żołnierzom, nie ograniczała ich możliwości.

W odniesieniu do rosomaka Afganistan to słowo klucz, bo ta misja pokazała, że jeśli wóz jest dobry, a system wydajny, będzie sukces. W kraju wóz też się sprawdza, ale gorzej przedstawia się sprawa ze sprawnością systemu. „W warunkach bojowych można było liczyć na niezawodność rosomaków, bo mieliśmy pod ręką rozbudowany serwis z doskonałym zapleczem logistycznym, zapasami części. Jeśli na patrolu coś się zepsuło, serwis wykonywał wszystkie prace na bieżąco. W garnizonie czy na poligonie natomiast nie zawsze można szybko zdiagnozować przyczynę usterki czy wymienić podzespół. Nie mam zastrzeżeń co do jakości napraw, ale procedury pozyskiwania części oraz płynów eksploatacyjnych, a także czas realizacji zamówień stanowią poważne wyzwanie”, zauważa mjr Piotr Puchała, zastępca dowódcy – szef sztabu 1 bpzmot 12 BZ.

Wśród żołnierzy batalionu panuje zgodna opinia, że dostawy części zamiennych i podzespołów nie są najlepiej zorganizowane. „Czasem prosta z pozoru rzecz może stanowić problem. Dotyczy to choćby oringów czy simeringów do uszczelniania kamer termalnych. Nie mamy ich w brygadzie. Podobnie jest z klockami hamulcowymi, piastami, śrubami do przegubów. Jak w prywatnym samochodzie klocki są wyrobione albo stuka piasta, to jedzie się do mechanika i wymienia. U nas składa się zapotrzebowanie i trzeba czekać. A wóz wtedy stoi nieużywany, co wpływa na terminy szkoleń, gotowość załóg”, zauważa por. Maciej Szyłkowski. „Oczywiście, gdyby wybuchła wojna, pojechałby i bez tego, ale w czasie pokoju rosomakiem lub pracy w jego wieży. Choć żołnierze przechodzą szkolenia w Siemianowicach, prawdziwe doświadczenie zdobywają w praktyce. 80% młodego wojska psuje ten wóz. Później, po nabyciu praktyki na misjach i poligonach, gdy ludzie już wiedzą, jak postępować, wozy zaczynają jeździć i są sprawne. Wówczas dopiero jest dużo pojazdów stale gotowych do akcji”, wyjaśnia kpr. Michał Wojciechowski.

Sprawność sprzętu jest wprost proporcjonalna do doświadczenia żołnierzy. W czasie pokoju intensywne szkolenie to najlepszy sposób na ograniczanie usterek powodowanych przez młodszych, jeszcze niedoświadczonych członków załóg. „Do uszkodzeń wozów z winy załóg najczęściej dochodzi z powodu braku umiejętności jazdy rosomakiem lub pracy w jego wieży. Choć żołnierze przechodzą szkolenia w Siemianowicach, prawdziwe doświadczenie zdobywają w praktyce. 80% młodego wojska psuje ten wóz. Później, po nabyciu praktyki na misjach i poligonach, gdy ludzie już wiedzą, jak postępować, wozy zaczynają jeździć i są sprawne. Wówczas dopiero jest dużo pojazdów stale gotowych do akcji”, wyjaśnia kpr. Michał Wojciechowski.

LEPSZE WROGIEM DOBREGO

Dzięki zdobytemu doświadczeniu żołnierze postrzegają dziś rosomaka nie tylko jako najnowocześniejszy w swojej klasie wóz bojowy naszej armii, lecz także jako sprzęt, który trzeba ulepszyć. „Może on służyć nawet 40 lat. Jeśli tak będzie w istocie, w tym czasie powinien doczekać się co najmniej dwóch poważnych modernizacji; pierwszej kilkanaście lat od wdrożenia”, zauważa mjr Puchała. I dodaje: „Z punktu widzenia batalionu jako całości, pododdziału mogącego w dużej mierze wykonywać zadania bojowe samodzielnie, bezwzględnie jest potrzebne wprowadzenie rodziny wozów bojowych jako komplementarnego modułu bojowego. Z niecierpliwością czekamy na samobieżne moździerzce, czyli raki dla kompanijnego modułu wsparcia, na wozy dowódczo-sztabowe. Także na doposażenie dowódczych BWP w przynajmniej dwie radiostacje UKF i jedną KF. Dopiero to będzie podstawą umożliwiającą zamontowanie modułów wsparcia dowodzenia C3I”.

Dzisiejszy rosomak, czyli bojowy wóz piechoty z wieżą Hitfist-30P, również można znacząco ulepszyć. Użytkownik zgłosił, jak do tej pory, kilkaset uwag i propozycji zmian, z czego część została uwzględniona. Inne, choćby z racji kosztów czy ograniczeń masowych dla pojazdu mającego pływać, nie zostaną raczej szybko zrealizowane. „W naszym klimacie, jeśli chodzi o celowniki działonowego, kamerę dziennonocną, pewne problemy mogą wystąpić w czasie deszczu lub zamglenia. To są urządzenia opoatelekroniczne, podatne na zaparowanie lub wilgoć, a nie mają wycieraczki bądź osuszacza. A w taką pogodę byłyby bardzo przydatne”, wyjaśnia st. szer. Adrian Gregorowicz. „Na misji przez krótki czas jeździłem jako do-



Dla nich „Rosiek” to sprawdzone narzędzie walki, choć niejedno można w nim jeszcze ulepszyć.

ŻOŁNIERZE Z 12 BZ SĄ ŚWIADOMI WARTOŚCI WOZU, ALE TEŻ Z WŁASNYCH DOŚWIADCZEŃ WIEDZĄ, CZEGO MU BRAKUJE

wódca załogi i wówczas głównym mankamentem było to, że w trakcie prowadzenia obserwacji z użyciem optoelektroniki dowódca załogi widzi na swym monitorze to samo, co działonowy. Dwoje ludzi patrzy zatem w tym samym kierunku, tam gdzie jest skierowana armata. Bo tylko tam jest zwrócona też kamera, a w nocy to jedyne źródło obserwacji. Brakuje drugiej, niezależnej kamery dziennie-nocnej, która zapewniłby ogląd w promieniu 360 stopni”, opisuje plut. Jakub Gabryś, dowódca drużyny, mający pięcioletnie doświadczenia na rosomakach. W Afganistanie służył na analogicznym stanowisku przez osiem miesięcy. „System nawigacji jest zamontowany u kierowcy. Tymczasem powinien być u dowódcy, bo to on decyduje, którą drogą należy jechać”, dodaje.

„Nowoczesne wozy bojowe, zwłaszcza czołgi, są wyposażane w system »hunter-killer«, dzięki któremu dowódca może wyszukiwać cel za pomocą niezależnej głowicy obserwacyjnej, pracującej w dzień i w nocy. W rosomaku dowódca ma klasyczne peryskopy, więc w dzień na małych odległościach może prowadzić obserwację i przekierować uzbrojenie pokładowe w miejsce zagrożenia, ale jest potrzebne znacznie wydajniejsze, stabilizowane urządzenie ze wspomnianą funkcją przekierowania”, dodaje mjr Puchała, który podkreśla, że to, co niegdyś wydawało się dostępne tylko dla czołgów, a zatem najdroższych i najbardziej zaawansowanych wozów bojowych, dziś wprowadza się także w BWP. „Świadomość sytuacyjna desantu i zarazem dowódcy drużyny, gdy miejsce w wieży zajmuje dowódca załogi, jest niewielka przy zamkniętych włazach”, kontynuuje plut. Gabryś.

W wersji afgańskiej pojawiają się kamery boczne, co poprawiło sytuację. Nie jest to jednak idealne rozwiązanie. „Kiedy siedzę w przedziale desantu, widzę na ekranie takiej kamery to,

co mam za sobą, a nie za burtą, na którą patrzę, co wprowadza w błąd w chwili wyjścia z wozu. Drugi problem to umieszczenie tej kamery. Nie zapewnia ona możliwości obserwowania tego, co się znajduje na kierunku ruchu pojazdu. Ponadto jest słabo wydajna w nocy. W ostrym słońcu czy gdy jest śnieg, również pozostawiała wiele do życzenia”, dzieli się swymi spostrzeżeniami dowódca drużyny. „Z tego względu bardzo ważne jest odpowiednie skoordynowanie pracy dowódcy wozu i dowódcy drużyny, bo tylko ten pierwszy ma właściwy ogląd terenu, musi uważać, aby nie wypuścić desantu w miejscu niebezpiecznym”, dodaje plut. Gabryś.

„Olbrzymim mankamentem jest dostępność w wozie tylko jednej radiostacji pokładowej”, przyznaje por. Maciej Szykowski. „Mój radiotelefonista, podróżujący ze mną w przedziale desantu, ma drugie, plecakowe radio TRC 9200, które służy mi do kontaktów z plutonem. Tymczasem ono powinno być zamontowane w wieży lub kadłubie. Właśnie w wozie dowódcy”. Żołnierze podkreślają, że system łączności ma wiele wad. Najbardziej irytujące są jednak... słuchawki. Na oboje uszu i z takim poziomem decybeli, że można ogłuchnąć.

Żołnierze z 12 BZ są świadomi wartości wozu, ale też wiedzą, czego mu brakuje. Mankamenty techniczne eliminuje się stopniowo wraz z poprawkami dokonywanymi przez zakład produkcyjny. Nie są to zresztą większe problemy. Lepsze jest jednak wrogiem dobrego. W rosomaku drzemie duży potencjał modernizacyjny. A ci, którzy mieli okazję używać tych wozów w Afganistanie, chcą, aby w kraju można było to robić na podobnych zasadach. Tym bardziej że za kilka lat większość szeregowych z afgańskim doświadczeniem odejdzie z armii, skończą się bowiem 12-letnie kontrakty. A chodzi o to, żeby wiedza tych żołnierzy przydała się następcom. ■

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Lemury i szakale

Emblematy jednostek, imiona kobiet, ksywy żołnierzy albo grafiki zwierząt – takie osobiste adnotacje pojawiały się na rosomakach stacjonujących w Afganistanie.

Malowanie różnego rodzaju symboli i grafik na pojazdach jest zwyczajem, który żołnierze piechoty podpatrzyli u lotników”, stwierdza ppłk Rafał Miernik, dowódca 7 Batalionu Strzelców Konnych Wielkopolskich i dodaje: „To zwyczaj, który buduje morale i kształtuje przynależność do swojego pododdziału, dlatego nigdy nie widziałem w tym nic złego”. Ppłk Miernik dowodził Zespołem Bojowym „Alfa” podczas IX zmiany kontyngentu w Afganistanie.

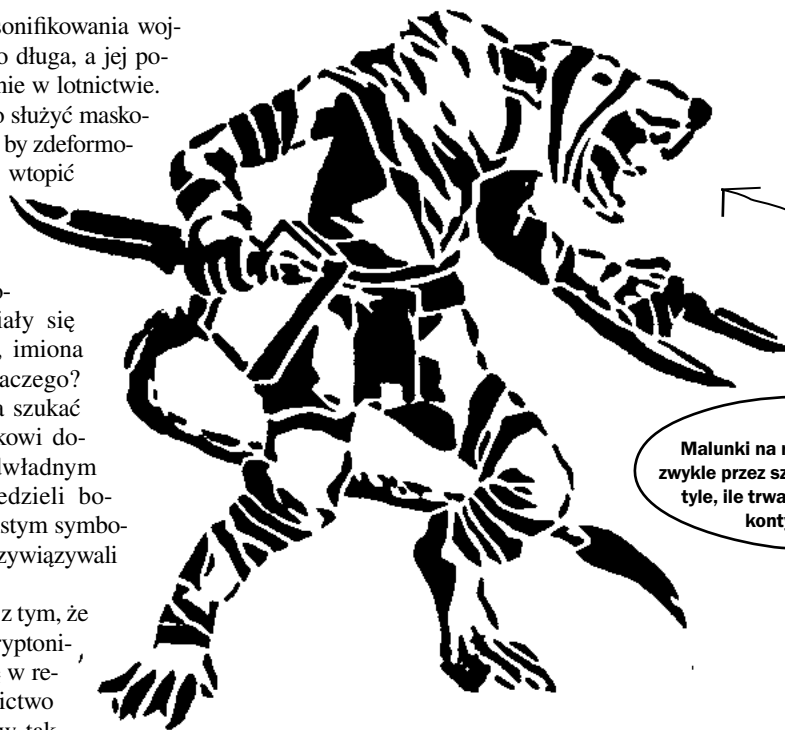
ale o »lemurach«. I tak wszyscy wiedzieli, o kogo chodzi”, wyjaśnia ppłk Miernik.

Por. Piotr Sromala jest dowódcą plutonu w 7 Batalionie. Ksywę dostał jeszcze przed wyjazdem na misję. „Przechodziliśmy bardzo intensywne przygotowania. Szkoliliśmy się na poligonach, marzliśmy na strzelnicach. Któregoś razu po zajęciach przysnąłem. Na drzemce przyłapał mnie dowódca kompanii. Stwierdził, że śpię jak lemur. Dowódcy innych plutonów szybko podłapali ksywę. I tak ja zostałem »lemurem królewskim – Julianem«,

JAK ASY LOTNICTWA

Tradycja zdobienia i personifikowania wojskowych maszyn jest bardzo długa, a jej początków trzeba szukać właśnie w lotnictwie. Malowanie samolotów miało służyć maskowaniu. Kamuflażu używano, by zdeformować sylwetkę maszyny i wtopić ją w tło ziemi lub nieba. To jednak nie wszystko, ponieważ niemal od początków lotnictwa na samolotach bardzo często pojawiały się osobiste adnotacje pilotów, imiona lub portrety kochanek. Dlaczego? Podobno odpowiedzi trzeba szukać w ludzkiej psychice. Wojskowi dowódcy nie zabraniali podwładnym zdobienia samolotów. Wiedzieli bowiem, że dzięki takim osobistym symbolom lotnicy będą mocniej przywiązywali się do samolotów.

„Wiele razy spotkałem się z tym, że żołnierze posługiwali się kryptonimami, które nie mieściły się w regulaminach. Takie nazewnictwo funkcjonowało na misjach w tak zwanym drugim obiegu, w nieformalnych rozmowach. Nie podawaliśmy na przykład numeru plutonu, tylko używaliśmy nazwy. Nie mówiliśmy o plutonie Sromali,



Malunki na rosomakach żyły zwykle przez sześć miesięcy, czyli tyle, ile trwała jedna zmiana kontyngentu.

RATS

a moi podwładni »lemurami«”, opowiada oficer. Przed wyjazdem na misję chcieli mieć symbol, który ich wyróżni od reszty zespołu bojowego. Długo nie musieli szukać. Jeszcze w kraju przygotowali naszywki dla 1 plutonu 2 Kompanii Zespołu Bojowego „Alfa”. Była na nich sylwetka lemura. „Wszyscy wiedzieli, że jesteśmy »lemurami«. Nie mieliśmy żadnych flag, napisów ani rysunków. Nie malowaliśmy też rosomaków, bo nie chcieliśmy ułatwiać zadania przeciwnikowi. Ale nasi wiedzieli, które to wozy »lemurów«”, dodaje por. Sromala.

GOTOWY DO WALKI

„Naszą naszywkę zdobył szczur. Postać wzorowana na Skavenie, bohaterze gier komputerowych, czyli połączeniu szczura z człowiekiem. Bojowa postawa, groźne spojrzenie. Znak, który miał nas zagrzewać do walki”, opisuje por. Krzysztof Ilnicki, z 7 Batalionu. Podobnie jak inne plutony, żołnierze chcieli mieć własny symbol. „Dołowaliśmy się do filmu »Szczury pustyni«. Co prawda nie jechaliśmy na pustynię, ale jednak w trudny klimat. A szczury to przecież inteligentne zwierzęta, które przeżyją w najtrudniejszych warunkach, wszędzie wejdą, wszystko wywęszą i przetrwają na byle jakim jedzeniu”, mówi porucznik.

Podobnie jak „lemury” naszywkę przygotowali przed wyjazdem na misję. Mieli też gotowe szablony, za pomocą których malowali później swoje oznaczenia. „Miałem w plutonie 35 różnych facetów, 35 różnych charakterów. Ten szczur to był swego rodzaju znak rozpoznawczy. Dzięki niemu zacieśniliśmy więzy”, dodaje por. Ilnicki. Zaraz po przyjeździe do bazy ozdobili swoje rosomaki. Wszystkie wozy w plutonie na wieżach miały namalowanego szczura.

Zespół Bojowy „Alfa” IX zmiany PKW ISAF miał z kolei na rosomakach namalowane szakale. „Kiedyś podczas zajęć użyliśmy kryptonimu »szakal«. Nazwa szybko się przyjęła i gdy kilka lat później pojechaliśmy do Afganistanu, nazwaliśmy się po prostu szakalami, a na wszystkich kompanijnych rosomakach namalowaliśmy łeb szakala. Najważniejsze w tym jest to, że potrzebę identyfikacji czują sami żołnierze. To od nich wychodzi inicjatywa. Zwyczaj jest bardzo dobry, bo integruje, jednoczy i buduje więzi między żołnierzami”, przyznaje kpt. Damian Kidawa, szef sekcji operacyjnej 7 Batalionu, przed trzema laty dowódca kompanii na IX zmianie PKW w Afganistanie.

Malunki na rosomakach żyły zwykle przez sześć miesięcy, czyli tyle, ile trwała jedna zmiana kontyngentu. Każda poprzednia i następna tura na nowo „chrzczyła” transportery. Na pancierzach pojawiały się więc imiona kobiet, emblematy jednostek, grafiki zwierząt lub ksywy żołnierzy, którzy jeździli wozami na patrol. ■

NORBERT BĄCZYK

Ekipa rosomaka

Doświadczenia w eksploatacji tych wozów zdobyło nie tylko wojsko, lecz także producent, którego zespół serwisowy trafił za swym produktem aż do Afganistanu.

Dziesięć lat służby rosomaków w Wojsku Polskim wywarło duży wpływ na konstrukcję pojazdu. I choć z zewnątrz nie jest to widoczne, przez ten czas wprowadzono w nim ponad 400 zmian konstrukcyjnych, z pozoru drobnych, ale mających wpływ na ergonomię, komfort, bezawaryjność i wreszcie efektywność eksploatacji. Ponadto choć AMV został zaprojektowany i był produkowany początkowo w Finlandii, to jednak właśnie jego polska odmiana stanowi dziś punkt odniesienia przy analizie możliwości tego wozu, a to za sprawą doświadczeń z Afganistanu i z Czadu.

To właśnie Wojsko Polskie użyło pojazdów rodziny AMV w walce, wysyłając na misje w Azji i Afryce łącznie aż 200 rosomaków. Wraz z wojskiem swoje doświadczenia zebrał i producent, Rosomak SA. Dla zakładu, ale też dla zagranicznych partnerów spółki z Siemianowic Śląskich, są one dziś cennym kapitałem.

Operacja w Afganistanie odbywała się w reżimie wojennym, nie było tam taryfy ulgowej, stawką było życie i zdrowie polskich żołnierzy. Wozy nie miały ograniczeń eksploatacyjnych czasu pokoju. O ile zatem w kraju w ciągu roku rosomak przejeżdżał na poligonach 3 tys. km, o tyle w PKW przekraczał te normy cztero-, pięciokrotnie. Przebieg roczny rzędu 15 tys. km nie robił wrażenia. Ponadto w Polsce dominował teren nizinny, w Afganistanie górski i pustynny. Gdy Wojsko Polskie w 2003 roku zamawiało ten wóz, nikomu nie przyszło do głowy, że będzie on jeździł na wysokości 2 km nad poziomem morza. Dlatego czujniki meteo dla przelicznika balistycznego armaty miały oprogramowanie dla niższych wysokości. Wysyłając wozy na misję, trzeba było zatem oprogramowanie zmienić.

Wyzwaniem był też „morderczy” klimat – zimne, śnieżne zimy, długie pory gorące o średniej temperaturze ponad 30° C. Ze względu na przykład na ogromne zapylenie, filtry powietrza trzeba było wymieniać nie co rok, ale co trzy miesiące. W ogóle z uwagi na takie szczególne warunki klimatyczne powstała zupełnie nowa tabela obsługi okresowych. Intensywna służba była też wielkim wyzwaniem logistycznym.

W Afganistanie sprawdził się model współpracy wojska z przemysłem oparty na pracy fabrycznego zespołu serwisowego. WZM SA (dziś Rosomak SA) koordynowały pracę nie tylko swoich specjalistów, lecz także z innych firm: WB Electronics, Pimco, AMZ Kutno, Bumar Łabędy. Dzięki temu poziom sprawności rosomaków wynosił 75%.

Technicy cały czas przebywali w bazach, mogli natychmiast przystąpić do napraw uszkodzonych pojazdów. A że powstał miejscowy, bogato zaopatrzony magazyn części zamiennych, to naprawy wykonywano szybko. Jeśli czegoś brakowało, zamawiano to z kraju „szybką ścieżką”, a transport zapewniało wojsko.

Cywilni serwisanci, tak jak żołnierze, podlegali rotacji. Średnio pracowali na misji od pięciu do ośmiu miesięcy, choć niektórzy spędzali tam jednorazowo nawet rok. Rekordziści, co prawda w kilku turach, mogą się pochwalić trzyletnim doświadczeniem z Afganistanu. Dzięki temu dziś ci ludzie to najlepsi eksperci od konstrukcji i obsługi rosomaków. Po uwagi i konsultacje zgłaszają się do nich nawet twórcy AMV z fińskiej Patrii. ■

MARKA: ROSOMAK

Z Adamem Janikiem

o tym, co dzięki rosomakom osiągnął polski przemysł, rozmawia Norbert Bączyk.

Mija właśnie dziesięć lat, od kiedy zakład przekazał wojsku pierwsze rosomaki. Jak Pan, jako producent, ocenia ten czas?

Te dziesięć lat okazało się wielkim sukcesem, zarówno dla naszej spółki, jak i dla samego produktu. W grudniu 2004 roku dostarczyliśmy pierwsze dziewięć pojazdów dla wojska, w tym trzy bojowe i sześć bazowych, a dziś możemy się pochwalić już ponad 600 dostarczonymi rosomakami w ośmiu różnych wersjach. W tej chwili prowadzimy prace badawczo-rozwojowe nad kolejnymi trzema i negocjujemy następne umowy. Ponadto, co jest bardzo ważne, sprzęt sprawdził się w działaniach bojowych. Rosomaki zostały bardzo dobrze ocenione przez użytkowników w czasie działań w Afganistanie, a talibowie nazwali je „zielonymi diablami”. Dla nas, jako producenta, nie ma lepszej rekomendacji dla wyrobu, który oferujemy.

Zaczynaliśmy jako firma typowo remontowa, a w tej chwili jesteśmy przedsiębiorstwem produkcyjnym z wysoko zaawansowanym produktem finalnym. Pod względem wykorzystywanych technologii zaliczamy się do grona najlepszych zakładów tej branży w Europie. Gościmy u nas przedstawicieli przemysłu i wojska z różnych państw. Wszyscy są pod wrażeniem tego, czego się nam udało dokonać. Jesteśmy bodaj jedyną firmą w kraju, która zapewnia cały cykl życia dostarczanego armii produktu – począwszy od produkcji, przez wsparcie eksploatacji, aż na utylizacji kończąc.

Siemianowice dużo zyskały na tym programie.

Na rosomakach zyskują wszyscy: wojsko, producent i każdy podatnik. Na poziomie biznesowym kluczowa jest wartość firmy i tutaj nasz właściciel, Skarb Państwa, może być zadowolony.

Przez te lata udało się nam z wielokrotnością zwiększyć wartość naszej spółki i wdrożyć wiele nowoczesnych rozwiązań. Wypracowane zyski przeznaczamy przede wszystkim na rozwój zakładów. Nasza firma ma w ofercie produkcję, serwis, rozwój produktu, szkolenie. Cały czas poszukujemy nowych możliwości rozwojowych.

Zakład w Siemianowicach Śląskich istotnie bardzo się zmienił. Zresztą nie tylko on. W jakim stopniu decyzja o polonizacji związała rosomaka z polskim przemysłem?

Dzięki temu programowi jest dziś ponad 3 tys. miejsc pracy w naszej gospodarce. Rosomak SA zatrudnia bezpośrednio 450 osób, ale w kraju współpracuje z nami około stu firm. Proszę mi pokazać drugi taki program realizowany dla naszej armii. W każdym województwie w Polsce znajduje się jakiś zakład, który jest kooperantem programu „Rosomak”.

Finowie z Patrii przysyłają do nas swoich potencjalnych klientów, aby mogli zobaczyć, jak dzięki pozyskaniu nowoczesnej technologii przy wykorzystaniu własnych kompetencji, zasobów i kooperacji biznesowej można osiągnąć sukces. Ponadto udało się nam wdrożyć nowe polskie technologie. Dziś razem z Hutą Stali Jakościowych możemy się pochwalić wdrożeniem polskiej stali pancerniej. W Europie jest tylko czterech producentów takiej stali. Przy nas wyrosły ponadto firmy, które zaczynały prawie że od niczego, a dziś są liczącymi się graczami w branży.

Jak się układa współpraca z wojskiem?

Wojsko, co oczywiste, to nasz najważniejszy klient. Nie tylko zresztą klient, ale też partner, ponieważ czerpiemy z jego doświadczeń, wymieniamy się informacjami, spostrzeżeniami.

Wojsko jest otwarte na dialog. Szkolimy też przyszłych użytkowników, załogi wozów. Tutaj sprawdza się zasada: im lepiej znam sprzęt, tym lepiej go wykorzystujemy. Zbudowaliśmy centrum szkoleniowe, w którym do tej pory przeszkoliliśmy ponad 8 tys. żołnierzy. W 2014 roku uruchomiliśmy kompleksowy symulator całego pojazdu. Kolejną nowością to pomoce naukowe dla załóg i mechaników w postaci „stendów”, stanowiących przekroje kołowych transporterów opancerzonych. Zapewniamy serwis, nie tylko zresztą w kraju. Udzieliliśmy szerokiego wsparcia w serwisowaniu wozów w Afganistanie. Nasza firma zarządzała grupą specjalistów, którzy na stałe przebywali z polskim kontyngentem w Afganistanie. Było tam łącznie ponad 100 osób, z naszej firmy oraz od naszych kooperantów. Dziś wojsko doskonale wie, czego chce i oczekuje, aby dostarczane uzbrojenie było nowoczesne i spełniało wymagane parametry techniczno-taktyczne oraz jakościowe. Jesteśmy po to, aby spełniać oczekiwania zamawiającego, oczywiście nie za darmo.

A jak się układa współpraca z Patrią? Przy podpisywaniu nowej umowy w 2013 roku na jaw wyszły pewne problemy z 2003 roku.

Współpraca układa się dobrze. Jako podwykonawca odgrywamy ważną rolę w światowym systemie produkcji AMV. Pierwotna umowa istotnie nakładała na nas pewne ograniczenia, które teraz zostały już zniesione, ale nawet ona oznaczała olbrzymi zastrzyk nowych technologii dla zakładów. To był ten zaczyn, od którego wszystko się zaczęło. Dzięki offsetowi nasza spółka bardzo zyskała. Otrzymaliśmy technologie, a teraz mamy także szerszy dostęp do rynków zbytu. Nowa umowa zapewnia nam również możliwość modyfikacji i modernizacji wozu. Dzięki wsparciu MON-u w negocjacjach uzyskaliśmy dobre warunki, korzystne nie tylko dla nas, lecz także dla naszej gospodarki.

Jaka przyszłość czeka producenta rosomaków?

Realizujemy plan rozwoju spółki na lata 2014–2019. Naszą ambicją jest jednak, aby w Polskiej Grupie Zbrojeniowej, Rosomak SA stał się centrum kołowych transporterów opancerzonych. Mamy odpowiednie doświadczenie i kompetencje. Ze wsparciem finansowym Narodowego Centrum Badań i Rozwoju prowadzimy prace nad następcą rosomaka, a z własnych środków zajęliśmy się następcą BRDM i za trzy lata prototyp wozu będzie gotowy. Pracujemy nad głęboką modernizacją rosomaka. Aktywnie też działamy na rynkach zagranicznych i mamy nadzieję, że wkrótce osiągniemy na tym polu znaczący sukces.

Dlaczego zmieniliście nazwę na Rosomak SA?

Rosomak stał się marką samą w sobie. Postanowiliśmy to wykorzystać, zdyskontować sukces wypracowany głównie dzięki Afganistanowi, gdzie wóz stał się znakiem rozpoznawczym, firmowym nowoczesnego sprzętu wojskowego. Nasi partnerzy odebrali to pozytywnie. Kojarzmy się właśnie z tym produktem. ■

ADAM JANIK JEST PREZESEM ZARZĄDU
I DYREKTOREM NACZELNYM ROSOMAK SPÓŁKA
AKCYJNA W SIEMIANOWICACH ŚLĄSKICH.

NORBERT BACZYK

Rosomak stał się marką samą w sobie. Postanowiliśmy to wykorzystać





BTR-152

TADEUSZ WRÓBEL

Pancerne pokolenie

Historia pojazdów opancerzonych w Wojsku Polskim po 1945 roku toczyła się trzytorowo. Osobno rozwijano bojowe wozy piechoty, transportery opancerzone i wreszcie pojazdy rozpoznawcze.

W II wojnie światowej większość transporterów opancerzonych służących do przewozu piechoty na pole walki miała układ kołowo-gąsienicowy, pancerz chroniący tylko przed bronią strzelecką i otwarte od góry przedziały załogowe. Na kołach natomiast poruszały się samochody pancerne służące do celów rozpoznawczych. Miały zamknięte przedziały, a oprócz załogi nie przewoziły desantu. Po 1945 roku uznano, że półgąsienicowe wozy nie są właściwym rozwiązaniem. Nastąpiło wówczas zróżnicowanie na gąsienicowe i kołowe transportery opancerzone.

OPANCERZONA PROWIZORKA

Armia Radziecka długo nie miała nowoczesnych transporterów opancerzonych. Priorytetem był rozwój czołgów. Towarzysząca im piechota poruszała się samochodami ciężarowymi. Na bazie jednego z nich, ZiS-151, pod koniec lat czterdziestych został zbudowany Bronietransportior 152, czyli BTR-152. Już w chwili powstania okazał się przestarzały. Faktycznie była to sześciokołowa opancerzona ciężarówka, z otwartymi od góry przedziałami kierowania i desantowym. Pomimo niskiej dzielności terenowej i słabego opancerzenia, ten niczym nieprzewyższający swych poprzedników z II wojny światowej pojazd był produkowany w ZSRR aż kilkanaście lat, od 1950 do 1962 roku.

W 1954 roku pierwsze BTR-152 znalazły się również w uzbrojeniu Wojska Polskiego, a rok później dokonano większego zakupu transporterów opancerzonych zza wschodniej granicy – 140 egzemplarzy BTR-152 i 60 BTR-40 (lekki transporter opancerzony 4x4 dla pododdziałów rozpoznawczych). Była to jednak kropla w morzu potrzeb. Piechota większości dywizji pancernych i zmechanizowanych polskiej armii nadal miała do dyspozycji tylko zwykłe ciężarówki. W ówczesnej dywizji zmechanizowanej, zgodnie z etatem, były tylko 33 transportery, podczas gdy liczba wozów pancernych przekraczała 200. W dywizji pancerniej natomiast było ich tylko 17.

BTR-152 od początku nie spełniał warunków nowego atomowego pola walki. Otwarty od góry przedział desantowy sprawiał, że załoga i przewożeni żołnierze mogli być narażeni na opad radioaktywny. Dlatego Polska nie kupiła większej liczby takich pojazdów. Nie wyrażono również zainteresowania najnowszym radzieckim transporterem kołowym BTR-60P, wprowadzonym do uzbrojenia Armii Radzieckiej w 1960 roku, ponieważ miał tę samą wadę.

Od drugiej połowy lat pięćdziesiątych w PRL-u dążono do tego, aby nowe wozy bojowe produkować we własnych zakładach (konstrukcje rodzime lub na licencji radzieckiej). W 1957 roku zainicjowano polski program transportera opancerzonego, zarówno kołowego, jak i gąsienicowego. Jako baza posłużył najnowszy wówczas samo-





BTR-40

chód ciężarowy Star 66. I tak powstał TK-20 (transporter kołowy 20). W 1960 roku skonstruowano trzyosiowy (6x6) prototyp o masie 10 t, grubości pancerza 14 mm, z całkowicie zamkniętymi przedziałami, zdolny do przewozu 14 żołnierzy desantu. Pojazd ten nie spełnił jednak wymogów wojska. Jego rozwinięciem miał być TK-30 na podwoziu Stara 660, również w układzie 6x6. Prace ruszyły w 1958 roku. W Zakładzie Pojazdów Mechanicznych Politechniki Gdańskiej zaczęto ponadto przygotować wersję 8x8. W 1960 roku prace te zostały jednak przerwane.

Rezygnacja z własnego kołowego transportera była związana z wyborem wozu czechosłowackiego. Od 1959 roku firmy Ta-

tra i Praga prowadziły udane próby pojazdu 8x8, nazwanego SKOT (střední kolový obrněný transportér, u nas znany później jako średni kołowy opancerzony transporter). W 1961 roku chętnie kupiono na niego licencję, między innymi dlatego, że w ramach umowy głównym producentem wszystkich skotów dla obu armii stała się lubelska Fabryka Samochodów Ciężarowych (FSC). Z Czechosłowacji importowano silniki, podzespoły układu napędowego i przeniesienia mocy. W Polsce produkowano pancerne kadłuby i wieże (huty z Ostrowca Świętokrzyskiego i Częstochowy), elementy układu zawieszenia (Huta Stalowa Wola) oraz uzbrojenie pokładowe (Zakłady Mechaniczne w Tarnowie). Tu też kompletowano całe pojazdy. →

SKOT

ARCH. SZEFOSTWA WOPL DWLAD

SYMBOL STANU WOJENNEGO

Ośmiokołowy transporter z Lublina uchodził za najbardziej rozpoznawalny wóz bojowy doby PRL-u, oczywiście obok czołgów T-34-85. Nie była to jednak cecha chwalebna, gdyż wiązała się z wyprowadzaniem wojska na ulice. Po raz pierwszy stało się tak w 1970 roku w czasie strajków na Wybrzeżu. Jeszcze w 1981 roku, gdy ogłoszono stan wojenny, kołowych transporterów było na tyle dużo, że to przede wszystkim właśnie one pełniły funkcje patrolowe na ulicach polskich miast. Nie niszczyły gąsienicami asfaltu i mogły się sprawniej przemieszczać po drogach niż bojowe wozy piechoty. Zdjęcie SKOT-2AP przed kinem Moskwa w Warszawie, na tle afiszu reklamującego film „Czas Apokalipsy”, stało się symbolem stanu wojennego.

SKOT ważył 13 t, napędzał go 8-cylindrowy silnik Tatry o pojemności 12 l i mocy 180 KM. Opancerzenie grubości 9–16 mm zapewniało ochronę przed ogniem broni ręcznej i odłamkami granatów. Jak niemal wszystkie konstrukcje tego typu dla armii Układu Warszawskiego, zaprojektowano go jako wóz pływający. SKOT, jak na tamte czasy, był konstrukcją nowoczesną.

Produkcja seryjna ruszyła w październiku 1963 roku i była kontynuowana do lipca 1971 roku. Wykonano około 4,5 tys. pojazdów, z czego ponad 2 tys. dostało Wojsko Polskie. Wozy te eksportowano też do wielu państw na czterech kontynentach (nawet długo po zakończeniu produkcji), w tym do Urugwaju, Kambodży czy Ugandy.

NOWE ROZDANIE

W latach sześćdziesiątych XX wieku SKOT zmienił obraz polskich wojsk zmechanizowanych. Piechota wreszcie dostała pojazd, który mógł w miarę bezpiecznie, chroniąc przed ogniem broni ręcznej, podwozić żołnierzy w bezpośredni rejon walki, a nawet wspierać ją własnym ogniem. Początkowo skoty nie miały stałego uzbrojenia, ale wtedy mogły przewozić 18 ludzi desantu. Potem zamontowano wieże z radzieckiego transportera BTR-60PB, z KPWT 14,5 mm i PKT 7,62 mm. Dzięki temu ograniczono liczbę żołnierzy desantu do dziesięciu, ale załoga mogła wspierać piechurów ogniem broni pokładowej. Tak uzbrojone wozy nosiły oznaczenie SKOT-2A, a po kolejnej modyfikacji – 2AP. Na bazie transportera powstało też wiele odmian specjalistycznych, przede wszystkim dla wojsk inżynierskich oraz łączności. Wersje dowodzenia i łączności były najdłużej utrzymywane w Wojsku Polskim.

W połowie lat sześćdziesiątych park maszynowy polskiej armii zaczął się bardzo zmieniać. Wcześniej opierał się na konstrukcjach z II wojny światowej. Oprócz transporterów SKOT pojawiły się opancerzone wozy rozpoznawcze 4x4 BRDM (następnie BRDM-2). W 1966 roku do uzbrojenia radzieckiej armii wszedł ponadto BMP-1, pierwszy na świecie tak zwany bojowy wóz piechoty (BWP) – gąsienicowy, lekko opancerzony transporter, który, inaczej niż ówczesne pojazdy tego typu, mógł w samoobronie strzałem z ppk zniszczyć czołg przeciwnika, a ogniem z armaty eliminować lżej opancerzone wozy lub umocnienia polowe.

Pod koniec lat sześćdziesiątych również Wojsko Polskie zaczęło otrzymywać pierwsze BMP-1, nazwane BWP-1, co oznaczało rychły kres produkcji skotów. Piechota zmechanizowana, stopniowo i powoli, wraz z kolejnymi dostawami importowanych bewupów, w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych przesiadła się więc z kołowych skotów na gąsienicowe BWP-1.

Po rozwiązaniu Układu Warszawskiego polska armia pozostała, jeśli chodzi o wojska zmechanizowane, na technicznym poziomie połowy lat sześćdziesiątych – z wozami BRDM-2 w rozpoznaniu i BWP-1 dla piechoty zmechanizowanej, ze stopniowo wycofywanymi wersjami specjalistycznymi transporterów SKOT. Taki stan utrzymał się do czasu przystąpienia do NATO. W 2002 roku, aby zrealizować jeden z celów sojuszu, którym było rozwijanie tak zwanych sił średnich, Polska zdecydowała się na zakup nowego wozu opancerzonego dla piechoty zmechanizowanej, czyli fińskiego AMV. W ten sposób po erze gąsienicowego BWP-1 wróciliśmy do sytuacji z lat sześćdziesiątych, kiedy wozy transportujące piechotę na pole walki przemieszczały się na kołach. ■

TADEUSZ WRÓBEL

Koła w natarciu

Coraz więcej armii kupuje kołowe opancerzone pojazdy bojowe.

Po zakończeniu zimnej wojny pojawiły się nowe zagrożenia, które wymagały szybkiego wysyłania żołnierzy na odległe teatry działań. Taki sprawny przerzut zapewniało lotnictwo transportowe. Miało ono jednak istotne ograniczenie. Najpopularniejszy amerykański transportowiec C-130 Hercules mógł bowiem przewozić pojazdy do kilkunastu ton, podczas gdy masa bojowego wozu piechoty US Army przekracza 27 t.

NARODZINY STRYKERA

Szef sztabu US Army w latach 1999–2003 gen. Eric Shinseki zaproponował wprowadzenie do wojsk lądowych kołowych bojowych wozów opancerzonych. Pojazdy o mniejszej masie byłyby łatwiejsze do transportu samolotami. Co więcej, według pomysłodawcy miały lepiej sprawdzać się w działaniach w terenie zurbanizowanym.

Amerykanie zdecydowali się opracować nowy wóz na bazie pojazdu LAV III, produkowanego przez General Dynamics Land Systems-Canada i wybranego wcześniej przez kanadyjskie siły lądowe. Kontrakt na 2131 sztuk Interim Armoured Vehicles (IAV), które zwano Stryker (na cześć dwóch żołnierzy o tym nazwisku, bohaterów II wojny światowej i wojny wietnamskiej), podpisano w listopadzie 2000 roku. Amerykanie zamówili wraz z wersją bojową także pojazdy specjalistyczne, aby można było kompletnie przebroić w nie brygadową grupę bojową. Na przełomie wieków planowano wyposażać w strykery sześć brygad. Obecnie US Army ma już ponad 4300 tych wozów.

Pojazd w wersji bojowej ma masę 16,47 t. Przedni pancierz chroni przed pociskami kalibru 14,5 mm, a pozostałe części kadłuba wytrzymują trafienia natowskimi pociskami kalibru 7,62 mm. Jednak można zamontować dodatkowe opancerzenie ceramiczne. Wtedy cały kadłub jest chroniony przed pociskami 14,5-milimetryowymi. Ochronę przed pociskami z granatników przeciwpancernych zapewniają osłony z siatki metalowej. Jako ich alternatywę opracowano pancierz reaktywny.

Stryker ma napęd w konfiguracji 8x8, co jest niezbędne dla mobilności wozu w trudnym terenie, ale na drodze można zmienić go na 8x4. W wersji M1126, jako transporter piechoty, oprócz dwuosobowej załogi zabiera dziesięcioosobową drużynę piechoty. Na stropie kadłuba zamontowano zdalnie sterowany moduł uzbrojenia Predator norweskiej firmy Kongsberg, który może mieć wielkokalibrowy karabin maszynowy M2 12,7 mm lub 40-milimetryowy granatnik automatyczny Mk 19.

Amerykańskie wozy są wyposażone w automatyczne systemy – gaśniczy i ochrony przed bronią masowego rażenia, a także w nowoczesny system zarządzania walką (BMS).

Strykery zadebiutowały na polu walki w czasie wojny w Iraku, gdzie szybko ujawniły się pewne niedostatki tej konstrukcji. Wozy okazały się wrażliwe na ostrzał z granatników przeciwpancernych oraz ataki z użyciem improwizowanych urządzeń wybuchowych. Dlatego postanowiono zamontować dodatkową osłonę spodu kadłuba w kształcie litery V, rozwiązanie stosowane w wielu konstrukcjach pojazdów minoodpornych, czyli MRAP-ów. Wprowadzono też dodatkowe opancerzenie boczne. Poprawiono zawieszenie i napęd, zamontowano niepalne opony. Wewnątrz wozu zaś znalazły się siedzenia absorbujące energię wybuchu. Podniesie poziomu ochrony oznaczało jednak wzrost o jedną czwartą masy strykera.

Oprócz kołowego transportera opancerzonego M1126ICV powstało jeszcze dziewięć specjalistycznych wersji strykera, w tym wóz bojowy M1128MGS z armatą 105-milimetryową M68A1E4, samobieżny moździerz M1129MC, niszczyciel czołgów M1134ATGW z wyrzutniami przeciwpancernych pocisków kierowanych TOW. Jest też wóz wsparcia ogniowego M1131FSV, uzbrojony zarówno w wielkokalibrowy karabin maszynowy, jak i granatnik automatyczny.

FRANCUSKA ŚCIEŻKA

Ze względu na konieczność częstego zaangażowania militarnego Francji w byłych koloniach, w jej wojskach lądowych, nawet w czasie zimnej wojny, dominowały kołowe pojazdy pancerne, transportery VAB 4x4. Francuzi mieli również gaśnicowe bojowe wozy piechoty AMX 10P, jednak postanowili, że ich następcą będzie pojazd kołowy. Tak narodziła się koncepcja Véhicule Blindé de Combat d'Infanterie (VBCI). W listopadzie 2000 roku zamówiono pierwszych 65 sztuk. W październiku 2007 roku było drugie zamówienie, na 117, w grudniu następnego roku następne, na 116 wozów. W 2009 roku ostatnie i zarazem największe opiewało aż na 332 VBCI. W sumie złożono zapotrzebowanie na 630 sztuk w dwóch wersjach: 510 bojowych VCI i 120 wozów dowodzenia VPC. Wcześniej planowano nabyć 550 bojowych i 150 dowódczych VBCI. Wartość kontraktu wyniosła około 3,5 mld euro. Jego wykonawcami były firmy GIAT Industries (obecny Nexter) i Renault Trucks Defense. Zaplanowano przebrojenie w VBCI ośmiu pułków piechoty. →



F N S S

PARS



I V E C O / O T O M E L A R A

FRECCIA



D E N E L

AMV BADGER



N E X T E R

VBCI

VBCI, który wszedł do służby we francuskich wojskach lądowych w 2008 roku, ma układ napędowy 8x8. Kadłub wykonany z aluminium i stali chroni przed pociskami kalibru 14,5 mm. Poziom ochrony można zwiększyć dzięki nałożeniu modułowego opancerzenia z tytanu. Pusty pojazd ma masę poniżej 18 t, a z normalnym ładunkiem bojowym – 25,6 t. Masa dopuszczalna wyprodukowanych dotychczas VCI wynosiła 29 t, ale jesienią 2014 roku zakończono testy zmodernizowanego wozu o masie do 32 t, na którym będzie można zamontować dodatkowe opancerzenie. Pierwsze dostawy zmodernizowanych VBCI przewidziano w tym roku.

Wersja bojowa VBCI została wyposażona w jednoosobową wieżę Dragar firmy GIAT Industries z armatą M811 kalibru 25 mm i sprzężony z nią karabin maszynowy kalibru 7,62 mm. We wnętrzu wozu oprócz dwuosobowej załogi mieści się dziewięciu żołnierzy desantu. VBCI wyposażono w system zarządzania walką. Wóz został przewidziany do współdziałania z systemem FELIN (francuskim żołnierzem przyszłości). Ze względu na uzbrojenie i ilość desantu VBCI należy uznać raczej za bojowy wóz piechoty i transporter opancerzony.

OGRANICZONY BOXER

W latach dziewięćdziesiątych XX wieku Niemcy, Wielka Brytania i Francja rozwały wspólne opracowanie wielofunkcyjnego modułowego pojazdu pancernego Multirole Armoured Vehicle (MRAV), który później nazwano Boxer. W 1999 roku Francuzi postanowili pójść własną drogą i stworzyli VBCI. Do projektu dołączyła w 2001 roku Holandia. W 2002 roku goto-

wy był pierwszy prototyp niemiecki, a w następnym roku – holenderski. Jednak w 2003 roku z udziału w pracach nad pojazdem wycofali się Brytyjczycy.

Holendrzy planowali zamówić 400 boxerów, które zastąpiły wozy M577 oraz specjalistyczne wersje YPR-765. Jednak w 2006 roku złożyli zamówienie tylko na 200 sztuk w czterech wersjach: wóz dowodzenia (55), inżynierski (41), ewakuacji medycznej (58), transportowej (27) i transportowo-dowódczej (19). W armii niemieckiej boxer jest następcą gąsienicowych transporterów M113 i kołowych fuchsów. Potrzeby oszacowano na około 600 sztuk. W 2006 roku Niemcy zamówili 272 w trzech wersjach: transporter piechoty (135), wóz dowodzenia (65) i ewakuacji medycznej (72). W listopadzie 2014 roku pojawiła się informacja, że złożone będzie drugie zamówienie, tym razem na 131 pojazdów

Boxer jest znacznie większy od innych ośmiokołowych wozów opancerzonych. Jego masa bojowa wynosi 33 t. W wersji transportowej, w kabinie mającej ponad 14 m³, można przewozić ładunki o masie do 8 t. Co ciekawe, w wypadku MRAV Boxer ważniejsze są wersje specjalistyczne niż bojowe. Wozy niemieckie wyposażono w stanowisko strzeleckie Krauss-Maffei Wegmann typu 1530 z 40-milimetrowym granatnikiem. Na holenderskich boxerach, tak jak na amerykańskich strykerach, zamontowano zdalnie sterowany moduł uzbrojenia Protector z karabinem maszynowym kalibru 12,7 mm. W wersji jako transporter oprócz trzyosobowej załogi zabiera ośmiu żołnierzy desantu. Większość boxerów trafiła do 291 i 292 Batalionu Strzelców, które wchodzi w skład Brygady Francusko-Niemieckiej. Jest ona jednostką szybkiego reagowania.

CZECH. ARMY



PANDUR II

BUNDESWEHR



BOXER

INNE OŚMIKOŁOWCE NA ŚWIECIE

AUSTRIA	PANDUR II
CHINY	WZ-551A (TYP 92) ZBD-09/ZBL-09
FINLANDIA	AMV
JAPONIA	TYPE 96
SINGAPUR	AV-81/82
SZWAJCARIA	PIRANHA III-V
ROSJA	BTR-90
TAJWAN	CM-32
TURCJA	PARS ARMA
UKRAINA	BTR-3
WŁOCHY	SUPERAV/VBA

U.S. DOD



STRYKER

Wyjątkową konstrukcją wśród ośmiokołowych pojazdów bojowych jest włoski Veicolo Blindato Medio (VBM), nazwany Freccia (Strzała), bowiem powstał w wyniku modyfikacji i połączenia elementów dwóch już istniejących konstrukcji. Wykorzystano kadłub i podwozie niszczyciela czołgów Centauro. Na nim zamiast wieży z armatą 105-milimetrową zamontowano wieżę Hitfist Plus firmy OTO Melara z armatą KBA kalibru 25 mm, podobną do tej, którą mają włoski gąsienicowy wóz bojowy Dardo i polski transporter Rosomak. Dodatkowym uzbrojeniem są dwa karabiny maszynowe kalibru 7,62 mm, jeden sprzężony z armatą, a drugi na stropie wieży. Oprócz trzyosobowej załogi, w wersji bojowej mieści się siedmiu żołnierzy desantu.

Włosi zintegrowali też z wieżą wyrzutnię przeciwpancernych pocisków kierowanych Spike ML/LR. Przy czym jest to rozwiązanie opcjonalne, wykorzystane tylko w części bojowych wozów VBM Freccia.

W porównaniu z wieloma innym ośmiokołowymi pojazdami, Freccia ma bardzo mocne opancerzenie. Przedni pancerz wytrzymuje trafienia pociskami kalibru 25–30 mm, a reszta kadłuba zapewnia ochronę przed ostrzałem z broni kalibru 14,5 mm. Spód wytrzyma eksplozję 6-kilogramowej miny przeciwpancernej. Ochronę kół wzmoc-

niono tak, aby pojazd przetrwał wybuch 8-kilogramowego ładunku.

W 2006 roku armia włoska zamówiła 249 wozów Freccia. Trzy lata później wprowadzono je do służby. Najwięcej zapotrzebowano wersji bojowych – 208, w tym 36 sztuk w odmianie przeciwczołgowej z wyrzutniami Spike. Ponadto włoska armia chce kupić 20 wozów dowodzenia i 21 Freccii ze 120-milimetrowym moździerzem 2R2M.

ZMIENIAJĄCE SIĘ WYMAGANIA

W ostatnich 20 latach na świecie wyraźnie zapanowała moda na kołowe transportery opancerzone. Wziąwszy pod uwagę, że część z nich jest uzbrajana w broń kalibru 20 mm lub większego, faktycznie mamy do czynienia z bewupami na kołach. Co więcej, wynikiem doświadczeń z wojen w Afganistanie, a wcześniej w Iraku, jest dążenie do podniesienia poziomu ochrony balistycznej i przeciwwminowej pojazdów. Z tym wiąże się wzrost ich masy bojowej, która w wielu wypadkach przekracza już 25 t. Przykładem tej tendencji jest zmodernizowany amerykański stryker. Zwiększenie masy oznacza też, że zamawiające pojazdy kołowe armie państw NATO czy Unii Europejskiej nie stawiają zwykle wymogu ich pływalności. Wyjątkiem są wozy kupowane dla jednostek piechoty morskiej. ■



| INFRASTRUKTURA |

BOGUSŁAW POLITOWSKI

POLIGONOWY KONGLOMERAT

Budowanie profesjonalnej i silnej armii nie jest możliwe bez nowoczesnej i dobrze wyposażonej bazy szkoleniowej.



RAFAŁ MNIEDŁO/11.LDKPANC



W

szystkie najważniejsze poligony oraz ośrodki szkolenia od początku 2014 roku zostały podporządkowane Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych w Drawsku Pomorskim. Na mocy dokumentów, które podpisano 17 grudnia 2013 roku w Dowództwie Wojsk Lądowych w Warszawie oraz 19 grudnia 2013 roku w Karwicach, stworzono wielki szkoleniowy konglomerat. W jego skład wchodzi: Centralny Poligon Sił Powietrznych w Ustce, 21 Centralny Poligon Lotniczy w Nadarzewicach, Ośrodek Szkole-

nia Poligonowego Marynarki Wojennej w Strzeczcu, cztery ośrodki szkolenia poligonowego wojsk lądowych – w Nowej Dębie, Orzyszu, Wędrzynie i Żaganiu, a także Ośrodek Szkolenia Piechoty Górskiej w Dusznikach. Drawskie centrum, którym kieruje płk Marek Gmurski, ma uzyskać status centralnego poligonu sił zbrojnych: „Jesteśmy gotowi do dowodzenia pozostałymi ośmioma poligonami. Ten pogląd potwierdzają również podlegli komendanci ośrodków poligonowych”.

Stworzenie jednego kierownictwa dla całej bazy poligonowej ma zwiększyć efektywność zarządzania, przyczynić się do lepszego współdziałania wszystkich placówek treningowych, ich skuteczniejszej kontroli, a także poprawienia koordynacji szkolenia wojsk i efektywniejszego wykorzystania wszystkich obiektów.

OSTRE HAMOWANIE

Faktycznie nastąpiła zmiana podporządkowania poligonów. Powstały też harmonogramy zatwierdzone przez dowódcę generalnego oraz inspektora szkolenia. Tyle że po udanym starciu mechanizm reorganizacyjny został zahamowany.

Komenda CSWL Drawsko ujednoliciła sposób prowadzenia dokumentacji we wszystkich podległych placówkach, stworzyła wspólny model sprawozdawczo-meldunkowy, ale nie doczekała się ujętego w planach nowego etatu, przekształcającego drawskie centrum w centralny poligon sił zbrojnych. Termin zakończenia reorganizacji, przewidziany na 30 września 2014 roku, minął, tymczasem przeprowadzono ją w niewielkiej części.

„Początki konsolidacji poligonów sięgają jeszcze okresu sprzed utworzenia Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych”, wyjaśnia płk Edward Orzeszko, szef Oddziału Bazy Szkolenia Inspektoratu Szkolenia DGRSZ. „Struktura w tej formie nie była jednak adekwatna do wyzwań. Dlatego też należało podjąć decyzję, czy utrzymujemy rozwiązanie tymczasowe, czy wprowadzamy docelowe, zapewniające nowoczesny model zabezpieczenia szkolenia poligonowego. Stoimy na stanowisku, że trzeba wprowadzić model docelowy”.

Nie wycofano się z pierwotnych zamierzeń, postanowiono je jednak zmodyfikować. I tak poszczególne poligony, w zależności od wielkości, położenia i bazy, mają się specjalizować w określonym rodzaju szkolenia. Każdy z nich będzie miał pas ćwiczeń taktycznych, tor taktyczny, strzelnice do strzelań z wozów bojowych i broni strzeleckiej, rzutnię granatem oraz ośrodek szkolenia inżynieryjno-saperskiego. Poligony są różnej wielkości, więc w ośrodkach w Orzyszu, Nowej Dębie, Żaganiu i Wędrzynie przewidziano szkolenie do szczebla kompanii. Jednorazowo w ćwiczeniach będzie mogło brać udział około 120 żołnierzy wyposażonych w 20 pojazdów specjalnych i inne środki transportu. Od szczebla batalionu, z wykorzystaniem kompleksowego systemu symulacji pola walki oraz systemów JCATS (Joint Conflict and Tactical Simulation), pododdziały mają się szkolić w CSWL Drawsko. Tam będzie mogło działać równocześnie ponad 1000 żołnierzy, używających około 100 różnego rodzaju pojazdów.

„Zmierzamy do tego, aby poligony nie były przestrzegane tylko poprzez pryzmat »wypożyczania« wojskom pasów taktycznych czy strzelnic. Chcemy, aby stały się ośrodkami szkolenia wykorzystującymi na dużą skalę zaawansowaną elektroniczną symulację rzeczywistością”, mówi płk Edward Orzeszko. „Powinny zostać przekonfigurowane tak, aby wzajemnie się uzupełniając, tworzyły całość, by umożliwić żołnierzom wszechstronne przygotowanie do walki każdym rodzajem uzbrojenia oraz we wszystkich możliwych warunkach terenowych”.

POSTAWIĆ NA SPECJALIZACJĘ

Każdy z poligonów będzie się specjalizował w określonym rodzaju szkoleń. Drawskie centrum ma się skoncentrować między innymi na specjalistycznym szkoleniu wojsk aeromobilnych, specjalnych oraz rozpoznawczych. Tutaj pododdziały obrony przed bronią masowego rażenia będą mogły trenować przy użyciu bojowych środków trujących, a artylerzyści strzelać na dalekie odległości spoza rejonu poligonu.

Wędrzyński poligon słynie z tego, że można na nim wykonywać zadania w rejonie zurbanizowanym. I to się nie zmieni. W przyszłości dojdzie do tego prowadzenie strzelania w budynkach. Na terenie ośrodka żołnierze będą mogli doskonalić umiejętności pokonywania szerokich przeszkód wodnych oraz strzelań z wody na wodę i z wody na ląd.

Na poligonie żagańskim zadania ogniowe będą wykonywali – tak jak dotychczas – pancerniacy, żołnierze wojsk zmechanizowanych, zmotoryzowanych, wzmocnieni pododdziałami wsparcia. Podobnie na poligonie w Nowej Dębie oraz Orzyszu.

Place ćwiczeń w Ustce posłużą oczywiście jako miejsce treningów różnych wojsk w obronie morskiego wybrzeża. Będą tam przeprowadzane

0,58%

powierzchni Polski stanowią poligony i ośrodki szkolenia poligonowego



W roku 2013 na poligonach szkoliło się 118 960 żołnierzy naszej armii. Wielu po kilka razy. W 2014 roku, do września, było ich 147 913.

KOMENTARZ

ANDRZEJ DANIELEWSKI



Misją Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych jest przygotowanie jednostek wojskowych do wykonywania działań połączonych. Aby zmierzyć się z tym wyzwaniem, musimy między innymi zbudować nowy system szkolenia zaawansowanego, który będzie odpowiedzią na potrzeby nowoczesnej armii, stanowiącej wiarygodny komponent w sojuszniczej obronie kolektywnej. Do tego niezbędna jest całkowita zmiana filozofii szkolenia. W tym celu w ciągu najbliższych lat pozyskamy nowe systemy symulacyjne, które pozwolą skonsolidować szkolenie wojsk, dowództw i sztabów. Poligony stanowią i będą stanowić oś, wokół której nowe rozwiązania staną się powszechną praktyką służby.

Gen. bryg. **Andrzej Danielewski** jest inspektorem szkolenia Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

desanty morskie. Swoją dotychczasową funkcję zachowa poligon w Nadarzacach, przeznaczony do szkolenia załóg bojowych statków powietrznych z użyciem lotniczych środków bojowych do zwalczania celów naziemnych. Będą tam trenowały pododdziały wojsk raketowych i przeciwlotniczych. W Nadarzacach będzie główna baza szkoleniowa taktycznych zespołów kierowania obszarem powietrznym z kraju i innych państw NATO oraz innych pododdziałów specjalizujących się w zadaniach związanych z działaniami bojowymi w przestrzeni powietrznej, również z użyciem bezzałogowych statków powietrznych.

Możliwość ćwiczeń w zwalczaniu celów naziemnych z wykorzystaniem bojowych środków rażenia będzie atutem poligonu Strzecz. Tutaj przewidziano prowadzenie zajęć z wykorzystaniem ćwiczebnych środków trujących, stawianie zapór inżynieryjnych oraz naukę ich pokonywania, praktyczne wysadzanie materiałów wybuchowych, a także szkolenie załóg statków powietrznych.

Bardzo specjalistyczny pozostanie Ośrodek Szkolenia Poligonowego Duszniki. Żołnierze wszystkich rodzajów sił zbrojnych i rodzajów wojsk swoje umiejętności będą tam doskonalili w trudnych warunkach górskich.

NIEZBĘDNE INWESTYCJE

Utworzenie z już istniejących poligonów placów ćwiczeń na miarę XXI wieku wymaga jednak sporych nakładów. Roczne koszty funkcjonowania jednego tylko CSWL Drawsko wraz z wydatkami osobowymi wynoszą teraz około 50 mln zł. Realizacja zaplanowanych tam inwestycji będzie wymagała

znacznego zwiększenia tej kwoty. Opracowując kierunki rozwoju i modernizacji technicznej poligonów, zaplanowano wiele inwestycji. Oprócz przebudowy i modernizacji placów ćwiczeń taktycznych i unowocześniania strzelnic przewidziano na poligonie drawskim powstanie rejonu zurbanizowanego Ziemska Mogadisz, stworzenie niezbędnej infrastruktury dla systemu symulacji pola walki oraz budowę tunelu dla ośrodka szkolenia z użyciem bojowych środków trujących.

W Żaganiu zaplanowano powstanie wielofunkcyjnego budynku szkoleniowego na placu ćwiczeń taktycznych Joanna.

W Wędrzynie z kolei od dawna jest potrzebna strzelnica umożliwiająca ćwiczenia z amunicją bojową wewnątrz budynku. W Nadarzacach planuje się przygotowanie niezbędnej infrastruktury dla symulatora urządzeń wykrywania i naprowadzania środków obrony przeciwlotniczej. Wśród wielu potrzeb inwestycyjnych uwzględniono między innymi budowę stanowiska dowodzenia na strzelnicy piechoty w Nowej Dębie i przebudowę rzutni granatem na poligonie w Orzyszu. Gdy doliczymy do tego przebudowę, budowę lub modernizację obiektów logistycznych, okaże się, że potrzeba setek milionów złotych.

Być może właśnie ze względu na koszty tak wolno postępuje tworzenie centralnego poligonu. W samym Drawsku jest 207 różnego rodzaju budynków o łącznej powierzchni użytkowej 55 138 m². Wiele z nich wymaga pilnych remontów. Każda inwestycja w bazę szkoleniową zwiększa jednak potencjał wojsk. Wprowadzone zmiany, poniesione nakłady bez wątpienia przyniosą efekty – nie tylko szkoleniowe, lecz także ekonomiczne. ■

4708

tyle osób można jednocześnie zakwaterować w budynkach i kontenerach na poligonach i w ośrodkach



ARTUR GOŁAWSKI

POŁĄCZONA SIŁA WOJSKA

Inaugurując działanie nowego systemu kierowania i dowodzenia siłami zbrojnymi, nie spodziewaliśmy się, że jego efektywność już wkrótce zostanie poddana sprawdzianowi.

Rok 2014 przejdzie do historii Wojska Polskiego jako czas szczególny – za sprawą wdrożenia nowego systemu kierowania i dowodzenia siłami zbrojnymi oraz największej od lat liczby ćwiczeń, w jakich uczestniczyli nasi żołnierze. Trafność reformy, której celem jest rozdzielenie kompetencji w dziedzinie planowania, szkolenia i dowodzenia oraz uzyskanie w wojsku nowej jakości, wynikającej z połączonych działań wszystkich rodzajów sił zbrojnych i wojsk, potwierdzają wydarzenia geopolityczne i wojskowe, będące skutkiem konfliktu rosyjsko-ukraińskiego. „Zmiany wprowadzone w systemie kierowania i dowodzenia pozwalają nam łatwiej i szybciej organizować coraz bardziej skomplikowane przedsięwzięcia w wymiarze połączonym i wielonarodowym”, ocenia gen. broni pil. Lech Majewski, dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych. „Dzięki nim potrafimy lepiej niż w poprzednim systemie oddzielnych dowództw reagować na negatywny rozwój sytuacji w sąsiedztwie”. Generał podkreśla, że korzyści wynikające z reformy uwidoczniają się w kilku dziedzinach. Na poziomie Dowództwa Generalnego najważniejsze są kwestie szkolenia i użycia podległych wojsk oraz modernizacji technicznej.

Gdy zaostrzyła się sytuacja na Ukrainie, w odpowiedzi na wniosek rządu, przedstawiony przez ministra obrony Toma-

sza Siemoniaka w Waszyngtonie, już po tygodniu przybyli do bazy w Łasku lotnicy amerykańscy z samolotami F-16 w ramach nieplanowanego szkolenia Aviation Detachment. Półtora miesiąca później w Malborku wylądowali piloci francuscy, wzmacniający samolotami Rafale i Mirage misję „Baltic Air Policing”. „Do ich obecności musieli błyskawicznie dostosować się nie tylko lotnicy, lecz także logistycy i szkoleniowcy, korygując dopiero co uruchomione plany przedsięwzięć na rok 2014. Nie chodziło przy tym o wspólne zajęcia w powietrzu, lecz włączenie do współpracy – zgodnie z celem reformy – wszystkich rodzajów sił zbrojnych, a więc zaangażowanie do zajęć z sojusznikami także marynarzy i żołnierzy wojsk lądowych oraz specjalnych”, zaznacza dowódca generalny.

Dzięki temu, że w nowym dowództwie znalazły się inspektoraty wszystkich rodzajów sił zbrojnych i wojsk, uzgodnienia szczegółów ambitnych i nagłych przedsięwzięć – takich właśnie jak wzmocnienie szkoleniowe naszych wojsk – mogą być skrócone z tygodni do dni, a niekiedy nawet godzin.

Nowy system dowodzenia sprawdził się też w wypadku przyjęcia kolejnych komponentów przybywających do Polski w ramach stałego rotacyjnego wzmocnienia wschodnich rubie-



PO ROKU DZIAŁANIA DOWÓDZTWA GENERALNEGO RODZAJÓW SIŁ ZBROJNYCH MOŻEMY STWIERDZIĆ, ŻE REFORMA SIĘ SPRAWDZA

ży NATO. „Gdy pod koniec kwietnia 2014 roku na poligonie drawskim mieli pojawić się Amerykanie ze 173 Brygady Piechoty Powietrznodesantowej, przygotowania do ich przyjęcia potoczyły się błyskawicznie”, wspomina gen. bryg. Andrzej Danielewski, inspektor szkolenia. „Nie było to łatwe, gdyż ustalenia planistyczne musiały uwzględnić kwestie szkoleniowe, zaopatrzenia, zakwaterowania, łączności, dostępności infrastruktury poligonowej i lotniskowej, opieki medycznej, ochrony. To, że partnerem do negocjacji dla Dowództwa Sił Zbrojnych USA w Europie było połączone Dowództwo Generalne RSZ, ułatwiło rozwiązywanie problemów wymagających współpracy różnych rodzajów wojsk”.

Dzięki temu spadochroniarze z Vincenzy jako Airborne Detachment niemal z marszu zaczęli zajęcia z żołnierzami z krakowskiej 6 Brygady Powietrznodesantowej, do których w czerwcu dołączyły kompania kanadyjska (Maple Detachment) i komponent śmigłowcowy amerykańskich wojsk lądowych, korzystający z lotnisk sił powietrznych w Świdwinie i Mirosławcu.

Podobnie sprawy potoczyły się we wrześniu, gdy Francuzów w bazie w Malborku zastąpili Holendrzy, oraz w październiku. W Powidzu pojawili się wówczas amerykańscy lotnicy z samolotami C-130, a na poligonie drawskim miejsce spadochroniarzy zajęli pancerniacy z Teksasu jako Heavy Detachment (szkołący się z 7 Brygadą Obrony Wybrzeża). Na poligon żagański przybyli z kolei z Wielkiej Brytanii pancerniacy na szkolenie „Black Eagle” z 10 Brygadą Kawalerii Pancerniej.

Na podkreślenie zasługuje aktywność wojsk specjalnych. Od wiosny nasi specjaliści niemal nie schodzili z poligonów, ośrodków szkoleniowych i strzelnic. Trenowali tam samodzielnie oraz z sojusznikami z wielu państw NATO. Dzięki temu z oceną celującą zdali najważniejszy egzamin – wielonarodowe ćwiczenia certyfikujące dowództwo komponentu wojsk specjalnych „Noble Sword”, dopuszczające do dowodzenia komponentem wojsk specjalnych Sił Odpowiedzi NATO. Taką zdolność uzyskali jako pierwsze państwo w naszej części Europy i siódme w sojuszu.

PRZYSPIESZONE SZKOLENIE

„Dzięki ciągłej, rotacyjnej obecności pododdziałów państw NATO w Drawsku Pomorskim, Żaganiu, Mirosławcu, Łasku, Malborku, Powidzu oraz innych miejscach nasi żołnierze od połowy marca niemal codziennie ćwiczą w środowisku sojuszniczym, z doborowymi pododdziałami państw NATO, doskonaląc umiejętności operacyjne i taktyczne, w tym desanty spadochronowe, atakowanie celów naziemnych, działania specjalne, walki powietrzne, przełamywanie obrony przeciwlotniczej, wymagające współdziałania różnych rodzajów sił zbrojnych i wojsk. W szkoleniu efekt reformy systemu dowodzenia został osiągnięty”, zaznacza gen. Majewski. Przyznaje, że sprawdził się również przyjęty podział kompetencji między dowództwami operacyjnym i generalnym, związany z funkcjami force user – force provider. W odpowiedzi na potrzeby zgłaszane przez Dowództwo Operacyjne Rodzajów Sił Zbrojnych, Dowództwo Generalne przekazywało w podporządkowanie dowódcy operacyjnemu siły i środki umożliwiające monitorowanie rozwoju sytuacji w sąsiedztwie Polski i udział w misjach zagranicznych – od środkowej Afryki, przez misję lotniczą na Litwie, po operację afgańską.

„Dzięki intensyfikacji szkolenia w 2014 roku przeprowadziliśmy łącznie około 150 szkoleń, z czego prawie 40 międzynarodowych”, wylicza gen. Majewski. Bywały dni, że na poligonach i przykoszarowych placach ćwiczeń trenowało niemal 40 tys. naszych żołnierzy i blisko 2 tys. z innych państw. Udział w tych przedsięwzięciach pozwolił dowódcom i żołnierzom doskonalić umiejętności planowania, dowodzenia i walki, czyli przyczynił się do zwiększenia gotowości bojowej naszych jednostek. „Dzięki temu, że mogliśmy często wykonywać misje szkolne z sojuszniczymi lotnikami, w mojej jednostce przyspieszyliśmy tempo doskonalenia młodych pilotów”, przyznaje dowódca 22 Bazy Lotnictwa Taktycznego płk pil. Leszek Błach. Podobne rezultaty widać w bazach, gdzie stacjonują samoloty F-16 i transportowe. ➔

MIROSLAW CYRYL WOJTCIŃC

Bilateralne ćwiczenia były też okazją do weryfikacji jakości uzbrojenia i sprzętu oraz sprawdzenia procedur przyjęcia sojusznicznych sił wzmocnienia i wywiązywania się z obowiązków państwa-gospodarza. „Rok 2015 zapowiada się w tej dziedzinie równie intensywnie. Zaplanowaliśmy o jedną trzecią więcej szkoleń niż w roku minionym”, zapowiada dowódca generalny. „Zorganizujemy dziesięć dużych ćwiczeń wielonarodowych. Będziemy kontynuować szkolenia poligonowe z żołnierzami wojsk lądowych i Gwardii Narodowej Stanów Zjednoczonych, a także z lotnikami amerykańskimi z Aviation Detachment oraz belgijskimi, wzmocniającymi misję »Baltic Air Policing«, z żołnierzami niemieckimi, francuskimi, kanadyjskimi i brytyjskimi”.

SZYBCIEJ NOWOCZEŚNI

Ustawowa zmiana systemu dowodzenia i kierowania siłami zbrojnymi skutkuje tym, że mamy jedno dowództwo odpowiedzialne za wszechstronne przygotowanie wojsk do działania. Ustanowiła ona również nowe relacje w systemie pozyskiwania sprzętu wojskowego, przyznając Dowództwu Generalnemu RSZ ważną rolę w procesie modernizacji technicznej, który ma istotny wpływ na przyszłość całego Wojska Polskiego. Wynika to z umiejscowienia około 80% gestorów w komórkach wewnętrznych DGRSZ, jak również powierzenia przez ministra obrony Tomasza Siemioniaka funkcji dyrektorów wszystkich programów operacyjnych inspektorom i szefom zarządów w inspektoratach rodzajów sił i rodzajów wojsk.

W nowym systemie rytmiczność modernizacji i wydatkowanie przeznaczanej na nią części budżetu nadal nadzoruje sekretarz stanu w MON Czesław Mroczek, a za procedury zamówień odpowiada, tak jak wcześniej, Inspektorat Uzbrojenia. Szczególny nacisk położono jednak na współpracę wszystkich podmiotów zajmujących się unowocześnianiem naszego arsenału. W centrali resortu odbywają się teraz pod kierownictwem wiceministra Mroczka regularne odprawy z udziałem dyrektorów i gestorów, na których są omawiane postępy w realizacji poszczególnych przedsięwzięć modernizacyjnych. Tam widać najlepiej, że programy operacyjne stały się elementem planowania i programowania rozwoju wojska.

Gestorzy sprzętu wojskowego (oficerowie z oddziałów gestorstwa i rozwoju w inspektoratach: Wojsk Lądowych, Sił Powietrznych, Marynarki Wojennej, Wojsk Specjalnych, Rodzajów Wojsk i Oddziału Bazy Szkoleniowej w Inspektoracie Szkolenia oraz jednostek podporządkowanych DGRSZ) odpowiadają między innymi za uczestnictwo w identyfikacji i weryfikacji potrzeb, w opracowywaniu planów rzeczowych w celu uwzględnienia kierunków rozwoju poszczególnych systemów sprzętu, wnioskowanie o wprowadzenie do wyposażenia (i wycofanie z niego) Wojska Polskiego nowych typów i rodzajów sprzętu, a także organizowanie badań eksploatacyjno-wojskowych i kierowanie nimi. To oni definiują wymagania taktyczno-techniczne, współuczestniczą w przygotowaniu wstępnych założeń taktyczno-technicznych, określają kierunki rozwoju sprzętu, a także zasady jego bojowego wykorzystania.

Dowództwo Generalne, poprzez gestorów, uczestniczy również w ustalaniu występowania podstawowego interesu bezpieczeństwa państwa. Stwierdzenie takiej sytuacji daje krajowemu

przemysłowi możliwość ubiegania się o zamówienia wojska, a tym samym pozwala pozyskiwać i rozwijać nowe technologie i utrzymywać miejsca pracy w Polsce. W tym roku oficerowie DGRSZ zainicjowali procedurę oceny występowania podstawowego interesu bezpieczeństwa państwa dla ponad 100 zadań ujętych w planie modernizacji technicznej.

Przywołane procesy wymagają koordynacji prac ekspertów z różnych dziedzin, rodzajów wojsk i służb, co najlepiej uzyskać właśnie w dowództwie połączonym. „Dotyczy to szczególnie programów, które mają zwiększać zdolności operacyjne rodzajów sił zbrojnych”, wyjaśnia płk Robert Konopka, szef Zarządu Planowania Rozwoju DGRSZ, na którym spoczywa zadanie koordynowania wspólnych przedsięwzięć realizowanych przez wszystkich gestorów w dowództwie.

O randze, jaka została nadana w DGRSZ tej problematyce, świadczy to, że koordynatorem przedsięwzięć związanych z planowaniem modernizacji i wykonaniem planu jest zastępca dowódcy generalnego, gen. dyw. Jerzy Michałowski. Nic dziwnego, że zatwierdzony projekt tego planu stanowi podstawę do wszczęcia wieloletnich procedur zamówień na dostawę broni, sprzętu i usług wartych setki milionów złotych.

DECYZJE MODERNIZACYJNE

Efektywność nowego systemu kierowania i dowodzenia w dziedzinie modernizacji została potwierdzona, gdy prezydent RP zaproponował, a premier poparł zwiększenie budżetu obronnego państwa do 2% produktu krajowego brutto. Wówczas, po uzyskaniu prognoz na temat dostępnych dzięki tej inicjatywie środków, specjaliści z DGRSZ przeanalizowali możliwości

przyspieszenia wybranych przedsięwzięć unowocześniających nasze wojsko. Uzgodnienia poczynione przez nich z oficerami SGWP oraz Inspektoratu Uzbrojenia pozwoliły szybko wskazać, które zadania można i należy przyspieszyć lub czy zwiększyć skalę planowanych zamówień. Wybór gestorów padł na zdolności operacyjne do rażenia, wsparcie działań oraz rozpoznanie.

Niebawem deklaracje powinny zamienić się w procedury przetargowe.

Należy się spodziewać, że do połączo-

nych sił zbrojnych szybciej niż jeszcze rok temu planowano trafią nowoczesne systemy walki, w tym bezałogowe statki powietrzne czy śmigłowce uderzeniowe.

„Nie możemy i nie chcemy powtarzać błędów z przeszłości i być spóźnieni przynajmniej o jedną generację w stosunku do uzbrojenia potencjalnych przeciwników. Musimy dokonać przeskoku generacyjnego w wielu kategoriach uzbrojenia”, komentuje gen. Majewski. „Dzięki temu, co osiągnęliśmy w ciągu 15 lat członkostwa w NATO, dzięki badaniom, programom zbrojeniowym i inwestycjom tworzymy armię coraz lepiej wyszkoloną, wyposażoną i zorganizowaną. Już teraz jesteśmy liczącą się siłą w NATO i Unii Europejskiej. Jestem przekonany, że kontynuując rozpoczęte programy modernizacyjne oraz reformę systemu dowodzenia, staniemy się równorzędnym partnerem dla najważniejszych sojuszników. Ze spotkań z ich dowódcami wiem, że obserwują i analizują nasze doświadczenia z działaniami połączonymi. Także dlatego jesteśmy dla nich cennym partnerem do ćwiczeń i współpracy zbrojeniowej”. ■

MAMY JEDNO DOWÓDZTWO ODPOWIEDZIALNE ZA WSZECHSTRONNE PRZYGOTOWANIE WOJSK DO DZIAŁANIA

ST. SZER. MAREK SZEWCZYK

W wojsku służy od: 2009 roku.



Data i miejsce urodzenia:
17 października 1984 roku,
Wrocław.

Tradycje wojskowe: brak.

Stanowisko: młodszy kierowca w 10 Wrocławskim Pułku Dowodzenia.



Edukacja wojskowa:

kurs dla kierowców.

Misje i ćwiczenia: jeszcze wszystko przede mną.

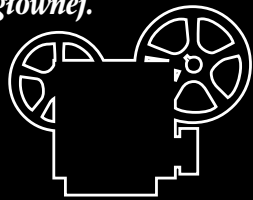
Gdybym mógł zmienić coś w wojsku: chciałbym, by wszyscy żołnierze, niezależnie od stopnia wojskowego, mieli poczucie pełnej stabilizacji zawodowej. Byłoby to, moim zdaniem, dobre rozwiązanie dla całej armii, a młodych ludzi dodatkowo motywowałoby do służby.



Moja książka życia: poradnik dla początkujących biegaczy: „Biegam przez życie”, Jerzego Skarżyńskiego. Przeczytanie tej książki pozwoliło mi na początku swojej przygody ze sportem uniknąć błędów popełnianych przez amatorów.

Niezapomniany film:

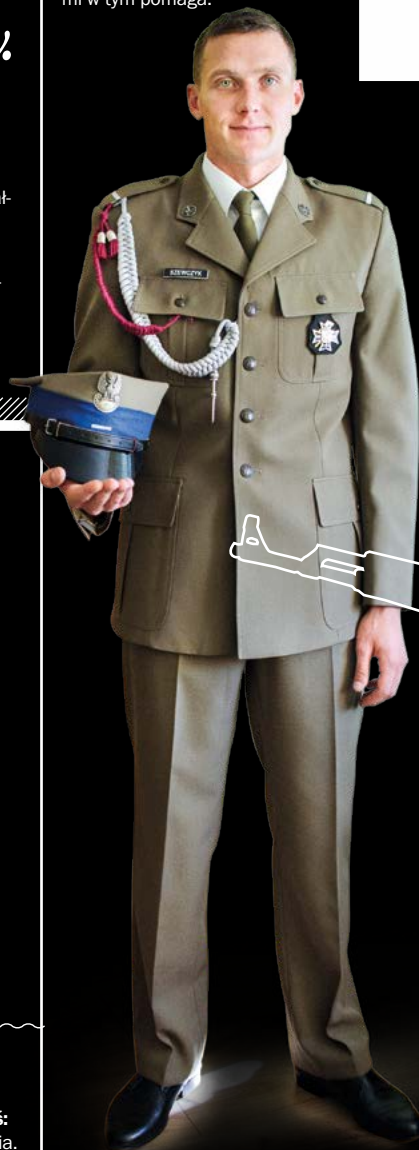
„Dla niej wszystko” z Russellem Crowe’em w roli głównej.



Gdybym nie został żołnierzem, byłbym dziś: ratownikiem wodnym i instruktorem pływania.

Przełomowe wydarzenie w życiu: ponieważ sporty wytrzymałościowe są ważną częścią mojego życia, to przełomowym wydarzeniem jest dla mnie udział w maratonie w Rzymie w 2012 roku. Rok później zdobyłem koronę maratonów w Polsce i zacząłem się interesować triathlonem.

Zostałem żołnierzem bo: wojsko od zawsze kojarzyło mi się z prestiżem i stabilnością finansową. Chcę godnie reprezentować naszą Ojczyznę, a zawód żołnierza mi w tym pomaga.



W umundurowaniu polskiego żołnierza podobają mi się: dobry styl i jego prosta forma.

Moje największe osiągnięcie: zajęcie w tym roku drugiego miejsca w Triathlonie Karkonoskim (ok. 2 km pływania w jeziorze, ok. 91 km jazdy na rowerze po górach oraz bieg po górskich szlakach na dystansie 22 km). Dodatkowo zająłem trzecie miejsce w triathlonie w Wolsztynie. W czasie 9 godz. i 23 min. pokonałem tak zwany dystans Ironman, czyli pływanie na 3,9 km, jazda rowerem przez 180 km i bieg na dystansie 42,2 km.



Najlepsza broń:

**kbk AKM
7,62 mm**



Co robię po służbie: jestem dobrze zorganizowany, więc czas wolny dzielę między treningi i przyjemności, na przykład spotkania z przyjaciółmi.



KRYZSYTOF WOJCIEWSKI

NASZA DOMENA TO PLANOWANIE

Z gen. Mieczysławem Goculem

o reformie systemu dowodzenia i doktrynie bezpieczeństwa
rozmawiają Norbert Bączyk i Tadeusz Wróbel.

Jak Pan General ocenia reformę struktur dowodzenia? Czy została ona przeprowadzona zgodnie z planem?

To pytanie do jej autorów, którzy zdecydowali o ostatecznym kształcie. Ja mogę wypowiedzieć się na temat tego, jak funkcjonują siły zbrojne w nowej rzeczywistości. Pomimo że zakres zmian wskazuje na rewolucyjny charakter reformy, udało się nam w sposób ewolucyjny wdrożyć jej postanowienia, zapewniając ciągłość funkcjonowania podstawowych systemów. Wprowadzono ją między innymi po to, aby spłaszczyć system dowodzenia, a więc zredukować liczbę szczebli dowodzenia oraz stanowisk w tych strukturach, a także wyeliminować powielanie zadań i dublowanie się stanowisk, czyli ograniczyć biurokrację. Każda instytucja ma skłonność do biurokratyzowania się, także wojsko. I faktycznie, w wyniku reformy niewątpliwie nastąpiło uproszczenie ścieżek decyzyjnych. Detale dotyczące funkcjonowania nowych dowództw nie były rozpisane szczegółowo w ustawie o urzędzie ministra. Wynikały z prowadzonych odpraw, analiz i gier decyzyjnych. Wydaje się, że Dowództwo Generalne Rodzajów Sił Zbrojnych spełnia pokładane w nim nadzieje. Potwierdziło się to chociażby przy okazji kryzysu na Ukrainie i obecności sił sojuszniczych w Polsce. Potrzeba jednak czasu, by mogło ono okrzepnąć, ponieważ jest to nowa struktura. Dowództwo to nie nabyło jeszcze niezwykle ważnego atrybutu – pamięci instytucjonalnej. W lepszej sytuacji jest Dowództwo Operacyjne Rodzajów Sił Zbrojnych, gdyż tam zmiany dotyczyły głównie przyjęcia nowych zadań, natomiast sama struktura istnieje od 2004 roku.

Jak zatem krótko można podsumować pierwszy rok reformy?

Założenia zostały zrealizowane, ale jest potrzebna ewaluacja systemu. Trzeba się zastanowić, czy jest to docelowy model funkcjonowania. Powstał już zespół, który oceni zmiany. Waż-

ne, aby ewaluację przeprowadzić w sposób obiektywny, kolegialnie. Dlatego w skład zespołu pod przewodnictwem wiceministra Czesława Mroczyka wejdą przedstawiciele różnych struktur dowódczych i instytucji MON. Przeglądowi zostaną poddane DGRSZ, DORSZ, Żandarmeria Wojskowa i Dowództwo Garnizonu Warszawa. Sądzę, że gdy od kwietnia urząd ministra obrony narodowej zacznie funkcjonować w nowej strukturze, przeglądowi zostanie poddany także SGWP, by ocenić, czy będzie wówczas w stanie wykonywać postawione przed nim zadania.

Wspomniał Pan, że system dowodzenia jest nadal reformowany. Co wymaga zmian w pierwszej kolejności?

Przed wszystkim zmian wymagają zasady funkcjonowania sił zbrojnych podczas kryzysu i wojny, bo obecnie ustawa o ministrze obrony narodowej odnosi się tylko do czasu pokoju. Proces legislacyjny trwa. Nowe uregulowania, w tym o kompetencjach naczelnego dowódcy, są przygotowywane. Na etapie rozstrzygnięcia jest kwestia reformy urzędu ministra obrony narodowej. A skoro Sztab Generalny jest jego częścią, to oznacza to dostosowanie jego struktury do nowych zadań. Istotną kwestią jest również to, by nie wchodzić w cudze kompetencje. Wojsko jest strukturą hierarchiczną. Żołnierz na określonym stanowisku nie może domniemywać, lecz ma dokładnie wiedzieć, jakie są jego zadania i za co odpowiada. Trzeba zatem doprecyzować, co jest domeną sztabu, a co określonych dowództw. Inną ważną kwestią pozostaje ustalenie, kto odpowiada za wydawanie dokumentów doktrynalnych. W sztabie są organizatorzy systemów funkcjonalnych. I tak, przykładowo, za dowodzenie odpowiada szef P6, a za rozpoznanie szef P2. Uważam, że muszą oni mieć wpływ na to, co dzieje się na niższych szczeblach dowodzenia. Dlatego jest postulowana bliska współpraca między Sztabem Generalnym a dowództwami Generalnym i Operacyjnym. Jako sztab mamy →

uprawnienia do nadzoru nad ogólną i operacyjną działalnością sił zbrojnych, ale bez uprawnień władczych. Te ma dziś minister obrony narodowej. Gdy ja mam wnioski, pomysły, jak rozwiązać określone zagadnienie, przekazuję je mojemu cywilnemu zwierzchnikowi. Decyzja natomiast należy do ministra.

Jak zmieni się rola Sztabu Generalnego?

Sztab dobrze wkomponował się w nowe zadania. Rozumiemy jednocześnie, jaką odpowiedzialność ponoszą dziś dowódcy generalny i operacyjny, bo wcześniej to my odpowiadaliśmy za całość tej problematyki. W przyszłości sztab będzie mniejszy liczebnie. Nastąpi integracja zarządów: odpowiadającego za system rażenia, bezpieczeństwo wojsk i użycie sił zbrojnych P3 z zarządem P7, odpowiedzialnym za szkolenie. W pozostałych zarządach nastąpią zmiany w strukturach wewnętrznych, co wynika z nowych zadań. Wcześniej Sztab Generalny przygotowywał pewne rozwiązania i je wdrażał. Teraz skupi się na ich przygotowaniu pod względem planistycznym. Ostatnio na polecenie premiera, w uzgodnieniu z innymi resortami, opracowaliśmy „Plan wzmocnienia bezpieczeństwa państwa”, co wskazuje na planistyczny charakter Sztabu Generalnego na poziomie strategicznym. Mamy nową strategię bezpieczeństwa narodowego, z której wynika polityczno-strategiczna dyrektywa obronna. To jest dla nas zasadniczy dokument o charakterze ściśle tajnym, z którego czerpiemy informacje o tym, jakie zadania są przewidziane dla sił zbrojnych na czas kryzysu i wojny. Zawarto w nim wskazania, jakie plany obronne powinny być wykonywane, co mają zawierać i kto ma je zatwierdzać. Na nasze plany ma wpływ nie tylko dyrektywa, lecz także członkostwo Polski w NATO i Unii Europejskiej. Wynikają z tego zobowiązania Rzeczypospolitej. W planie rozwoju sił zbrojnych natomiast określamy, jakie zdolności obronne są nam niezbędne do wypełnienia konstytucyjnych powinności, z priorytetami ich rozwoju.

Wspomniał Pan Generał o NATO. Nowa strategia bezpieczeństwa narodowego i polityczno-wojskowa dyrektywa obronna mają nadrzędną rolę. Czy wynikające z nich kierunki reformy nie będą odchodzić od oczekiwań sojuszu?

Absolutnie nie. Wiosną ubiegłego roku pan prezydent na odprawie kadry kierowniczej MON i sił zbrojnych powiedział, że bezpieczeństwo militarne Polski musimy oprzeć na trzech podstawowych filarach: własnym potencjale wojskowym, powszechnym przygotowaniu obronnym pozostałych struktur państwa oraz wiarygodnych sojuszach międzynarodowych. Ta wykładnia znalazła się w strategii bezpieczeństwa. Rozwijamy zdolności, które uważamy za niezbędne dla obronności państwa. Jeżeli jest nam po drodze z inicjatywami sojuszniczymi, to wpisujemy się w cele natowskie. My jednak nie mamy potrzeby na przykład przerzutu dwóch dywizji poza granice państwa, więc nie kupujemy dziesiątek strategicznych samolotów transportowych. Rozwijamy za to możliwości w innych dziedzinach. Pragnę jednak zapewnić, że 14 naszych programów operacyjnych nawet w ponad 80% pokrywa się z oczekiwaniami sojuszu wobec Wojska Polskiego. NATO dostrzega naszą determinację w rozwijaniu tych zdolności obronnych.

Czy wydarzenia na Ukrainie mają wpływ na nasze planowanie obronne?

Bardzo uważnie śledzimy i analizujemy trwający na wschodzie tego kraju konflikt. Systematycznie powstaje opracowanie

W wyniku reformy nastąpiło uproszczenie ścieżek decyzyjnych

dotyczące tego, co dzieje się na Ukrainie z wojskowego punktu widzenia. Sprawdzamy, czy mamy do czynienia z pewnymi tendencjami, czy tylko przypadkowymi zdarzeniami. Wiele wniosków już zostało uwzględnionych w dokumentach wykonawczych. Jednym z nich jest wspomniany „Plan wzmocnienia bezpieczeństwa państwa”.

W Polsce niektórzy straszą pojawieniem się „zielonych ludzików” na naszej wschodniej granicy.

Uważam, że w Polsce absolutnie nie ma warunków i przeszerzeń do takich działań, jak na wschodzie Ukrainy. Tam jest zupełnie inna sytuacja społeczna, inna struktura etniczna, a rosyjsko-ukraińska granica jest tak naprawdę umowna.

Na szczycie NATO w Walii wzmocnienie wschodniej flanki sojuszu stało się jednak tematem wiodącym.

Pierwotnie na szczycie NATO w walijskim Newport głównymi zagadnieniami, o których mieliśmy rozmawiać, były między innymi ewentualna misja szkoleniowa w Afganistanie po 2014 roku, rozwój zdolności obronnych sojuszu do 2020 roku oraz rola i znaczenie więzi transatlantyckich dla bezpieczeństwa Europy. Eskalacja kryzysu ukraińskiego spowodowała jednak konieczność weryfikacji tych założeń. Stąd też na szczycie w Walii rozmawiano o potrzebie wzmocnienia wschodniej flanki NATO. Przyjęto plan działań na rzecz podniesienia gotowości sojuszu. Założenia tego dokumentu opierają się na czterech zasadniczych filarach. Pierwszy to utrzymanie obecności wojsk państw członkowskich w krajach wschodniej flanki NATO, w tym w Polsce. Głównym celem stacjonowania tych sił jest podkreślenie obecności sojuszu w tych właśnie krajach, w tym w formie wspólnych ćwiczeń i szkoleń. Kolejny filar to podniesienie gotowości bojowej Sił Odpowiedzi NATO. Według najnowszych rekomendacji dowódców strategicznych i uzgodnień na szczeblu Komitetu Wojskowego NATO, ma to być jednostka wielkości brygady z elementami wsparcia lotniczego i morskiego, gotowa do podjęcia działań w ciągu kilku dni. Zdecydowano o zasadniczej przebudowie struktur sił odpowiedzi sojuszu i o czasie ich gotowości do podjęcia działania. Nowym elementem będą Very High Readiness Joint Task Force – VJTF [tzw. połączone siły zadaniowe bardzo wysokiej gotowości]. W dalszej kolejności plan wskazuje na konieczność opracowania odpowiedniego systemu dowodzenia dla tak przygotowanych jednostek na bazie dowództwa

Korpusu Północno-Wschodniego w Szczecinie. Jest to kolejny filar w dziedzinie dowodzenia. Ostatni z filarów to przegląd procedur planowania obronnego, w tym planów wariantowych, które zostały uaktualnione i zatwierdzone.

Zmieńmy nieco temat. Czy czasami nie jesteśmy zbyt ambitni w kwestii modernizacji sił zbrojnych? Czy na wszystko wystarczy nam pieniędzy?

Pierwsza zasada w boksie to: nigdy nie walcz powyżej swojej kategorii. Jesteśmy w NATO krajem średniej wielkości. Gdy patrzę na państwa, które są nowymi członkami sojuszu lub starają się o przyjęcie do niego, to widzę, że czasami napinają muskuły ponad miarę. Przed laty też tacy byliśmy. Niekiedy przyjmowaliśmy określone cele natowskie, nie zdając sobie w pełni sprawy z tego, jakie będą konsekwencje. Dziś mamy już odpowiednią wiedzę i doświadczenie, by nie popełniać podobnych błędów. Na bieżąco monitorujemy i analizujemy realizację wszystkich programów operacyjnych oraz, jeśli jest potrzeba, dokonujemy korekt. Pragnę podkreślić, że taki program to nie tylko zakup sprzętu, lecz także przygotowanie zaplecza logistycznego i szkoleniowego, tworzenie niezbędnej infrastruktury, opracowanie doktryn i zasad operacyjnego wykorzystania sprzętu, wcześniejsze wysłanie żołnierzy na szkolenie. Pragnę zapewnić, że wszystkie przewidziane programy mają pokrycie finansowe. Oczywiście mówimy tu o środkach zaplanowanych. Opiaramy się na planie finansów państwa na rok bieżący i następne trzy lata oraz na prognozach wskaźników makroekonomicznych na dziesięć lat.

Odnosnie do części programów decyzje jednak już powinny zapaść, a czasem widać poważne opóźnienia...

Nie zaprzeczam, że z różnych powodów są opóźnienia. W państwach demokratycznych procedury wyboru uzbrojenia i sprzętu wojskowego muszą być transparentne, a to oczywiście wpływa na cały proces. Innym powodem opóźnień jest to, że chcemy kupić jak najlepszy sprzęt, a nie to, co się da. Wymagania asortyment nie czeka jednak na sklepowej półce.

Czy oprócz planów modernizacyjnych są plany reorganizacji struktur? Na przykład likwidacji dowództw szczebla dywizji?

No cóż, musimy tu odpowiedzieć sobie na podstawowe pytanie, czy jest nam potrzebny szczebel dywizji. Moim zdaniem, w realiach polskich, tak.

A czy zamierzamy zachować w najbliższych latach wszystkie brygady ogólnowojskowe, z których przecież część ma bardzo niskie uкомплекowanie?

Gdybym dziś odpowiedział na pytanie, czy będziemy redukować liczbę brygad, wyszedłbym na osobę nieodpowiedzialną, bo wkroczyłbym w kompetencje prezydenta, rządu i ministra obrony. Decyzję w sprawie liczby brygad podejmuje właściwi decydenci. W wojskach lądowych mamy 13 dowództw takich brygad z różnym poziomem rozwinięcia. Jednostki pierwszej kolejności użycia mogą prowadzić działania bez konieczności większej mobi-

lizacji. Pozostałe – po mobilizacyjnym rozwinięciu. Nad kwestiami mobilizacyjnymi Sztab Generalny pochyla się ze szczególną troską. Od dawna podkreślamy, że musimy budować i utrzymywać rezerwy na czas wojny.

Jak zatem wygląda kwestia rezerw osobowych w naszych siłach zbrojnych?

Mamy świadomość, że nasze rezerwy osobowe się zmniejszają, a rezerwiści są coraz starsi. Czerwona lampka zapaliła się w 2013 roku. Wówczas premier podjął decyzję o wznowieniu szkolenia rezerwistów, którzy w przeszłości odbyli zasadniczą służbę wojskową. Są jednak też inne źródła zwiększania rezerw. Otóż co roku szkolimy 7–7,5 tysiąca chętnych do Narodowych Sił Rezerwowych. Nie wszyscy z nich decydują się na przyjęcie przydziałów kryzysowych. Osoby po kilkumiesięcznym szkoleniu wojskowym zwiększają nasze rezerwy, bo znają regulaminy, taktykę i nauczyły się obsługi broni strzeleckiej. Co roku z wojska odchodzi około 3 tysięcy żołnierzy zawodowych, oficerów i podoficerów. Oni w większości też stają się cennymi rezerwistami. Dostrzegalnym problemem jest wyczerpywanie się zasobów oficerów rezerwy, ponieważ ci najdłużej są w służbie czynnej i kończą ją w wieku emerytalnym.

Jak temu zaradzić?

Jest propozycja, aby zaoferować ochotnicze szkolenie oficerskie studentom uczelni wojskowych na kierunkach cywilnych, a nawet osobom z uczelni cywilnych, które są na kierunkach związanych z obronnością. Zainteresowani studenci po zakończeniu szkolenia otrzymywaliby stopień podporucznika rezerwy.

Wspomniał Pan Generał o odchodzeniu z wojska co roku od kilkuset do kilku tysięcy żołnierzy. Od pewnego czasu w mediach jest bardzo nagłaśniana sprawa szeregowych, którzy odsłużyli 12 lat i muszą się pożegnać z mundurem. Pojawiają się opinie, że należałoby wydłużyć im okres służby. Jakie jest Pana zdanie na ten temat?

Podczas zagranicznych wizyt w jednostkach pytałem oficerów o czas służby szeregowych. I co ciekawe, najczęściej słyszałem w odpowiedzi, że służą zbyt długo (sic!). Nie zaprzeczę, że system bezpieczeństwa państwa zyskuje na 12-letniej służbie szeregowych, ponieważ przez następne kilkanaście lat mamy świetnie wyszkolonych rezerwistów. Gdyby służba czynna trwała 25 lat, skróciłoby się przebywanie w rezerwie. Wydłużenie służby leży oczywiście w interesie poszczególnych żołnierzy, ale moim zdaniem jest to przejaw krótkowzroczności. Każdy rok dłużej w mundurze, jeśli żołnierze nie przejdą do korpusu podoficerskiego, utrudni im później znalezienie swego miejsca w środowisku cywilnym. Dlatego radzimy im w takim wypadku, by na dwa lata przed końcem służby zaczęli przygotowywać się do życia w cywilu. W wojsku jest proces rekonwersji. Można też nabyć uprawnienia ułatwiające znalezienie pracy. ■

WIZYTÓWKA

GEN. MIECZYŚLAW GOCUŁ

W służbie od 1983 roku. Przez lata był związany z 12 Dywizją Zmechanizowaną, służył także w 1 Korpusie Zmechanizowanym i w PKW Irak. Od 2007 roku w Sztapie Generalnym Wojska Polskiego: najpierw pełnił obowiązki szefa P2, potem P5, w 2010 roku objął stanowisko pierwszego zastępcy szefa SGWP, a od 2013 roku jest jego szefem.

▶ W najnowszym numerze „Przeglądu Sił Zbrojnych” 1/2015 tekst szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego.

NORBERT BĄCZYK

Bieg z przeszkodami

Decyzja o zakupie kolejnej partii leopardów oznacza wzmocnienie naszej armii. Implikuje ona jednak wiele innych decyzji. A przynajmniej powinna implikować.

Czy to, że najpierw kupujemy jakiś sprzęt wojskowy, a dopiero później zaczynamy myśleć o odpowiedniej dla niego bazie serwisowej i szkoleniowej, nie staje się już nieznośną manierą? Gdy pojawiła się informacja, że Wojsko Polskie dostanie nową partię czołgów Leopard 2, większość ekspertów była zgodna – to dobra wiadomość, pozwalająca na znaczące zwiększenie nowoczesności naszych pancernych arsenałów, nawet jeśli czołgi nie są nowe. Tak jest w istocie. Na szczęście te wozy otrzymuje 34 Brygada Kawalerii Pancernej w Żaganiu. Wprawdzie dotąd skadowana, ale z odpowiednim zapleczem lokalowym i technicznym. Wchodzi ona w skład 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej, której jest podporządkowana również 10 Brygada Kawalerii Pancernej z pobliskiego Świątoszowa, eksploatująca leopardy od przeszło dekady. A zatem czołgi nowej partii trafią w ten sam rejon, do tej samej dywizji. Mądra i przemyślana decyzja.

Sam zakup sprzętu, bagatela 119 czołgów – 105 Leopard 2A5 oraz 14 Leopard 2A4 – i około 200 pojazdów wsparcia, w tym wozy zabezpieczenia technicznego Bergepanzer 2, samochody terenowe Mercedes-Benz 250 GD Wolf, ciężarówki Unimog, wszystko to za około 780 mln zł, to dopiero początek. Początek procesu, którego finałem powinna być odpowiednio ukompletowana i przeszkolona brygada pancerna.

WYBOISTA DROGA

Historia wdrażania i eksploatacji czołgów Leopard 2A4, tych 128 pozyskanych jeszcze w latach 2002–2003, nie jest usłana różami. Wozy dostaliśmy szybko, ale przeniesienie na rodzimy grunt niemieckiego systemu szkoleniowego i budowa właściwego zaplecza serwisowego ciągnęły się już niestety latami. Wprawdzie ci, którzy podejmowali decyzje, mogli z satysfakcją oglądać doskonale prezentujące się, zarówno na defiladzie, jak i na poligonie, nowoczesne, bardzo manew-



rowe leopardy, 10 Brygada wyrosła zaś na najlepiej wyposażoną jednostkę tego typu w całej armii, jednak budowa na rodzimym gruncie właściwego zaplecza do eksploatacji tych czołgów kulała, tak z przyczyn biurokratycznych, jak również braku porozumienia na linii polskiego i niemieckiego przemysłu zbrojeniowego. Początkowo nie był to problem, bo remonty generalne wozów bojowych trzeba przeprowadzać co kilka lat.

Tymczasem w 2007 roku w Świątoszowie utworzono Ośrodek Szkolenia Leopard (OSL). Wprowadzie cztery lata po otrzymaniu czołgów, ale warto było czekać.

OSL to niezwykle nowoczesna placówka treningowa, nastawiona na przygotowanie załogi czołgu Leopard 2 – dowódcy, działonowego, kierowcy i ładowniczego. W kursach specjalistycznych uczestniczą także załogi wozów wspierających pododdziały czołgów, takich jak Bergepanzer, mostów towarzyszących Biber czy transporterów M113/M-557. Ośrodek czerpie wzorce z rozwiązań niemieckich i wykorzystuje tamtejsze urządzenia treningowe. Bundeswehra ma bowiem bardzo rozbudowany system szkoleniowy, a istotnym jego elementem jest używanie na dużą skalę trenażerów i symulatorów. Dla pododdziałów pancernych przewidziano przede wszystkim takie urządzenia, jak AAT (Ausbildungsanlage Turm – symulator wieży czołgów), ASPT (Ausbildungsgerät Schießsimulator Panzertruppe – symulator systemów ogniowych wojsk pancernych), AGPT (Ausbildungsgerät Gefechtssimulator Panzertruppe – symulator walki pododdziałów pancernych) oraz AGDUS (Ausbildungsgerät Duellsimulator – symulator ćwiczeń dwustronnych – wskaźniki opromieniowania, symulujące namierzenie i trafienia, montowane na czołgach w trakcie ćwiczeń poligonowych). Ten sprzęt trafił też do ośrodka szkoleniowego.

„Działonowi na przykład rozpoczynają cykl przygotowań od szkolenia teoretycznego, a następnie ćwiczą praktycznie na trenażerach

AAT i ASPT. Ten drugi służy do nauki współdziałania z dowódcą w prowadzeniu pojedynków ogniowych”, wyjaśnia mjr Krzysztof Kacperk z 10 Brygady Kawalerii Pancernej, komendant OSL. „Na symulatorze ASPT żołnierze uczą się wykrywania, rozpoznawania i identyfikowania celów, określania ich ważności, wyboru środka ogniowego i rodzaju amunicji do ich zniszczenia oraz przygotowania do otwarcia i prowadzenia ognia w różnych warunkach widoczności”. Mjr Kacperk podkreśla rolę tego typu urządzeń jako kluczową w minimalizacji kosztów szkolenia.

Nie znaczy to, że w ośrodku szkoli się tylko „na sucho”. „Jest to jedyne centrum treningowe przygotowujące załogi czołgów Leopard 2 w Wojsku Polskim. Wprowadzie przez jakiś czas kilka maszyn znajdowało się w innych ośrodkach, na przykład w Poznaniu, ale ostatecznie uznano, że ze względu na zaplecze, bazę remontową i możliwości poligonowe Świątoszów będzie najlepszym miejscem do organizowania szkoleń z wykorzystaniem czołgów. Mamy 12 Leopardów 2A4, a teraz dostaliśmy również trzy wozy w najnowszej odmianie A5”, wyjaśnia komendant. „Mamy również dwa specjalne czołgi do nauki jazdy”.

Znacznie gorzej wygląda kwestia remontów leopardów w polskich warunkach. Jak dotąd prace tego rodzaju (poziom F6, remont generalny podwozia po dziesięciu latach) idą jak po grudzie, mimo że wszystkie czołgi pozyskane w latach 2002–2003 powinny go przejść do 2013 roku. W latach 2011–2014 zrealizowano wprowadzić kilka umów, w co były zaangażowane Wojskowe Zakłady Motoryzacyjne SA z Poznania, jako partner dla Rheinmetall Landsysteme, oraz Zakłady Mechaniczne Bumar-Łabędy SA, jako partner dla Krauss-Maffei Wegmann, ale z różnych przyczyn nie wszystkie z nich zostały w pełni wykonane o czasie i na poziomie satysfakcjonującym wojsko. →

PROBLEMY MECHANIKÓW

Ośrodek Szkolenia Leopard ma w etapie po jednym instruktora do szkolenia mechaników uzbrojenia i mechaników podwozia czołgu Leopard, chociaż nikt inny w armii nie przygotowuje żołnierzy tych specjalności. Ponadto, inaczej niż w wypadku załóg czołgów, do szkolenia personelu technicznego nie ma trenażerów czy przekrojów podzespołów.



W centrum szkoleniowym są dwa specjalne czołgi do nauki jazdy.

OSL TO NIEZWYKLE NOWOCZESNA PLACÓWKA TRENINGOWA, NASTAWIONA NA PRZYGOTOWANIE ZAŁOGI CZOŁGU LEOPARD 2

W efekcie około jedna trzecia polskich czołgów z pierwszej partii nadal wymaga generalnego remontu na poziomie F6. Wojskowi nie kryją też irytacji na krajowy przemysł zbrojeniowy. Narzekają na jakość i długi okres wykonywania prac. Choć przyznają jednocześnie, że polskie leopardy w ostatniej dekadzie były eksploatowane bardzo intensywnie, a to wpłynęło na stopień ich zużycia oraz podrożało koszty przeglądów.

IDZIE NOWE

Dla 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej nowe leopardy stały się koniecznością. Powstałe bowiem opóźnienia w remontach nieco ograniczyły dostępność pierwotnych maszyn w linii. Zresztą nawet gdyby odbyły się one zgodnie z planem, czołgi z pierwszej dostawy miały być modernizowane do standardu Leopard 2PL, więc i tak przejściowo części z nich nie byłoby w dywizji. Polskie leopardy mają jednak ostatnio najwyższą rotację, bo decyzje dotyczące 2PL również odwołują się w czasie. Nic więc dziwnego, że wiadomość o zakupie 119 kolejnych maszyn, w tym 105 w nowocześniejszej odmianie A5, została w Żaganiu i Świątoszowie przyjęta z dużą satysfakcją.

Na razie nowych czołgów będzie więcej niż przeszkolonych załóg. Nie od razu przecież uda się skompletować personalnie dwa nowe bataliony pancerne. Część doświadczonych żołnierzy z 10 Brygady przechodzi do pobliskiej 34 Brygady, stanowiąc trzon rozwijanej jednostki. Stopniowo, po dostawach wszystkich A5 i realizacji programu modernizacji A4, obie brygady osiągną podobny poziom, Czarna Dywizja zaś zyska potężną pięć uderzeniową. Na razie jednak obie kawaleryjskie brygady są w najtrudniejszej, przejściowej fazie tej operacji.

Najbardziej niepokojąca jest niewielka liczba nowych maszyn dla OSL, który przecież pierwotnie został zaprojektowany

jako ośrodek treningowy szczebla brygady, a teraz zaczyna wyrażać na centrum dywizyjne. Partia 119 nowych czołgów wystarczy na wyposażenie dwóch batalionów po 58 maszyn. Dla OSL zostały więc tylko trzy nowe czołgi, choć z pierwotnej partii 128 sztuk ma ich tuzin. Liczba etatów ośrodka została także powiększona, ale z 35 do 45 ludzi. Zważywszy że batalionów jest dwukrotnie więcej, wydaje się to za mało. Kluczowa jest zresztą obecność specjalistów-instruktorów określonej funkcji, bo to ich dostępnością, a nie na przykład liczbą kierowców, należy mierzyć efektywność i sprawność ośrodków treningowych. A tu znaleźć można kilka wąskich gardeł. Skoro przed OSL stanie niemal zdwojona liczba zadań, to powinno się również pomyśleć o wzmocnieniu jednostki.

Czy odpowiednio wcześniej zostało to przemyślane? Etaty przecież nie są z gumy i każde wzmocnienie jednych, oznacza osłabienie innych. „Problemy ze znalezieniem etatów wynikają poniekąd ze sztywnego przypisywania ich do jednostek. Gdyby wprowadzić bardziej elastyczny model, gdzie jednostką kalkulacyjną byłby batalion albo dywizjon, a nie brygada jako całość, można by uniknąć takich sytuacji i przenieść więcej etatów tu, gdzie są one bardziej potrzebne”, uważa gen. dyw. Mirosław Różański, w latach 2009–2011 dowódca 11 Dywizji Kawalerii Pancernej, a obecnie radca koordynator w sekretariacie sekretarza stanu MON.

W samym OSL narzekają, że gwałtownie przybyło pracy, nie słychać. „Konsekwentnie realizujemy powierzone nam zadania i cieszymy się z nowego sprzętu, jaki do nas dociera”, wyjaśnia optymistycznie mjr Kacperek. Komendant jednak wie, że rola czołowej, doborowej jednostki Wojska Polskiego, a taką jest i 10 Brygada, i wchodzący w jej skład Ośrodek Szkolenia Leopard, nie jest łatwa. ■

MICHAŁ ZIELIŃSKI

W cieniu sokoła

Tylko dzięki zgranym żołnierzom, niezależnie od narodowości czy stopnia, wojska NATO mogą dobrze wypełniać swoje zadania.

Wśród tumanów kurzu ląduje PZL W-3 Sokół. Oznaczony biało-czerwoną szachownicą kolos zaledwie dotyka ziemi, a już z bocznego wejścia desantują się kanadyjscy żołnierze. Jeszcze przed lotem każdy z nich wiedział, że operacja zostanie przeprowadzona po zmroku i w trudnych warunkach terenowych, na dodatek w obliczu wrogich sił. Obserwację terenu utrudnia im pęd powietrza wywołany przez olbrzymie silniki oraz wszechobecny piach. Żołnierze wyczuwają, że lada moment może nastąpić atak. Po wyjściu z zasięgu pracującego tuż nad helmami wirnika błyskawicznie rozpraszają się na ustalone wcześniej pozycje i zabezpieczają lądowisko.

Chwilę później, już pod ogniem, lądują dwa Mi-8. Za sterami wszystkich śmigłowców siedzą piloci z 25 Brygady Kawalerii Powietrznej. Do chwili otwarcia bocznych drzwi to właśnie Polacy są odpowiedzialni za żołnierzy wojsk sojusznicznych. Z zadaniem radzą sobie bez problemu – dzięki wyszkoleniu i doświadczeniu z misji poza granicami kraju oraz znajomości działań kanadyjskich pododdzia-

łów. Zdają sobie sprawę z tego, że bez wsparcia ze strony ostanających lądowisko Kanadyjczyków byłoby bardzo łatwym celem.

To właśnie doskonalenie komunikacji oraz współdziałanie w terenie było głównym założeniem międzynarodowych ćwi- ➔





czeń taktycznych „Falcon ’14”. Zadania, które postawiono przed 7 Batalionem 25 Brygady Kawalerii Powietrznej oraz kompanią Oscar z 3 Batalionu Kanadyjskiego Pułku Królewskiego miały na celu przede wszystkim integrację na polu walki. Oprócz wspólnych działań poligonowych scenariusze zakładały wymianę plutonów w kompanii, a nawet drużyn w plutonach.

PODWÓJNY SZTURM, JEDEN CEL

„Jestem na miejscu, budynek zdobyty. Przystępuję do zabezpieczenia i ewakuacji rannych”, raportuje jeden z żołnie-

rzy, a od rozpoczęcia szturmu minęło niespełna pięć minut. Kilkaset sekund wypełnionych morderczym biegiem pośród wybuchów oraz ognia prowadzonego zza przygotowanych wcześniej umocnień. Mimo ukształtowania terenu obfitujące w naturalne osłony zadanie postawione przed kawalerzystami nie należało do łatwych. Na wzgórzu czekał na nich pluton wroga, dysponujący nie tylko ciężką bronią maszynową, lecz także granatnikami i wyrzutniami RPG. W normalnych warunkach do ataku na umocnione w ten sposób pozycje potrzeba przewagi trzykrotnej lub nawet większej. Tym razem czynnikiem przeważającym szalę zwycięstwa była

**NIE PIERWSZY
RAZ KOMPANIA
OSCAR
ĆWICZYŁA
RAZEM
Z POLSKIMI
ŻOŁNIERZAMI.
KANADYJCZYCY
STACJONUJĄ
W POLSCE JAKO
DRUGA ZMIANA
OPERACJI
„REASSURANCE”**



O tym, jak bardzo znajomość armii państw członkowskich NATO przekłada się na skuteczność sojuszu, przekonaliśmy się między innymi w Afganistanie.

MICHAŁ ZIELIŃSKI (3)



jednak nie liczebność, lecz umiejętności dowódców zgrupowań bojowych oraz celny ostrzał sojuszniczego oddziału ubezpieczającego.

„Widziałem, jak Kanadyjczycy prowadzą ogień”, mówi płk Rafał Lis, dowódca 1 Batalionu Kawalerii Powietrznej. „Ich umiejętności strzeleckie oceniam wysoko. Dzisiaj udowodnili, że idą również za tym bardzo dobre umiejętności taktyczne”. Całe manewry podzielono bowiem na dwie fazy – taktyczną i ogniową.

Po obezwładnieniu przeciwnika znajdującego się na wzgórzu do szturmów przystąpiły oddziały kanadyjskie. Ustawione →



ĆWICZĄCYCH RODAKÓW
NA POLIGONIE OBSERWOWALI
AMBASADOR KANADY
ALEXANDRA BUGAILISKIS ORAZ
KANADYJSKI ATTACHÉ OBRONY
PŁK **DANIEL GELEYN**. NA MIEJSCU
BYŁ RÓWNIEŻ OBECNY GEN. BRYG.
ANDRZEJ REUDOWICZ, SZEFE
ZARZĄDU WOJSK AEROMOBILNYCH
I ZMOTORYZOWANYCH

MICHAŁ ZIELIŃSKI (3)

ZADANIA, KTÓRE W CZASIE ĆWICZEŃ

„FALCON '14”

POSTAWIONO
PRZED POLSKIMI
I KANADYJSKIMI
ŻOŁNIERZAMI,

MIAŁY NA CELU
PRZEDE
WSZYSTKIM
INTEGRACJĘ NA
POLU WALKI



na pozycjach wyjściowych karabiny maszynowe miały jedynie dezorientować przeciwnika. Główne natarcie ruszyło lewą flanką, od strony bardziej odsłoniętej, ale pozbawionej umocnień. Dzięki współpracy nie tylko zminimalizowano groźbę niepowodzenia manewru, lecz także uniknięto ciężkich strat.

„Najtrudniejszą fazą w tych ćwiczeniach jest współdziałanie grup szturmowych z ubezpieczającymi”, twierdzi ppłk Piotr Gołoś, dowódca 7 Batalionu Kawalerii Powietrznej. „Grupa ubezpieczająca musi obezwładniać cel tak, aby stworzyć warunki do wykonania zadania przez grupę szturmującą, a później skutecznie ją wspierać. W ten sposób można zniszczyć



przeciwnika, pojmać jeńców i zabezpieczyć obiekt. Następnie obie grupy zostaną pobrane przez śmigłowce”.

KANADYJSKA OTUCHA

Nie pierwszy raz kompania Oscar ćwiczyła razem z polskimi żołnierzami. Kanadyjczycy stacjonują u nas jako druga zmiana operacji „Reassurance” (Otucha), która jest jedną z odpowiedzi NATO na rosyjską agresję w Ukrainie. We wrześniu 2014 roku reprezentanci 3 Batalionu Pułku Królewskiego brali udział w „Anakondzie”. Mjr Pirs Papptn, dowódca kompanii Oscar, jest przekonany o konieczności takich cwi-

czeń, zarówno teraz, jak i w przyszłości. Już dziś bowiem wiadomo, że Kanadyjczycy będą obecni na polskich poligonach przynajmniej do końca 2015 roku. „Na co dzień wykonujemy zadania typowe dla jednostek powietrzno-desantowych. Mamy doświadczenie ze śmigłowcami różnych typów, również tymi używanymi przez Polaków. Teraz możemy przećwiczyć procedury niezbędne w dalszym etapie szkolenia”. Tylko dzięki zgranym żołnierzom, niezależnie od narodowości czy stopnia, wojska NATO mogą dobrze wypełniać swoje zadania. Od tego zależy bezpieczeństwo nie tylko państw Europy Środkowo-Wschodniej, lecz całego sojuszu. ■

BOGUSŁAW POLITOWSKI

ĆWICZENIA Z PAZUREM

Reakcją NATO na kryzys ukraińsko-rosyjski było wiele ćwiczeń sojuszniczych, które w 2014 roku przeprowadzono na terytorium Polski.



Gdy na poligonie drawskim ponad 220 żołnierzy z 1 Dywizji Kawalerii Pancernej z Fort Hood w Teksasie ćwiczyło z polskimi żołnierzami działania taktyczne i ogniowe na czołgach Abrams i transportarach Bradley, na poligon w Żaganiu zaczęły zjeżdżać pododdziały pancerne z Wielkiej Brytanii. W obozowisku Karliki zameldowało się ponad 1100 żołnierzy z 12 Brygady Pancerno-Zmechanizowanej.

Żołnierze Jej Królewskiej Mości 3 listopada 2014 roku rozpoczęli pierwsze od sześciu lat tak duże ćwiczenia w tej czę-

ści Europy. Partnerami Brytyjczyków było ponad 1000 żołnierzy polskich. W skład batalionowego zgrupowania taktycznego gospodarzy weszli pancernicy z 1 Batalionu Czołgów 10 Brygady Kawalerii Pancernej ze Świątoszowa, którzy szkolili się na czołgach Leopard 2A4. Ćwiczyły także pododdziały wsparcia 10 Brygady oraz żołnierze z 6 Brygady Powietrznodesantowej i 25 Brygady Kawalerii Powietrznej. Międzynarodowemu szkoleniu nadano kryptonim „Black Eagle '14”. Sojuszniczymi wojskami dowodził dowódca 10 Brygady Kawalerii Pancernej płk Maciej Jabłoński. Pol-



RAFAŁ MNIEDŁO/11 LDKPANC (3)

sko-brytyjskiemu dowództwu podporządkowano również pododdziały wsparcia: artylerii, przeciwlotnicze, inżynieryjno-saperskie, chemiczne, aeromobilne. Wspomagało ich lotnictwo sił powietrznych oraz wojsk lądowych.

Szkoleniowa machina z wolna zaczęła się rozkręcać. Pierwsze dwa tygodnie poświęcono na integrację. Trenowano procedury dowodzenia obowiązujące w NATO, organizowano wspólne rekonesansy w rejonach działań, prowadzono operacje bojowe, takie jak pokonywanie przeszkód wodnych czy zwalczanie desantu przeciwnika. „Szczególnie dla oficerów

sztabów był to czas przeznaczony na poprawę komunikacji, ćwiczenie umiejętności wspólnego kierowania wojskami oraz organizowania skutecznej walki ramię w ramię”, komentuje płk Jabłoński.

POCZĄTKI PRZYJAŹNI

Biorący udział w szkoleniu wojskowi obu armii nigdy wcześniej ze sobą nie współpracowali. Jedni o drugich czerpali wiedzę jedynie podczas wspólnych kursów zagranicznych, na szkoleniach i odprawach. Na żagańskim poligonie przyszło im razem wykonywać konkretne zadania.

„Wiedziałem, że Brytyjczycy są doświadczonymi pancerniakami. My nigdy dotąd, w żadnej walce podczas misji zagranicznych nie wykorzystywaliśmy czołgów. Oni natomiast brali udział w bitwach pancernych w Iraku oraz wykorzystywali czołgi na misji w Kosowie”, mówił w czasie szkolenia ppłk Paweł Michalski, dowódca 1 Batalionu Czołgów świętoszowskiej brygady. „Brytyjscy pancerniaci wyglądali trochę niepozornie, ale na każdym kroku było widać, że mają obycie bojowe”.

O naszych żołnierzach też niewiele wiedzieli. Przyjazd do Polski był dla nich wielką niewiadomą. Wszelkie obawy okazały się jednak bezpodstawne. Mjr Alex Michael, zastępca dowódcy brytyjskiego regimentu, był mile zaskoczony sposobem przyjęcia na polskiej ziemi: „Moi żołnierze wiele nauczyli się podczas wspólnego szkolenia z Polakami. Teraz wiemy, że wasi wojskowi są profesjonalistami. Rozumieją, że żadna armia nie funkcjonuje w separacji i wspólne treningi są czymś bardzo ważnym”.

Żołnierze ze Świętoszowa nie ukrywali, że każde wspólne zajęcia taktyczne czy strzelania były okazją nie tylko pokazania kunsztu bojowego, lecz także do bliższego poznania się, rozmów o służbie w armii czy o sprzeczności. Oczywiście pojawiały się również elementy współzawodnictwa. Z takim nastawieniem polskie załogi przystępowały między innymi do strzelań mieszanych – polsko-brytyjskich – plutonów.

„Oni mają trochę inny sprzęt. Mówi się, że lepszy. Widzę jednak, że nasze leopardy w niczym nie ustępują challenge-rom. Mam nadzieję, że zdobędziemy ocenę nie gorszą niż Brytyjczycy”, mówił przed strzelaniem amunicją bojową dowódca załogi Leoparda 2A4 st. kpr. Krzysztof Dąbrowski. Jego oczekiwania się sprawdziły. „Jeszcze czuję dreszczyk emocji”, powiedział tuż po strzeleniu dowódca innego polskiego wozu sierz. Arkadiusz Sykała. „Wszystkie cele trafiliśmy za pierwszym strzałem. Nasi skrzydłowi z Wielkiej Brytanii też trafiali bez pudła. Zmiotliśmy wspólnie wszystko, co było do zniszczenia na polu tarczowym”.

DRAPIEŻNY RYŚ

Kulminacją polsko-brytyjskiego szkolenia były kilkudniowe ćwiczenia taktyczne „Ryś ’14” na poligonie w okolicach Świętoszowa. Pierwsze trzy etapy manewrów obejmowały zadania taktyczne, a czwarty – ogniowe. W tej ostatniej fazie polscy i brytyjscy żołnierze ćwiczyli kierowanie ogniem całych pododdziałów w obronie w dzień i w nocy oraz w natarciu. Według scenariusza polskie i brytyjskie batalionowe zgrupowania taktyczne, prowadząc obronę manewrową, zatrzymały przeważające siły przeciwnika. Wzmocnione pododdziałami wsparcia przeszły do kontrataku. Na lewym skrzydle polskich leopardów i bojo- ➔

KOMENTARZ

JAROSŁAW MIKA



Od długiego czasu nie mieliśmy tak intensywnego szkolenia z żołnierzami z Wielkiej Brytanii. Po kilku tygodniach wspólnych zajęć zaobserwowałem niesamowitą integrację. Jest ona widoczna wszędzie: na placach ćwiczeń, strzelnicach, a także w czasie wolnym w obozowiskach. Co ważne, nasi goście wykazywali dużo inicjatywy w uatrakcyjnianiu szkolenia. Tak było między innymi podczas strzelania pododdziałów rozpoznawczych w działaniach opóźniających. Jest sporo innych nowości, które możemy zaadaptować u siebie, ale i oni podpatrzyli u nas nowe rzeczy. Liczymy na to, że w niedługim czasie dojdzie do kolejnych spotkań żołnierzy obu armii. Jak na razie mamy propozycję, aby w 2015 roku przeprowadzić wspólne szkolenie i pojedynki ogniowe z żołnierzami Bundeswehry. Będziemy się także szkolili z czołgistami z USA.

Gen. dyw. **Jarosław Mika** jest dowódcą 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancerniej w Żaganiu.

wych wozów piechoty nacierały brytyjskie czołgi Challenger 2 i wozy piechoty Warrior. Po odbiciu terenu zajętego przez wroga oddziały sojusznicze siły musiały umocnić się w obronie.

W manewrach wzięło udział ponad 2400 żołnierzy obu armii, wykorzystano ponad 600 jednostek sprzętu. Strona polska wystawiła do walki batalionowe zgrupowanie taktyczne utworzone z 1 Batalionu Czołgów 10 Brygady Kawalerii Pancerniej; w jego skład weszło ponad 600 żołnierzy. Brytyjcy sojuszniczy zaangażowali w ćwiczenia ponad 800 wojskowych.

„Nacierały trzy moje kompanie czołgów. Musieliśmy odyskać rejon obrony, który utraciliśmy. W kontrataku bardzo pomogli nam Brytyjczy, atakujący na lewym skrzydle. Doskonale nam się współpracowało. Oni dysponowali cyfrowym systemem zarządzania polem walki. Każda ich maszyna była

631

żołnierzy



Strona polska

807

żołnierzy



Strona brytyjska

KOMENTARZ

JUSTIN KINGSFORD



Jestem pod wrażeniem sprawności działania i profesjonalizmu polskich żołnierzy. Zauważyłem, że Polacy znakomicie pracują zespołowo. Są między nami pewne różnice, ale znacznie więcej jest podobieństw. W obliczu zagrożenia jesteście w stanie szybko i efektywnie reagować. Czuję się pewnie, gdybym musiał walczyć razem z wami. Jesteśmy bardzo zadowoleni z przebiegu szkolenia „Black Eagle”. Cieszymy się z tej wizyty, poznaliśmy się i nawiązaliśmy wiele przyjaźni. Mój pułk – The King’s Royal Hussars Regiment – zbudował szczególnie bliskie relacje z pancerniakami z 1 Batalionu Czołgów z 10 Brygady Kawalerii Pancerniej. Mamy nadzieję na przyszłe kontakty i współpracę.

Ppłk **Justin Kingsford** dowodził Brytyjczykami, biorącymi udział w ćwiczeniach „Black Eagle ’14”.

30 czołgów Leopard 2A4

14 bojowych wozów piechoty

43 wozy zabezpieczenia

4 samoloty F-16

4 samoloty Su-22

4 śmigłowce Mi-24

2 transportowe Mi-17

20 czołgów Challenger

24 bojowe wozy piechoty Warrior

31 gąsienicowych transporterów opancerzonych

13 kołowych transporterów opancerzonych

Siły te były wspierane przez: dywizjon artylerii samobieżnej – ośmioma haubicami 2S1 Goździk, dywizjon przeciwlotniczy – czterema zestawami Biała, kompanię saperów – dziewięcioma wozami zabezpieczenia inżynierskiego, a także logistyków oraz inne pododdziały wsparcia.

SKŁAD SIŁ SOJUSZNICZYCH BIORĄCYCH UDZIAŁ W ĆWICZENIACH „RYS ’14”.

na elektronicznej mapie, co dawało obraz bitwy w czasie rzeczywistym”, podsumował kontratakarce ppłk Paweł Michalski.

ZDROWA RYWALIZACJA

Wszystkie epizody ćwiczeń „Rys ’14” udowodniły, że polskim i brytyjskim żołnierzom

bardzo dobrze się razem pracowało. „Okazało się, że oni i my dysponujemy dobrym sprzętem i wiemy, jak go używać”, skomentował zajęcia mjr Zbigniew Marchlewicz, zastępca dowódcy, szef sztabu batalionu czołgów ze Świątoszowa. Polacy i Brytyjczy rywalizowali w Świątoszowie nie tylko na poligonie. Więcej emocji od rutynowego prowadzenia ognia i natarcia dostarczyły pancerniakom przeprowadzone po ćwiczeniach zawody sportowe. Żołnierze grali w piłkę nożną i siatkówkę. W rywalizacji wzięli udział po stronie gospodarzy pancerniaczy z 10 Brygady, a goście do każdej konkurencji wystawili dwie drużyny: jedną złożoną z Anglików i jedną reprezentującą Walię. Polacy zwyciężyli w obu konkurencjach. ■

MILITARIUM STUDIO PK



ARCH. KONRADA MADEJA

ODRZUTOWE SZKOLENIE

Z ppłk. Konradem Madejem

o nauce w Stanach Zjednoczonych i przygotowaniach do wdrożenia nowego systemu szkolenia pilotów w Polsce rozmawia Magdalena Kowalska-Sendek.

Większość lotniczego życia spędził Pan za sterami TS-11 Iskra, ale w czerwcu poleciał Pan do Stanów Zjednoczonych, by szkolić się na Talonie T-38C. Dlaczego?

Taki pomysł pojawił ponad rok temu. W listopadzie 2013 roku poleciałem z polską delegacją do Stanów Zjednoczonych, by przyjrzeć się sposobom szkolenia lotniczego i ocenić postępy naszych pilotów, którzy wyjeżdżają tam na kursy. W przyszłości usiądą za sterami samolotów F-16. Ta wizyta zaowocowała konkluzją, że aby poznać metody przygotowania amerykańskich pilotów, trzeba wejść w rolę nie tylko ucznia, lecz także nauczyciela. Szukamy sposobów na doskonalenie modelu szkolenia, który teraz obowiąz-

uje w Polsce. W czerwcu udałem się więc do Randolph Air Force Base w Teksasie, gdzie stacjonuje 560 Eskadra Szkolna US Air Force. To pododdział, który zajmuje się zaawansowanym szkoleniem pilotów-instruktorów na samolotach odrzutowych.

Dlaczego akurat Pan?

Jestem już doświadczonym pilotem, za sterami – głównie iskry – spędziłem blisko 2 tys. godzin. Od 14 lat pracuję jako instruktor i uczę pilotażu młodych lotników. Zajmuję się również organizacją szkolenia na samolotach odrzutowych w mojej jednostce. Mam być też jedną z osób, które zajmą się modyfikacją systemu kształcenia pilotów przed wdrożeniem →

nowego programu szkolenia zaawansowanego AJT [Advanced Jet Trainer].

Na nowo stał się Pan uczniem?

Przez moment tak, choć nie możemy mówić o typowym szkoleniu podstawowym, jakiemu są poddawani kandydaci na pilotów w USA. Obserwowałem, w jaki sposób się uczą, na jakie aspekty instruktorzy zwracają im uwagę, by później płynnie mogli się przesiąść na samoloty wielozadaniowe.

Czego się Pan nauczył?

Kurs dzielił się na kilka etapów, z czego dwa główne to zajęcia teoretyczne i praktyczne. Przez trzy tygodnie wykładów oraz za pomocą systemu komputerowego poznawałem samolot, uczyłem się zasad poruszania w amerykańskiej przestrzeni powietrznej i procedur, które obowiązują tamtejszych lotników. Po egzaminie wsiadłem do T-38C. Pierwszy etap zajęć w powietrzu był przeszkoleniem na nowy typ samolotu. Wykonałem osiem lotów, zdałem egzamin i już jako pełnoprawny pilot talona otrzymałem prawo, by wykonywać nim loty.

Osiem lotów to mało, zwłaszcza że talon podobno nie jest łatwy w pilotażu.

Tak krótkie przeszkolenie zawdzięczam doświadczeniu lotniczemu. Nie byłem jednak wyjątkiem, bo na kursie nie było żadnych nowicjuszy. Każdy z pilotów amerykańskich spędził wcześniej wiele godzin za sterami B-1, B-52, F-15 lub F-16. Mieliśmy już doświadczenie lotnicze, choć każdy w innej dziedzinie. Muszę przyznać, że tym, którzy nie znali wcześniej tego samolotu, T-38C sprawiał nieco trudności. Ja początkowo nie mogłem zrozumieć, dlaczego nauczanie się niektórych elementów pilotażu wymaga tak wiele wysiłku. Instruktorzy wyjaśnili mi jednak, że talon jest pod tym względem jednym z najtrudniejszych samolotów, jaki znajduje się w arsenale USA. Zwłaszcza dotyczy to podejścia do lądowania i samego lądowania. Odrzutowiec jest mało manewrowy, ale szybki i dobrze sprawdza się przy dużych prędkościach.

Później szkolił się Pan jako instruktor.

Przesiadłem się z pierwszej do drugiej kabiny i w roli instruktora spędziłem w powietrzu pozostałe 60 godzin szkolenia praktycznego – w pilotażu, lotach IFR [Instrumental Flight Rules], nawigacji, lotach na małych i średnich wysokościach. Uczyłem też lotów w formacjach od dwóch do czterech samolotów. Podczas tych zadań w rolę ucznia wcielali się amerykańscy instruktorzy. Zasada była taka: w trakcie lotu uczeń popełniał różne błędy, a moim zadaniem było je zidentyfikować, przeanalizować, merytorycznie wyjaśnić pomyłki, wskazać sposób poprawienia błędów.

Czy amerykańska metodyka szkolenia różni się od polskiej?

Jest trochę inne podejście do ucznia. Doświadczyłem tego nie tylko w powietrzu, lecz także w salach wykładowych,

Konrad Madej jest pierwszym Polakiem, który został certyfikowanym instruktorem na amerykańskim odrzutowcu T-38C

bo w Stanach Zjednoczonych ukończyłem dwa kierunki studiów. Amerykański instruktor skupia się na tym, by osiągnąć efekt. Nie szuka słabego punktu, żeby wyeliminować ze szkolenia kandydata na pilota. Poszukuje za to sposobu dotarcia do niego. To wynika z założenia, że nie uczeń ma słabe wyniki, lecz instruktor, bo nie potrafi właściwie nauczać. Oczywiście takie myślenie też ma granice. Nie chodzi przecież o to, by z każdego zrobić pilota, ponieważ nie wszyscy ludzie mają predyspozycje do tego zawodu. Obowiązuje zasada, że znacznie łatwiej dokonać selekcji na wcześniejszych etapach szkolenia. Przemawia za tym aspekt ekonomiczny. Taka zasada postępowania nakłada także odpowiedzialność na instruktorów, którzy muszą umiejętnie dokonywać tej selekcji.

Zdał Pan egzamin i...

...po trzech miesiącach zakończyłem szkolenie oraz zdałem egzamin teoretyczny i praktyczny w powietrzu – zostałem certyfikowanym instruktorem na amerykańskim samolocie T-38C.

Z takimi uprawnieniami mógłby Pan szkolić pilotów w Stanach Zjednoczonych. W Polsce jednak takich samolotów nie mamy i pewnie mieć nie będziemy.

Nie pojechałem do Stanów Zjednoczonych, by zostać mistrzem pilotażu na talonie, tylko żeby zdobyć wiedzę na temat amerykańskiego systemu szkolenia.

Master jest włoski, a talon amerykański. Gdzie tu spójność?

Większość ludzi, gdy dowiaduje się o moim szkoleniu, podkreśla to, że odbywałem je na samolocie amerykańskim.

WIZYTÓWKA

PPŁK DR
KONRAD MADEJ

Zastępca dowódcy Grupy Działań Lotniczych – dowódca eskadry wsparcia w 41 Bazie Lotnictwa Szkolnego w Dęblinie. Wcześniej dowódca 48 Eskadry Lotniczej Dowództwa w 41 Bazie, specjalista w Oddziale Szkolenia Lotniczego w Dowództwie Sił Powietrznych. Niegdyś członek zespołu Biało-Czerwone Iskry.

Nie ma to jednak wielkiego znaczenia. Samolot to tylko narzędzie, dzięki któremu poznałem tamtejszy system szkolenia. Wiedzę, którą zdobyłem w USA, wykorzystam teraz do szkolenia na nowym samolocie Master.

Proszę zatem opowiedzieć o nowym systemie szkolenia. Kto, oprócz Pana, będzie go tworzył?

Na kurs dla instruktorów wyjedzie do Stanów Zjednoczonych jeszcze jeden pilot z mojej jednostki, ale nie tylko my dwaj będziemy tworzyć nowy system. To wysiłek wielu pilotów i personelu zabezpieczającego, którzy przechodzą liczne szkolenia i kursy. Przyjęcie nowego systemu będzie zadaniem całej 41 Bazy Lotnictwa Szkolnego, naszych przełożonych w Dowództwie Generalnym i Sztabie Generalnym Wojska Polskiego.

System szkolenia powinien być spójny z celami całych sił zbrojnych.

Szkolimy pilotów, by zasilili eskadry F-16 w Krzesinach i Łasku, a także eskadry wyposażone w Su-22 i MiG-29. Powinniśmy zatem na każdym etapie nauki spełniać wymagania, które te jednostki stawiają młodym pilotom. To będzie taka układanka. Zaczynamy od Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie. W Akademickim Ośrodku Szkolenia Lotniczego WSOSP żołnierze przechodzą szkolenie teoretyczne i praktyczne na samolotach cywilnych. Zdobывают podstawowe umiejętności pilotażowe. W drugim etapie podchorążowie rozpoczną naukę latania na PZL-130 Orlik – mam nadzieję, że niedługo w wersji glass cockpit. Na orlikach będą latać, zdobywać wiedzę praktyczną, nauczą się procedur, zaczną się szkolić w lotach taktycznych.

Następnym etapem ma być samolot AJT, który zastąpi odchodzące na lotniczą emeryturę TS-11 Iskry?

Tak, ale żeby system dobrze działał, piloci, którzy rozpoczną szkolenie na masterze, muszą już mieć opanowane podstawy. W tym ostatnim etapie skupimy się na szkoleniu taktycznym. Naszym celem będzie przygotowanie kandydatów na pilotów do takiego poziomu, który pozwoli płynnie przesiąść się na wielozadaniowy samolot bojowy F-16.


Możemy mówić o konkretnych? Ile godzin pilot będzie musiał spędzić za sterami AJT? Jakich zadań taktycznych będzie się uczył?

Konkrety pojawiają się, gdy wyznaczony personel instruktor-ski z 41 Bazy przejdzie szkolenie na masterze. Dopiero wtedy dowiemy się o szczegółowych możliwościach systemu. We Włoszech przeszkolił się na nowy samolot 16 pilotów.

Cieszy się Pan, że iskry kończą służbę?

I tak, i nie. Na iskrach przeszedłem wszystkie etapy szkolenia. To samoloty, na których ćwiczyły setki polskich pilotów. I choć jest mi smutno, że stopniowo zostaną wycofane ze służby, to doceniam, że zyskamy nowoczesne narzędzia do nauki. Umowa podpisana w lutym z Włochami zakłada, że do Polski w latach 2016–2017 trafi osiem samolotów M-346, symulatory, komputerowe systemy wspomaganie szkolenia i pakiet logistyczny. W końcu będziemy samowystarczalni pod tym względem. I o to właśnie chodziło. ■

POLSKA ZBROJNA



P R E N U -
M E R A T A
R O C Z N A :
1 2 W Y D A Ń
W C E N I E
1 0

ZAMÓW
PRENUMERATĘ
NA 2015 ROK

e-mailem: prenumerata@zbrojni.pl
listownie: Wojskowy Instytut Wydawniczy,
00-909 Warszawa, Aleje Jerozolimskie 97
telefonicznie: +4822 684 04 00

Warunkiem rozpoczęcia wysyłki jest wpłata 65 zł
do 16 stycznia 2015 roku
na konto: 23 1130 1017 0020 1217 3820 0002

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

Czternastki: ostatni rozdział

Jeden z lotników porównał go kiedyś do promu kosmicznego Columbia. Trudno się z nim nie zgodzić. Mi-14PŁ to śmigłowiec duży, masywny i odporny na wszelkie uszkodzenia.



Zazwyczaj na polowanie wyruszają w parze. Wspólnie mogą przeszukać większy obszar, ale też wzajemnie się ubezpieczać. A to szczególnie ważne, bo wkraczają na teren z natury sobie obcy. Kpt. Kazimierz Majchrzak, pilot z 30-letnim stażem: „Lot nad morzem to specyficzne doświadczenie. Zwykle po jakimś kwadransie człowiek odczuwa wybijanie błędniaka. Najprościej rzecz ujmując, tam gdzie jest prosto, zaczynamy widzieć krzywizny. A nocą bywa jeszcze gorzej. Czasem ma się gwiazdy nad głową i pod sobą, bo najzwyczajniej w świecie odbijają się w wodzie”. Śmigłowiec jest tutaj niczym intruz, przybysz z innego świa-

ta, naruszający naturalny porządek rzeczy. Tymczasem na przeciw niego staje przeciwnik, który momentami wydaje się niemal wszechmocny. Okręt podwodny w mgnieniu oka może przepaść w głębinach. Tam ma ogromne szanse, by przeczekać najgorsze. Sami lotnicy przyznają, że jego namierzenie przypomina szukanie igły w stogu siana.

A jednak śmigłowiec ma atuty. Największy z nich to opuszczana do wody stacja hydroakustyczna. Wysyła ona impuls, który odbija się od przeszkody i wraca. W ten sposób można zlokalizować okręt, podążać jego śladem, a potem zaatakować. Samemu: za pomocą bomby głębinowej lub nowocze-

Śmigłowce Mi-14PŁ

Przeznaczone są do poszukiwania, śledzenia i niszczenia okrętów podwodnych samodzielnie lub w składzie lotniczo-okrętowych grup poszukiwawczo-uderzeniowych. Przystosowane są również do współdziałania z uderzeniowymi okrętami rakietowymi poprzez wykrywanie i wskazywanie celów nawodnych.

Prędkość maksymalna
230 km/h

Pułap praktyczny
3500 m

Załoga

Masa
11750 kg

Zasięg
1200 km

**CHOĆ W LOTNICTWIE
MORSKIM SŁUŻĄ OD PONAD
30 LAT, NADAL STANOWIĄ
O JEGO SILE UDERZENIOWEJ**

snej torpedy MU-90, albo też we współpracy chociażby z fregatą rakietową, której można podać namiary na czający się pod wodą cel.

Czasem jednak nie trzeba robić nawet tego. „Może się zdarzyć tak, że załogę okrętu podwodnego zniechęci do działania sama nasza obecność. Staramy się więc mocno ją zaakcentować. Śmigłowiec staje w zawisie, opuszcza stację, wysyła dwa, trzy impulsy i leci kawałek dalej. Potem znów: bania, trzy pingi i kolejny przystanek. Nie zawsze chodzi o to, by gonić wilka po lesie. Czasami wystarczy nie dopuścić go do stada...”, wyjaśnia por. Krystian Gutkowski, nawigator i operator systemów poszukiwawczo-uderzeniowych.

Tak właśnie działają śmigłowce Mi-14PŁ. I choć w lotnictwie morskim służą od ponad 30 lat, nadal stanowią o jego sile uderzeniowej.

SIADA NA WODZIE

Historia czternastki sięga lat sześćdziesiątych XX wieku. W ZSRR rozpoczęły się wówczas prace nad nowoczesnym śmigłowcem, który byłby przeznaczony do zwalczania okrętów podwodnych. Punktem wyjścia stał się popularny Mi-8. W 1967 roku doszło do oblotu całkowicie już nowej maszyny. Seryjna produkcja Mi-14 ruszyła sześć lat później w kazańskim Zakładzie nr 387. Łącznie do 1986 roku z taśm fabrycznych zjechały 273 egzemplarze. Mniej więcej połowa z nich powędrowała za granicę. Czternastki zasilili między innymi armie Bułgarii, Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Syrii i Libii. Wywołały też zainteresowanie w Polsce. Tym bardziej że śmigłowce tego typu po niewielkich przeróbkach mogły pełnić też funkcje związane z ratownictwem morskim.

„Decyzja o zakupie Mi-14 zapadła w 1977 roku. Jeszcze w tym samym roku do bazy Donskoje pojechała na przeszkolenie grupa pilotów, techników i nawigatorów”, tłumaczy kpt. Mariusz Kalinowski,

inżynier, autor jedynej w Polsce książki o czterech latach. Pierwsze śmigłowce dotarły jednak do Polski dopiero trzy lata później. Sowieccy piloci przywieźli sześć maszyn wprost na lotnisko w Darłowie. „W trakcie przebazowania były one oznaczone znakami producenta, czyli czerwonymi gwiazdami”, wyjaśnia kpt. Kalinowski. Wkrótce zostały one zastąpione biało-czerwonymi szachownicami, a maszyny rozpoczęły służbę w darłowskiej 28 Eskadrze Ratowniczej.

Potem do Polski docierały kolejne czternastki. Za sterami jednej z nich trzy dekady temu zasiadł kpt. Majchrzak. „Byłem w grupie, która szkoliła się już w Darłowie. Pamiętam, że na dzień dobry musieliśmy odświeżyć swój rosyjski”, wspomina. W tym właśnie języku zostały sporządzone wszelkiego rodzaju instrukcje, on też króluje na przyrządach w kabinie. „Pierwsze wrażenie? Komfort, znacznie większy niż w Mi-2, z którym miałem do czynienia wcześniej. Kabina w czternastce jest bardziej przestronna, a praca rozkłada się na czterech członków załogi. Różnica była naprawdę kolosalna”, opowiada kpt. Majchrzak. Rzecz jasna sprowadzała się ona nie tylko do kabiny. Choć w klasyfikacji rosyjskiej Mi-14 to śmigłowiec średni, w rzeczywistości jest duży i ciężki – waży 13–14 t. Stawia pilotowi zupełnie inne wymagania niż choćby wspomniane Mi-2. Za sterami nie należy wykonywać zbyt gwałtownych ruchów, bo można po prostu spaść”, podkreśla kpt. Majchrzak. Zaraz jednak dodaje: „Mi-14PŁ wybacza sporo błędów. Ma duży udźwieg, zasięg, dobre wyposażenie. Jako jedyny śmigłowiec w polskiej armii potrafi na przykład wylądować na wodzie, utrzymać się na niej dzięki specjalnemu systemowi pływaków, a potem jeszcze wystartować. To maszyna naprawdę bezpieczna”.

Kpt. Majchrzak wie, co mówi, bo sam za sterami przeżył chwile grozy. Jak choćby na początku

lat dziewięćdziesiątych, kiedy to po zakończeniu zadania postanowił sfotografować wynurzający się okręt podwodny. Stery przejął drugi pilot, który w pewnym momencie stracił panowanie nad maszyną. Śmigłowiec zaczął się kręcić i niemal spadł do morza. Załozde udało się jednak uspokoić lot. „Złamaliśmy podstawową zasadę, zgodnie z którą jeden pilot obserwuje to, co na zewnątrz, a drugi zawsze patrzy na przyrządy. A my obydwaj spojrzeliśmy na okręt”, wspomina kpt. Majchrzak. Wówczas przyczyną zamieszania stał się ludzki błąd.

Pilot opowiada też historię, gdy do wypadku nieomal doprowadziły warunki zewnętrzne. „Lecieliśmy do Łodzi i nagle na kadłubie zaczął osiadać lód. Aby od niego uciec, zaczęliśmy wznosić się wyżej – 900 metrów, 1000, 1500. Nic. Wydawało się, że nie mamy szans, by się uratować. Szczęśliwie znaleźliśmy bezpieczną warstwę między chmurami, a potem lukę, w którą weszliśmy i śmigłowiec udało się posadzić spokojnie na ziemi”, opowiada kpt. Majchrzak i dodaje: „Gdyby nasza czternastka nie miała dobrej instalacji przeciwoślodzeniowej, nie wyszlibyśmy z tego cało”.

W ciągu przeszło 30 lat eksploatacji śmigłowca były jednak załogi, które miały mniej szczęścia. W tym czasie lotnictwo morskie straciło cztery maszyny. Jeszcze w latach osiemdziesiątych Mi-14PŁ rozbił się w okolicach Darłówka za sprawą ptaków, które zakłóciły pracę silnika. Inna maszyna po awarii łopát wirnika musiała wodować na pełnym morzu i ostatecznie poszła na dno. Dwie kolejne rozbiły się na jeziorze Bukowo i w okolicach Leżnicy Wielkiej.

Tak czy inaczej w historii polskich czternastek więcej było jasnych kart. Abstrahując od politycznych kontekstów sprawy, próbkę sporych możliwości śmigłowca i obsługujący go lotnicy dali w 2001 roku, w trakcie pościgu za doradcą szefa MON Romualda Szeremietiewa, Zbigniewem Farmusem. Był on podejrzany o korupcję i nieuprawniony dostęp do tajemnic państwowych (potem sąd oczyścił go z części zarzutów). Kiedy zapadła decyzja o zatrzymaniu, Farmus znajdował się na promie płynącym do Szwecji. Oficerowie UOP dostali do dyspozycji Mi-14PŁ. „Powód był prosty: śmigłowiec ten miał największy zasięg ze wszystkich służących w Polsce”, podkreśla kpt. Kalinowski. Po brawurowym rajdzie maszyna dotarła do promu, gdy ten znajdował się jakieś 25 mil od Gotlandii. „Do Gdyni śmigłowiec wrócił dzięki dodatkowemu zbiornikowi paliwa”, zaznacza Kalinowski.

W pamięci utkwił mu też inny epizod – katastrofa promu „Heweliusz”, do której doszło na Bałtyku w styczniu 1993 roku. „O siódmej rano na wirnikach stały już dwie nasze ratownicze czternastki. Do tragedii doszło na wodach Niemców, którzy nie zgodzili się na włączenie ich do akcji. Zgodę dostaliśmy dopiero trzy godziny później. Wystartowały wszystkie śmigłowce, jakimi w tym momencie dysponowaliśmy, ale na pomoc rozbitkom było już za późno”, wspomina kpt. Kalinowski. W katastrofie zginęło 55 osób.

Wycofane już ze służby Mi-14PS swoją skuteczność potwierdziły w trakcie powodzi tysiąclecia, która w 1997 roku nawiedziła południową Polskę. Dzięki 24 lotom wykonanym w ciągu czterech dni ewakuowano 275 osób. Ale to zaledwie cząstka potężnej, żmudnej pracy, którą od 30 lat, niemal dzień w dzień, wykonują lotnicy i naziemna obsługa Mi-14PŁ.

Brigada Lotnictwa Marynarki Wojennej ma dziewięć czternastek. Siedem to maszyny przeznaczone do poszukiwania, śledzenia i niszczenia okrętów podwodnych. Dwie przed cze-

rema lata zostały przerobione na maszyny ratownicze. I choć każdy ze śmigłowców ma około 30 lat, śmiało można stwierdzić, że są to zupełnie inne maszyny niż w momencie rozpoczęcia służby. Wszystkie przeszły gruntowną modernizację. Wiązała się ona choćby z wymianą awioniki. Maszyny ratownicze zyskały między innymi nowe wyposażenie nawigacyjne, a śmigłowce do zwalczania okrętów podwodnych (ZOP) wzbogaciły się o nowoczesne systemy poszukiwawczo-uderzeniowe (pławy hydroakustyczne zgodne ze standardami NATO) i zostały przystosowane do przenoszenia torpedy MU-90.

ŻYCIE POD CHMURKA

Dziś czternastki rozwijają prędkość do 230 km/h, mogą się wzniesić na wysokość 3500 m, a ich zasięg wynosi 1200 km. Do namierzania okrętów wykorzystują wspomnianą stację hydrolokacyjną, ale nie tylko. „Stacja jest oczywiście najbardziej skuteczna, ale możemy jej używać tylko w dzień”, tłumaczy por. Gutkowski. „W nocy śmigłowiec nie stanie w zawisie. Względy bezpieczeństwa. Ale wówczas możemy wykorzystać choćby pławy hydroakustyczne, które poszukują okrętu w sposób pasywny. Zbierają wszelkie dźwięki rozchodzące się w ich zasięgu. Na Bałtyku co prawda zwykle jest ich sporo – to kwestia dużego ruchu statków i silnie zurbanizowanej linii brzegowej – jednak i to narzędzie ma swoje atuty. Detektor anomalii magnetycznych, czyli tak zwany MAG, zazwyczaj służy nam jako drugie źródło informacji, do potwierdzenia zarejestrowanego wcześniej kontaktu”, wylicza por. Gutkowski.

Mi-14PŁ operuje z lotnisk położonych na stałym lądzie. „Na świecie powoli już odchodzi się od śmigłowców bazowania brzegowego, ale na Bałtyku czternastki zdają egzamin: ze względu na spory zasięg, taktyczny promień działania i autonomizację. Śmigłowiec może przecież namierzyć i zniszczyć okręt podwodny całkowicie samodzielnie”, podkreśla por. Gutkowski. W ciągu 30 lat czternastki operowały jednak nie tylko na Bałtyku. Brały udział choćby w ćwiczeniach „Dynamic Mongoose” u brzegów Norwegii.

„Oczywiście śmigłowiec ma swoje ograniczenia. Zasięg stacji hydroakustycznej sięga 130 m w głąb, a na Morzu Północnym głębokości dochodzą nawet do 300 m. Ale to naprawdę solidna maszyna”, tłumaczy kpt. Majchrzak. „Najlepszy dowód: nasze czternastki przez 30 lat stały pod chmurką, latały nad morzem, gdzie w powietrzu unoszą się duże ilości soli... i działają do dziś. Pamiętam, jak kiedyś poleciliśmy na ćwiczenia do Danii. Mróz, śnieżyca. Szwedzi pytają nas, czy damy radę wystartować. Daliśmy i prowadziliśmy normalne działania. Ich CH-37 musiał po kwadransie wrócić na lotnisko...”.

Tymczasem czternastki powoli dożywają swoich dni. Latem z użycia został wycofany pierwszy śmigłowiec ZOP. Kilka tygodni temu na lotnisko w Darłowie powróciła ostatnia z maszyn wyznaczonych do remontu. Więcej remontów Mi-14PŁ nie będzie. „Ostatni tego typu śmigłowiec powinien odejść ze służby w 2021 roku. Resursu nie oszukasz...”, przyznaje kpt. Kalinowski. Na miejsce czternastek lotnictwo morskie dostanie nowe śmigłowce. Na razie jeszcze nie wiadomo jakie. Co pozostanie po starych? Lotnicy zgodnie mówią o ogromnym sentymencie. „W załozde tego śmigłowca stawiałem pierwsze kroki jako nawigator”, wspomina por. Gutkowski. „Na pewno ta maszyna uczy pokory, weryfikuje umiejętności i wyobrażenia o lataniu. Zaryzykuję twierdzenie, że kto poradził sobie z czternastką, da radę i na innych typach śmigłowców”. ■

JAROSŁAW
RYBAK

Potencjał tkwiący w sianie

Trzeba wykorzystać potencjał młodych ludzi, działających w różnych organizacjach i ruchach, na rzecz bezpieczeństwa państwa”. Im dłużej słucham takich zapowiedzi, tym bardziej przypominam sobie myśl Jerzego Sztaudyngera. Mistrz fraszki napisał: „Koniom i zakochanym inaczej pachnie siano”. W naszym wypadku „sianem” jest wykorzystanie potencjału. „Konie” i „zakochani” to decydenci oraz młodzi pasjonaci munduru.

„Zakochani” patrzą na „siano” w sposób romantyczny. Gdy czyta się ich wypowiedzi, patrzy na zdjęcia, to widać, że marzą o ściganiu „zielonych ludzików”, odbijaniu zakładników, wykonywaniu akcji bezpośrednich. Do takich zadań chcą się szkolić. Wystarczy spojrzeć na ich mundury i wyposażenie – jakby wprost z jednostek specjalnych oraz obowiązkowo kominarki na głowach.

„Konie” jako racjoniści wiedzą, że nawet najambitniejsi amatorzy nie będą w stanie skutecznie stawić czoła profesjonalnie wyszkolonym i wyposażonym żołnierzom grup dywersyjno-rozpoznawczych przeciwnika. Chyba że nie weźmiemy pod uwagę strat po własnej stronie. Zadania powierzane członkom organizacji paramilitarnych będą niezwykle ważne, ale zdecydowanie bardziej banalne.

Problem polega także na tym, że część wypowiedzi osób z kręgów decydenckich jest tak nieprecyzyjna, że rozbudza nadzieję młodych ludzi na „specjalsowanie”. Głosy tonujące i racjonalizujące zakres zadań są zdecydowanie zbyt słabo nagłaśniane. Obawiam się więc smutnego finału tej historii: wielu młodych ludzi będzie rozczarowanych ofertą MON-u. Znowu pojawią się głosy o „marnowaniu potencjału”. Rozgoryczenie okaże się tym większe, im dłużej oferta dla środowisk proobronnych nie będzie skonkretyzowana i właściwie wypromowana.

Przy okazji przypomnę mój własny pomysł z czerwca 2009 roku. Pracując wtedy w BBN, przygotowałem założenia koncepcji bardziej racjonalnego sposobu naboru chętnych do służb mundurowych. Najprościej mówiąc: chodziło o to, aby instruktorzy z wojska i służb podległych resortowi spraw wewnętrznych jako obserwatorzy pojawiali się na przykład na letnich obozach organizacji proobronnych. Doświadczeni szkoleniowcy po kilku dniach potrafiliby wyselekcjonować najlepszych kandydatów do swoich formacji. Dla takich ludzi należało stworzyć szybszą ścieżkę przebrnięcia przez formalne procedury umożliwiające włożenie munduru. Niestety ówczesni szefowie MON-u i MSWiA w żaden sposób nie odnieśli się do pomysłu. A chodziło przecież o formę preselekcji, pozwalającą oszczędzać publiczne pieniądze marnowane na kandydatów nienadających się do służby w mundurze, ale przechodzących proces naboru. Minęło pięć lat i teraz pomysł jest inny. Młodzi mają czwórkami maszerować w nowe struktury zwiększające bezpieczeństwo państwa. Tymczasem wojsko jest najlepszym przykładem, że masowość w działaniu nigdy nie skutkuje jakością w wykonaniu. Świetnie wiedzą o tym żołnierze służący w jednostkach, które należało ukompletować w szybkim tempie. Zawsze odbywało się to kosztem jakości. ■

**MASOWOŚĆ
W DZIAŁANIU NIGDY
NIE IDZIE W PARZE
Z JAKOŚCIĄ
W WYKONANIU**



JAROSŁAW RYBAK JEST PUBLICYSTĄ ZAJMUJĄCYM SIĘ PROBLEMATYKĄ BEZPIECZEŃSTWA. AUTOREM KSIĄŻEK O POLSKICH JEDNOSTKACH SPECJALNYCH. BYŁ RÓWNIEŻ RZECZNIKIEM PRASOWYM MON I BBN.

PAULINA GLIŃSKA

Dodatki stażowe

Żołnierze z minimum 15-letnią wysługą corocznie będą otrzymywać podwyżkę dodatku za długoletnią służbę. Znowelizowane rozporządzenie łagodzi też kryterium wypłat dodatków dla specjalistów wojskowych oraz instruktorów-pilotów.

Prace nad poprawą systemu motywacyjnego dla żołnierzy zawodowych rozpoczął powołany już w listopadzie 2012 roku w MON zespół specjalistów. Jako jeden z priorytetów rekomendował on szefowi resortu obrony zmiany w wypłacie dodatków stażowych. Choć przystał on na propozycje, to ze względów finansowych nie zgodził się na nie ówczesny minister finansów Jacek Rostowski. W trakcie spotkania z Konwentem Dziekanów Korpusu Oficerów Zawodowych minister obrony narodowej obiecał jednak, że do sprawy wróci. I tak się stało. Po pracach legislacyjnych, uzgodnieniach wewnątrz- i międzyresortowych podpisane przez wicepremiera Tomasza Siemoniaka rozporządzenie 4 grudnia 2014 roku weszło w życie.

MOTYWACJA DO SŁUŻBY

Zwiększenie dodatków stażowych to najważniejsza i najbardziej oczekiwana przez żołnierzy zmiana w tym dokumencie. Wcześniej, dodatek za staż w armii wynosił po 15 latach służby 15% pensji zasadniczej i zwiększał się co pięć lat o kolejne 5% (15, 20, 25, 30 lat wysługi). Maksymalnie po 30 latach w mundurze żołnierz mógł co miesiąc otrzymywać dodatkowe 30% kwoty wynagrodzenia zasadniczego. Jak pokazała praktyka, takie rozwiązanie nie motywowało wojskowych do dłuższego czasu pozostawania w służbie. Zwłaszcza tych o najdłuższym stażu pracy w mundurze.

Zmiany, które weszły w życie 4 grudnia 2014 roku, zakładają, że dodatek za długoletnią służbę

będzie się zwiększał o 1% uposażenia zasadniczego za każdy rok jej pełnienia powyżej 15 lat. Maksymalnie wyniesie on 35%. Na nowych regulacjach skorzysta większość żołnierzy zawodowych z wysługą od 16 do 35 lat służby wojskowej. W praktyce na przykład dodatek dowódcy kompanii w stopniu kapitana z 18-letnią wysługą i pensją brutto 5084,50 zł zwiększy się z 15 do 18% (z 604,50 zł do 725,40 zł), a w wypadku chorążego, z pensją 3800 zł brutto i 29-letnim stażem służby, comiesięczny 25-procentowy dodatek, czyli około 950 zł, wzrośnie do 29%, czyli o około 150 zł.

NA NOWYCH REGULACJACH SKORZYSTA WIĘKSZOŚĆ ŻOŁNIERZY ZAWODOWYCH Z WYSŁUGĄ OD 16 DO 35 LAT SŁUŻBY WOJSKOWEJ

„Motywacja finansowa, w postaci rosnącego dodatku, pozwoli na zatrzymanie w wojsku specjalistów o wszechstronnym doświadczeniu i wiedzy”, przekonuje Ministerstwo Obrony Narodowej. Zwraca też uwagę na aspekty

finansowe. Odchodzącym z armii żołnierzom jest bowiem wypłacana emerytura wojskowa wynosząca maksymalnie 75% ich pensji. „Dodatkowo wynagrodzenie trzeba zapłacić kolejnym żołnierzom, którzy obejmują zwolnione stanowiska. Tymczasem, jeśli się uda zatrzymać tych żołnierzy do osiągnięcia przez nich 60 roku życia, praktycznie będą oni mogli dalej służyć za 25% uposażenia, bo o tyle różni się ich uposażenie od należnej emerytury wojskowej”, tak uzasadniali przedstawiciele resortu zmiany w przepisach.

W efekcie, choć wprowadzone zmiany mają kosztować 39 mln zł rocznie, to resort obrony może zaoszczędzić ponad 100 mln zł na wypłacie

KOMENTARZE

MARIAN BABUŚKA



Według wcześniejszych przepisów żołnierze z 21-letnią wysługą dostawali procentowo taki sam dodatek, jak wojskowi, mający za sobą 24 lata służby. W praktyce po 20–30 latach w mundurze żołnierze nie mieli właściwie żadnej finansowej motywacji, aby służyć dłużej. Dlatego zmiany były potrzebne.

Było to najdłużej powstające rozporządzenie dotyczące dodatków. Dobrze, że w końcu stało się faktem. Liczymy, że zmiany będą czynnikiem motywującym, że nowe rozwiązania ustabilizują warunki służby i że zmniejszy się liczba odejść z wojska.

Płk **Marian Babuśka** jest przewodniczącym Konwentu Dziekanów Korpusu Oficerów Zawodowych.

TOBIASZ MORAŃSKI



Zmiana dotycząca zasad otrzymywania dodatku motywacyjnego za posiadaną klasę jest dla nas bardzo istotna. Nie każdy dobry specjalista w swojej dziedzinie ma bowiem piątkę z opiniowania służbowego. Teraz wystarczy czwórka i zdobycie klasy, by otrzymać dodatek motywacyjny. Ubolewamy jednak nad tym, że nie mają tutaj znaczenia klasy uzyskane przez żołnierzy przed 1 stycznia 2010 roku.

St. szer. **Tobiasz Morański** jest przewodniczącym Kolegium Mężów Zaufania Korpusu Szeregowych.

emerytur dla byłych żołnierzy. Pieniądze przeznaczone na wypłatę dodatków według nowych zasad nie spowodują wzrostu kwot zaplanowanych na wynagrodzenia. Zostały bowiem wygospodarowane dzięki zmianom w strukturze kadry zawodowej, związanym między innymi ze zmniejszeniem liczby oficerów, a zwiększeniem żołnierzy korpusu szeregowych zawodowych.

Nowe rozwiązania, mające uatrakcyjnić długoletnią służbę, nie objęły żołnierzy ze stażem krótszym niż 15 lat, w tym na przykład szeregowych, którzy z zasady mogą służyć nie dłużej niż 12 lat. W ich wypadku zachowano 3-procentowe dodatki za każde trzy lata czynnej służby wojskowej.

Dla tej grupy żołnierzy (a także dla podoficerów) rozporządzenie przewiduje jednak zmiany w zasadach otrzymywania dodatku motywacyjnego za klasę specjalisty. Dotychczas, aby otrzymać pieniądze, szeregowi i podoficerowie musieli mieć piątkę z opiniowania służbowego. Teraz wystarczy czwórka i zdobycie klasy, by dostać dodatek motywacyjny.

Na zmianach w rozporządzeniu skorzystają też instruktorzy-piloci. Nowe przepisy znoszą bowiem wymóg wykonania przez nich rocznej normy godzin lotów (30–40 godzin) jako warunku otrzymywania dodatku specjalnego za wykonywa-

nie lotów w składzie załóg wojskowych statków powietrznych. Chodzi tu o 136 stanowisk znajdujących się w dowództwach i sztabach różnych szczebli dowodzenia. Nie są to etety pilotów, ale służba na nich wymaga doświadczenia lotniczego i wiedzy związanej z użyciem lotnictwa w operacjach powietrznych. „To żołnierze, którzy oprócz zadań wynikających z zajmowanego stanowiska służbowego, biorą również udział w szkoleniu młodszych pilotów. Wykonanie dotychczas wymaganej liczby godzin lotów wymaga od nich znacznego czasowego zaangażowania, co utrudnia realizację codziennych zadań”, tak pomysłodawcy argumentowali zmiany w przepisach. W efekcie dla takich żołnierzy liczba godzin lotów będzie ustalana corocznie w planie szkolenia lotniczego. Plan ten będzie przewidywał mniejszą niż dotychczas liczbę godzin, które musi spędzić w powietrzu instruktor-pilot, aby otrzymać dodatek specjalny.

Rozporządzenie wprowadza też nowe dodatki funkcyjne dla tych żołnierzy, którym na uczelniach lub w instytutach badawczych powierzono funkcję jednoosobowego organu uczelni lub instytutu (np. rektora lub dyrektora) albo kierownika jednostki organizacyjnej lub ich zastępców. Taki żołnierz będzie otrzymywał dotychczasowe uposażenie, ale z tytułu pełnienia funkcji dostanie dodatek. ■

Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych. Zachęcamy do zadawania pytań:

niezbednik@zbrojni.pl

Rekonwersja dla szeregowego

Jestem szeregowym zawodowym, za rok odchodzę z wojska (koniec kontraktu). Jakie uprawnienia z zakresu rekonwersji przysługują żołnierzom żegnającym się z armią?

→ **Szczegółowe formy pomocy w ramach działań rekonwersyjnych znajdują się enume-
ratywnie w §5 rozporządzenia.** Zaliczyć do

nich należy pokrycie kosztów przekwalifikowania zawodowego, w tym również kosztów dojazdów i zakwaterowania w okresie szkolenia. Z tej formy pomocy żołnierz może skorzystać na dwa lata przed zwolnieniem z zawodowej służby wojskowej. Były żołnierz ma do nich prawo przez dwa lata po jej zakończeniu. Dotychczas limity dofinansowania na pokrycie kosztów przekwalifikowania zawodowego przedstawiały się następująco:

- po czterech latach służby wojskowej – 100% limitu (1875 zł),
- po dziewięciu latach służby wojskowej – 200% limitu (3750 zł),
- po 15 latach służby wojskowej – 300% limitu (5625 zł).

W ramach rekonwersji były żołnierz zawodowy może liczyć na doradztwo zawodowe, w którego ramach są udzielane porady indywidualne oraz organizowane w systemie grupowym zajęcia szkoleniowo-warsztatowe.

Jedną z form pomocy w ramach rekonwersji jest także pośrednictwo pracy. Polega ono na pozyskiwaniu i udzielaniu informacji na temat dostępnych ofert zatrudnienia.

Praktyka zawodowa – to działalność polegająca na zdobywaniu wiedzy w miejscu pracy. Nowe doświadczenie zawodowe żołnierz może zacząć zdobywać już sześć miesięcy przed zwolnieniem

z wojska. Warunkiem jest posiadanie dziewięcioletniego stażu zawodowej służby wojskowej.

W wypadku byłych żołnierzy zawodowych, z pomocy rekonwersyjnej mogą skorzystać ci, którzy zostali zwolnieni z zawodowej służby wojskowej po ustaleniu przez wojskową komisję lekarską niezdolności do pełnienia służby wskutek wypadku pozostającego w związku ze służbą, choroby powstałej w związku ze szczególnymi właściwościami lub warunkami służby wojskowej albo którzy pełnili zawodową służbę wojskową co najmniej cztery lata (z wyjątkiem zwolnionych z powodów wymienionych w ustawie – art. 111 pkt 1 i 12–15). Taka osoba w ciągu dwóch lat od dnia zwolnienia z zawodowej służby może korzystać z pomocy w zakresie doradztwa zawodowego, przekwalifikowania i pośrednictwa pracy.

Podkreślić należy, że żołnierz zawodowy, który został zwolniony ze służby w efekcie ustalenia przez wojskową komisję lekarską niezdolności do pełnienia służby wskutek wypadku pozostającego w związku z pełnieniem czynnej służby wojskowej albo choroby powstałej w związku ze służbą wojskową pełnioną poza granicami państwa (art. 2 pkt 1 ustawy z 17 grudnia 1998 roku o zasadach użycia lub pobytu Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej poza granicami państwa), z rekonwersji może korzystać bezterminowo.

Mogą z niej skorzystać również małżonek oraz dzieci pozostające na utrzymaniu żołnierza zawodowego, który zaginął lub poniósł śmierć w związku z wykonywaniem zadań służbowych albo zmarł w okresie trzech lat po zwolnieniu z zawodowej służby wojskowej w następstwie wypadku lub choroby pozostającej w związku z wykonywaniem zadań służbowych. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

PODSTAWA PRAWNA: ustawa o zmianie ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych oraz niektórych innych ustaw z 11 października 2013 roku (DzU 2013 poz. 1355 z późn. zm.) – art. 120; rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie pomocy w zakresie doradztwa zawodowego, przekwalifikowania, pośrednictwa pracy i odbywania praktyk zawodowych z 13 czerwca 2011 roku (DzU 2011 nr 134 poz. 784); Regulamin organizacyjny Ministerstwa Obrony Narodowej nadany zarządzeniem nr 40/MON z 22 lipca 2006 roku w sprawie regulaminu organizacyjnego Ministerstwa Obrony Narodowej (Dz. Urz. MON 2006 nr 21 poz. 270 z późn. zm.).

Porady zamieszczane na łamach „Polski Zbrojnej” mają charakter informacyjno-doradczy i nie stanowią wiążącej interpretacji i wykładni prawa.

Wada wzroku a służba

Mam dość dużą wadę wzroku – 6,5 oraz 8 dioptrii. Czy w związku z tym mam szansę na dostanie się do zawodowej służby wojskowej?

→ **Nie. Wada wzroku, która istnieje u autora pytania, dyskwalifikuje go do uznania za zdolnego do zawodowej służby wojskowej,** nawet w wypadku zastosowania szkielek korekcyjnych. Kwestie powyższe reguluje rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie orzekania o zdolności do zawodowej służby wojskowej. W załączniku nr 1 do rozporządzenia, w poz. 13 tabeli „Wykaz chorób lub ułomności uwzględniany przy orzekaniu o zdolności do zawodowej służby wojskowej oraz do służby poza granicami

państwa, a także o ograniczonej zdolności do pełnienia zawodowej służby wojskowej w poszczególnych rodzajach sił zbrojnych” znajduje się szczegółowy opis wad narządu wzroku, których istnienie powoduje uznanie kandydata na żołnierza zawodowego za niezdolnego do służby. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

PODSTAWA PRAWNA:

rozporządzenie ministra obrony narodowej zmieniające rozporządzenie w sprawie orzekania o zdolności do zawodowej służby wojskowej oraz właściwości i trybu postępowania wojskowych komisji lekarskich w tych sprawach z 4 grudnia 2012 roku (DzU 2012 poz. 1481) – załącznik nr 1, poz. 13.

Nagroda a przepisy

Mam świadectwo pracy, w którym, ze względu na to, że pracowałem jako uczeń, nie ma ujętego czasu pracy (trzy lata). Był to jednak okres składkowy. Zakład, w którym pracowałem, już nie istnieje. Radca prawny w jednostce stwierdził, że nagroda jubileuszowa mi się nie należy, ponieważ nie mam określonego wymiaru czasu pracy. Uważam jednak, że jako uczeń w zawodzie pracowałem w pełnym wymiarze czasu na zajmowanym stanowisku.

→ **Problematykę przyznawania prawa do nagrody jubileuszowej dla żołnierzy zawodowych reguluje art. 85 ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych.** Pomocniczo kwestie te normuje rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie nagród jubileuszowych żołnierzy zawodowych. To w tym dokumencie ustawodawca ustalił, że do okresu czynnej służby wojskowej, od którego zależy nabycie prawa do nagrody jubileuszowej, wlicza się zakończone okresy zatrudnienia wykonywanego w pełnym wymiarze czasu pracy.

Pojawia się pytanie, czy czynności, które podejmował Pan w ramach nauki zawodu, były wykonywane w pełnym wymiarze czasu pracy. Jeżeli tak, to okoliczność tę, w wypadku gdy zakład pracy już nie istnieje, można udowodnić, przeprowadzając postępowanie dowodowe zastępcze, na przykład złożąc oświadczenia świadków, którzy potwierdzą, że w danym okresie wraz z Panem

wykonywali czynności pracownicze, przez jaki czas, ile razy w tygodniu, miesiącu itp. Można również wystąpić do Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, właściwego dla działania danego zakładu pracy, o poświadczenie zgłoszenia Pana do ubezpieczenia.

Podobne stanowisko zajął Wojewódzki Sąd Administracyjny w Gliwicach w wyroku z 26 kwietnia 2006 roku (sygn. akt. IV SA/GI 172/05), który uznał, że: „Okres zatrudnienia jako ucznia praktycznej nauki zawodu w pełnym wymiarze czasu pracy właściwym dla tej kategorii pracowników podlega wliczeniu do okresu zatrudnienia, od którego zależy możliwość nabycia prawa do nagrody jubileuszowej w myśl przepisu §2 ust. 1 pkt 3 rozporządzenia Ministra Obrony Narodowej z 11 maja 2004 r. w sprawie nagród jubileuszowych żołnierzy zawodowych (DzU nr 127 poz. 1325), wyczerpuje bowiem przesłankę zatrudnienia wykonywanego w pełnym wymiarze czasu pracy”. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

PODSTAWA PRAWNA:

ustawa o zmianie ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych oraz niektórych innych ustaw z 11 października 2013 roku (DzU 2013 poz. 1355 z późn. zm.) – art. 85.1.; rozporządzenie ministra obrony narodowej zmieniające rozporządzenie w sprawie nagród jubileuszowych żołnierzy zawodowych z 14 lutego 2008 roku (DzU 2008 nr 38 poz. 218) – §2 ust. 1 pkt. 3.

Nagrody dla żołnierzy NSR

Zmieniają się zasady przyznawania nagród żołnierzom Narodowych Sił Rezerwowych. Uproszczony też ma zostać sposób tworzenia funduszu na gratyfikacje pieniężne dla eneserowców.

Zołnierze Narodowych Sił Rezerwowych mogą liczyć na nagrody w wysokości 2 tys. zł. Gratyfikacja ta ma charakter uznaniowy, ale według obowiązujących przepisów dowódca może ją przyznać dopiero po zakończeniu trwającego 12 pełnych kalendarzowych miesięcy kontraktu. Warunkiem jej otrzymania jest udział żołnierza NSR w ćwiczeniach w ustalonych w ciągu roku terminach oraz ukończenie ich z oceną pozytywną. Takie rozwiązanie nie daje jednak możliwości przyznania nagrody żołnierzom NSR służącym w ramach kontraktu rocznego, który nie obejmuje 12 pełnych miesięcy kalendarzowych, na przykład rozpoczyna się i kończy w trakcie trwania danego miesiąca.

Rozporządzenie przygotowywane przez MON ma zmienić zasady wypła-

cania nagród w taki sposób, by było możliwe przyznanie jednej nagrody w trakcie 12-miesięcznego kontraktu, a nie dopiero po zakończeniu 12 pełnych miesięcy służby. Warunkiem niezbędnym i koniecznym do otrzymania gratyfikacji wciąż ma być pozytywna ocena w opinii służbowej, sporządzanej po zakończeniu ćwiczeń.

Zmiany przewidują też odstąpienie od wymogu udziału żołnierza NSR we wszystkich zaplanowanych ćwiczeniach w okresie trwania kontraktu jako warunku koniecznego do wypłaty gratyfikacji pieniężnej. Żołnierzom mogą bowiem przytrafić się sytuacje losowe, jak na przykład choroba, które nie powinny uniemożliwiać wypłaty nagrody, zwłaszcza tym, którzy w trakcie innych ćwiczeń dobrze wykonywali swoje obowiązki. Aby jednak otrzymać

nagrodę, żołnierz będzie musiał przynajmniej raz uczestniczyć w wojskowych ćwiczeniach.

Równocześnie z pracami nad rozporządzeniem w sprawie warunków i trybu przyznawania nagród i zapomóg żołnierzom niezawodowym, resort przygotował przepisy dotyczące funduszu na nagrody dla żołnierzy NSR. W odniesieniu do aktualnego stanu prawnego mają zostać uproszczone zasady jego tworzenia. Obecnie powstaje on na szczeblu ministerialnym, co ze względu na konieczność zmian w planach finansowych utrudnia terminowe wypłacanie pieniędzy dla żołnierzy. Po wejściu w życie zmian, fundusz taki miałby być tworzony u dowódców jednostek wojskowych, w których żołnierze NSR mają nadane przydziały kryzysowe. P G / P Z ■

Nowe zasady oceny

Według propozycji MON, także żołnierze niezawodowi mają podlegać szczegółowej ocenie przez przełożonych.

Choć nowe przepisy dotyczące opiniowania żołnierzy niezawodowych wprowadziła obowiązująca od 1 sierpnia 2014 roku ustawa o powszechnym obowiązku obrony Rzeczypospolitej Polskiej, to przygotowane przez resort projekty bardziej szczegółowo definiują między innymi sposób opiniowania służbowego, skalę ocen i tryb postępowania odwoławczego.

Wprowadzony system jest z zasady analogiczny do obowiązującego żołnierzy zawodowych. Uwzględni jednak specyficzność służby przygotowawczej, służby żołnierzy uczestniczących w ćwiczeniach wojskowych, pełniących okresową służbę wojskową, a także żołnierzy Narodowych Sił Rezerwowych w czasie, kiedy nie pełnią oni czynnej służby wojskowej.

Propozycje resortu zakładają, że opinia służbowa będzie sporządzana na przykład w trakcie służby wojskowej i w wypadku zwolnienia żołnierza ze służby. Jeśli chodzi o żołnierzy NSR, również w czasie, kiedy pozostają oni na tak zwanym przydziale kryzysowym, ale nie pełnią czynnej służby.

Opinię zawsze będzie sporządzał bezpośredni przełożony żołnierza. Będzie ona miała formę arkusza opinii służbowej i zawierać, oprócz danych osobowych i zajmowanego stanowiska, informacje o wykształceniu, w tym o ukończonych kursach, szkoleniach i znajomości języków obcych. W trakcie opiniowania przełożony uwzględni wyniki żołnierza uzyskane ze szkolenia w czasie służby, a także ogólną notę z dyscypliny wojskowej.

Jako trzecie będą brane pod uwagę cechy osobowe. W skali od dwóch do pięciu przełożony oceni między innymi jego odpowiedzialność, rzetelność, umiejętność współdziałania, determinację, odporność psychofizyczną, prezencję oraz predyspozycje dowódcze.

Trzy oceny – za wyniki w szkoleniu, dyscyplinę i cechy osobowe – złożą się na jedną ogólną notę z opiniowania. Żołnierz będzie mógł otrzymać ocenę w skali od dwóch do pięciu: bardzo dobrą (5) – średnia 4,51 lub wyższa; dobrą (4) – 3,51–4,50; dostateczną (3) – 2,51–3,50; niedostateczną (2) – poniżej 2,51. Najlepszą i najłabszą ocenę przełożony będzie musiał uzasadnić.

W arkuszu oceny znajdzie się miejsce na wpisanie notatki dotyczącej wojskowej przyszłości żołnierza, na przykład informacji o skierowaniu do służby w NSR, na kurs, dotyczącej zwolnienia ze służby, ale także – w wypadku posiadania przez żołnierza NSR kwalifikacji i umiejętności szczególnie przydatnych w wojsku – propozycja powołania do zawodowej służby wojskowej. P G / P Z ■

Ułatwienia dla kandydatów na żołnierzy

Dogodniejsze terminy składania wniosków o przyjęcie do służby kandydackiej oraz częstsze opiniowanie kandydatów na żołnierzy zawodowych to najważniejsze zmiany wprowadzone rozporządzeniem ministra obrony narodowej.

Znowelizowane przepisy doprecyzowują terminy składania wniosków przez osoby zainteresowane służbą zawodową. Ma to zapewnić kandydatom odpowiedni czas na badania lekarskie i psychologiczne oraz przygotowanie się do rekrutacji. Terminy zależą od tego, jaki rodzaj studiów czy szkolenia wybrała dana osoba.

Kandydaci ubiegający się na przykład o szkolenie oficerskie na uczelni wojskowej lub w szkole podoficerskiej muszą złożyć dokumenty nie później niż trzy miesiące przed rozpoczęciem nauki. Z kolei chętni na studia wojskowe mają czas do 31 marca. Ubiegający się o miejsce w placówkach niewojskowych (np. chcą studiować na Wydziale Wojskowo-Lekarskim Uniwersytetu

Medycznego w Łodzi) mogą składać wnioski do 15 maja. Dwa terminy – 31 marca lub 30 września – są przewidziane dla osób, które chcą dostać się do ośrodków szkolenia. Rozporządzenie reguluje też przypadki, gdy cywilny student uczelni wojskowej chce się przenieść na studia dla oficerów. Wówczas będzie musiał złożyć wniosek w ciągu dwóch tygodni od ogłoszenia informacji o rekrutacji uzupełniającej.

W niektórych sytuacjach kandydaci na żołnierzy będą częściej niż dotąd opiniowani. Zmieniły się też terminy oceniania. Studenci w mundurach będą mu podlegali już po pierwszym etapie szkolenia wojskowego, zakończonego przysięgą. Potem – po każdym roku studiów na uczelni (wcześniej było to

sześć miesięcy przed planowanym terminem ukończenia kształcenia).

W wypadku kandydatów na podoficerów ocena będzie przeprowadzana po szkoleniu, a nie, jak dotychczas, miesiąc przed jego końcem. Przełożeni będą brać pod uwagę wywiązywanie się z obowiązków oraz kompetencje i zachowania kandydatów.

Skala ocen pozostała bez zmian. Kandydat może otrzymać noty od bardzo dobrej do niedostatecznej.

Rozporządzenie doprecyzowało również koszty poniesione w związku z nauką kandydata na żołnierza zawodowego. Chodzi między innymi o zakwaterowanie, umundurowanie, wyżywienie. Gdy żołnierz zostanie zwolniony ze służby (na skutek zrzeczenia się polskiego obywatelstwa, uzyskania mandatu posła lub senatora, nieusprawiedliwionej nieobecności na służbie przez trzy dni robocze), pieniądze będzie musiał zwrócić, zgodnie z podpisaną z wojskiem umową. Wyjątkiem będzie między innymi sytuacja, gdy student pierwszego roku zostanie skreślony z listy lub nie będzie spełniał wymogów określonych w regulaminie uczelni. P/G/PZ ■

Kwalifikacja wojskowa po raz siódmy

W 2015 roku obowiązek stawiennictwa będzie miało około 270 tys. młodych ludzi.

Już 16 stycznia zostanie ogłoszona kwalifikacja wojskowa. Rozpocznie się 2 lutego i potrwa do 30 kwietnia. W ciągu prawie trzech miesięcy przed komisjami lekarskimi będzie się musiało stawić około 270 tys. młodych osób, głównie 19-latkowie oraz mężczyźni w wieku od 20 do 24 lat, którzy dotąd nie stawili się na kwalifikację i nie mają orzeczonej kategorii zdolności do czynnej służby wojskowej.

Przed komisjami będą także musieli stanąć ci, którzy podczas kwalifikacji wojskowej przeprowadzanej w latach

2013–2014 otrzymali kategorię zdrowia „B” (czasowa niezdolność do czynnej służby wojskowej) do czasu zakończenia kwalifikacji wojskowej w 2015 roku. Osoby takie nie mogą zostać przeniesione do rezerwy i w związku z tym nie mają uregulowanego stosunku do powszechnego obowiązku obrony. Ich wezwanie do kwalifikacji pozwoli na wydanie ostatecznego orzeczenia o zaliczeniu do jednej z kategorii zdolności do służby.

Obowiązkową kwalifikację przejdą też kobiety, których umiejętności mogą się okazać wojsku niezbędne. Chodzi przede wszystkim o osoby z wykształceniem medycznym, weterynaryjnym lub psychologicznym.

Jak zawsze do kwalifikacji będą też mogli podejść minimum 18-letni ochotnicy, zarówno kobiety, jak i mężczyźni.

W trakcie kwalifikacji danej osobie zostanie założona (lub zaktualizowana) tak zwana ewidencja wojskowa. Potem w komisjach, uruchomionych w każdym województwie i w każdym powiecie, będą przeprowadzone badania lekarskie,

oceniające stan zdrowia poszczególnych osób. Lekarze zbadają słuch, wzrok, sprawdzą występowanie wad postawy. Dopiero potem każdy wezwany otrzyma kategorię zdolności do służby. Najwyższa, „A”, będzie oznaczać, że kandydat nadaje się do czynnej służby wojskowej (jest też wymagana niekaralność sądowa). Kategoria „E” natomiast całkowicie ją wykluczy. Przedstawiciel wojskowego komendanta uzupełnień wyda także książeczki wojskowe. Osoby uznane za zdolne do czynnej służby wojskowej zostaną przeniesione do rezerwy i będą miały uregulowany stosunek do służby wojskowej. Te zaś, wobec których zostaną orzeczone kategorie zdrowia „D” i „E”, zostaną skreślone z ewidencji wojskowej.

W przyszłoroczną kwalifikację na terenie 16 województw będzie zaangażowanych między innymi 16 wojewódzkich komisji lekarskich, około 400 powiatowych komisji lekarskich, 16 wojewódzkich sztabów wojskowych i 86 wojskowych komend uzupełnień. P.Z/P.G ■

|PRZEGLĄD|

JACEK M. RAUBO

PODWODNA PIĘŚĆ DAWIDA

Władze Izraela wyciągają wnioski z lekcji historii. Dlatego chcą stworzyć silną flotyllę okrętów podwodnych, która uchroniłaby państwo przed blokadą morską.



Głównodowodzący izraelską flotą, wiceadm. Ram Rothberg, od początku nie krył dumy z powodu pojawienia się INS „Tanin”.



H D W

U S N A V Y



M

yli się ten, kto nie docenia rzeczywistej siły marynarki wojennej Izraela. Szczególnie że niedawno, wraz z pojawieniem się w służbie najnowszego okrętu podwodnego INS „Tanin”, znacznie wzmocniła się podwodna pięść Dawida.

Okręt jest pierwszą jednostką klasy S Delfin drugiej generacji, która wejdzie do służby w izraelskiej marynarce wojennej. Głównodowodzący izraelską flotą, wiceadmirał Ram Roth-

berg, od początku nie krył dumy z powodu pojawienia się INS „Tanin”. Słowa zachwyty wyraził w trakcie ceremonii zakończenia jednego z kursów dla młodych izraelskich oficerów w Hajfie. Przemawiając wówczas, stwierdził bardzo obrazowo, że nowy delfin będzie mógł pływać głębiej, operować na większym obszarze i przez zdecydowanie dłuższy czas niż dotychczasowe jednostki.

INS „Tanin” powstał w niemieckiej stoczni, należącej do koncernu ThyssenKrupp Marine System w Kilonii. Dawniej to miejsce było centrum rozwoju groźnych U-Bootów. Począwszy od lat dziewięćdziesiątych XX wieku, stało się również matczynym miejscem najnowszej izraelskiej floty okrętów podwodnych. Niemcy zobowiązały się bowiem, po zakończeniu pierwszej wojny w rejonie Zatoki Perskiej, do dostarczenia Izraelowi kilku okrętów podwodnych typu 800 Delfin. Co ciekawe, zakup pierwszych dwóch jednostek w całości pokryła strona niemiecka. Dopiero przy trzecim okręcie podwodnym, z pierwszej generacji delfinów, władze izraelskie musiały partycypować w kosztach. Przy czym ostatecznie było to zaledwie 50% całej sumy, resztę nadal wykładał podatnik niemiecki. W wypadku INS „Tanin” Niemcy także pokryły część wydatków, jednak już w zdecydowanie mniejszym stopniu niż to miało miejsce wcześniej.

WIEKSI I SILNIEJSI

Izraelskie delfiny pierwszej oraz drugiej generacji zastąpiły w służbie starsze jednostki klasy Gal, będące modyfikacją okrętów podwodnych typu 206A. Sam INS „Tanin” jest obecnie największym okrętem podwodnym zbudowanym w Niemczech po zakończeniu II wojny światowej. W najbliższym czasie ma do niego w Izraelu dołączyć kolejny bliźniaczy Delfin II – INS „Rahav”.

Nowe izraelskie okręty podwodne będą należeć do najnowocześniejszych w swojej klasie na całym świecie. Są przy tym większe i cięższe od dotychczas używanych przez Izraelczyków, a zbudowanych w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Jednym z najważniejszych atutów INS „Tanin”, jak i okrętów siostrzanych, ma być



Każdy potencjalny przeciwnik musi zdać sobie sprawę, że PODWODNA PIĘŚĆ DAWIDA jest w ciągłej gotowości do działania.

zastosowanie systemu AIP (air-independent propulsion). Wydłuża on zdecydowanie okres pozostawania jednostki w zanurzeniu, bez potrzeby pobierania tlenu atmosferycznego dla silników Diesla. Okręt dysponuje bowiem napędem diesel-elektrycznym. Szacuje się, że zasięg operacyjny delfina drugiej generacji wyniesie około 4,5 tys. km. Maksymalna prędkość jaką ma osiągnąć INS „Tanin” to 20 węzłów.

Nowe okręty podwodne, budowane w Niemczech dla Izraela, zostaną wyposażone w dziesięć wyrzutni torpedowych: cztery kalibru 650 mm i sześć kalibru 533 mm. Jako pierwotne uzbrojenie okrętów Delfin drugiej generacji wskazuje się bardzo skuteczne oraz efektywne torpedy DM-2A4 Seahake. Oprócz klasycznych torped, orężem INS „Tanin” będą najpewniej przeciwokrętowe pociski manewrujące UGM-84C Harpoon. Do zwalczania śmigłowców oraz innych nisko lecących celów mają być wykorzystywane pociski Triton.

Wspomniane wyposażenie bojowe INS „Tanin” nie wzbudziłoby kontrowersji, gdyby nie fakt, że wraz z pojawieniem się nowego delfina drugiej generacji, w izraelskiej marynarce odżyła dyskusja o przenoszeniu przez te okręty podwodne broni atomowej. Oczywiście władze Izraela nigdy oficjalnie nie przyznały się do posiadania głowic nuklearnych, lecz dla całego świata jest oczywiste istnienie izraelskiego potencjału atomowego odstraszania,



NOWE IZRAELSKIE OKRĘTY PODWODNE BĘDĄ NALEŻEĆ DO NAJNOWOCZĘSNIJSZYCH W SWOJEJ KLASIE NA CAŁYM ŚWIECIE

H D W

którego ważnym elementem są właśnie okręty podwodne. Podejrzewa się, że na nowych delfinach drugiej generacji Izraelczycy mogą zastosować pełną gamę pocisków manewrujących, z głowicami bojowymi przystosowanymi do przenoszenia ładunków nuklearnych. Mogą to być na przykład harpoony o zasięgu do 130 km. Wspomina się też o specjalnej wersji produkowanych przez Rafaela pocisków manewrujących Popeye turbo o zasięgu wynoszącym ponad 320 km. Inne źródła podają, że w wyposażeniu INS „Tanin” mogą się znajdować opracowane przez Israeli Aircraft Industries pociski z rodziny Gabriel, w wersji 4LR. Ich zasięg będzie wynosił około 200 km, a głowice mają być przygotowane do użycia broni atomowej.

W 2002 roku źródła z Departamentu Stanu oraz Departamentu Obrony Stanów Zjednoczonych przyznały, że na Oceanie Indyjskim dwa lata wcześniej zaobserwowano próbę w ostrzeliwanym przez okręt podwodny pociskiem manewrującym. Miał on osiągnąć cele odległe prawie o 1,5 tys. km. Test był związany z rozwojem izraelskich zdolności do odstraszenia atomowego i wzmocnieniem floty okrętów podwodnych.

KLUCZOWA WIELOZADANIOWOŚĆ

Izraelskie okręty podwodne na co dzień mają wypełniać bardzo zróżnicowane misje. Dlatego, kupując w niemieckiej stoczni INS „Tanin”, strona izraelska postawiła na wielozadaniowość tej konkretnej jednostki oraz następných zamówionych. Oczywiście najbardziej widoczne i kontrowersyjne jest, wspomniane już, wykonywanie patroli w ramach odstraszenia atomowego. Możliwość zadania tak zwanego drugiego ciosu, z użyciem najsilniejszej broni w izraelskim arsenale, ma być

strategiczną odpowiedzią na zagrożenie ze strony między innymi Iranu. Władze Izraela pamiętają o doświadczeniach historycznych – niejednokrotnie przecież wrogowie dążyli do zablokowania szlaków morskich, wiodących do jego najważniejszych portów. Potencjalna blokada morska pozbawiłaby izraelską gospodarkę wielu podstawowych surowców i mogłaby zagrozić bezpieczeństwu państwa na równi z inwazją lądową. Silna flotylla okrętów podwodnych, złożona z delfinów pierwszej i drugiej generacji, ma być więc odpowiednim gwarantem, że ani Hajfy, ani Ejlatu nie da się bez strat zamknąć.

Okręty podwodne są również przystosowane do wsparcia operacji specjalnych i współdziałania z komandosami, na przykład elitarnej formacji Shayetet 13 (izraelski odpowiednik Navy Seals). Wyrzutnie torpedowe kalibru 650 mm mogą służyć między innymi do przenoszenia oraz wypuszczania specjalnych pojazdów dla nurków, tak zwanych SDV (Swimmer Delivery Vehicles). Należy podkreślić, że od kilku lat znacząco zwiększyła się tego rodzaju aktywność w całej izraelskiej marynarce wojennej. INS „Tanin” po wejściu do służby zapewne, analogicznie do już używanych okrętów, niejednokrotnie będzie operował między innymi u wybrzeży Libanu.

O tym, jak ważne dla bezpieczeństwa Izraela są okręty podwodne, świadczyć może fakt, że to najprawdopodobniej właśnie jeden z nich, a nie siły powietrzne, jak sugerowano w pierwszych dniach, dokonał ataku na syryjski port Latakia w 2013 roku. Wówczas w magazynach portowych miały być składowane pociski przeciwokrętowe P-800 Oniks (Yakhont), mające wzmocnić potencjał reżimu Baszszara al-Asada. Zostały one zniszczone wskutek uderzenia pocisków manewrujących.

Wzmocnianie potencjału izraelskiej marynarki wojennej, między innymi dzięki zakupowi kolejnych okrętów podwodnych, należy łączyć bezpośrednio także z potrzebą zabezpieczenia interesów gospodarczych we wschodniej części Morza Śródziemnego. Izrael może w przyszłości stać się ważnym eksporterem gazu oraz ropy naftowej, wydobywanych z podmorskich złóż zlokalizowanych na Morzu Lewantyńskim. Jedno ze strategicznych, największych złóż, znane jako Lewiatan, znajduje się około 130 km od Hajfy. Jednak boom na gaz i ropę w Izraelu może zrodzić problemy z innymi potencjalnymi złóżami, które są zlokalizowane chociażby na granicy z Libanem.

INWESTYCJA W BEZPIECZEŃSTWO

Z chwilą wejścia do służby kolejnych dwóch okrętów podwodnych klasy Delfin II, Izrael będzie dysponował flotą złożoną już z sześciu jednostek. Stanie się przez to bezsprzecznie jednym z najsilniejszych graczy we wschodniej części Morza Śródziemnego. Wziąwszy pod uwagę tak ograniczoną linię brzegową państwa, będzie wręcz jednym ze światowych liderów pod względem nasycenia tego rodzaju uzbrojeniem.

Same okręty, jak to określił premier Benjamin Netanjahu, są inwestycją w bezpieczeństwo wszystkich obywateli. Nie tylko ochraniają, lecz także pozwalają izraelskim decydom na rozszerzenie aktywności polityczno-wojskowej. Każdy potencjalny przeciwnik musi zaś zdać sobie sprawę, że podwodna pięść Dawida jest w ciągłej gotowości do działania. ■

JACEK M. RAUBO JEST PUBLICYSTĄ „MADMAGAZINE.
PL” ORAZ DOKTORANTEM NA UNIwersYTECIE
ADAMA MICKIEWICZA W POZNANIU.



FRANCJA

Tuzin feniksów

Przy okazji obchodów 50-lecia utworzenia we francuskich siłach powietrznych komponentu strategicznego minister obrony Jean-Yves Le Drian ogłosił podpisanie kontraktu na 12 wielozadaniowych latających tankowców Airbus **A330 MRTT**. Wartość transakcji wyniesie 3 mld euro. Nowe samoloty dostały nazwę Phénix (Feniks). Pierwszy A330 MRTT ma być dostarczony w 2018 roku, drugi rok później. Pozostałe tankowce będą przekazywane, po jeden–dwa egzemplarze, w kolejnych latach. We francuskich siłach powietrznych feniksy zastąpią 11 tankowców C135FR i trzy KC135RG, a także samoloty transportowe – trzy **A310** i dwa A340. A330 MRTT będą mogły zabrać do 50 t paliwa i przewieźć do 271 pasażerów. W razie potrzeby wykonają misje ewakuacji medycznej. Na pokładzie feniksa będzie można umieścić do dziesięciu ewakuacyjnych modułów intensywnej opieki i reanimacji pacjenta (MORPHEE), w w

AIRBUS MILITARY

KOREA POŁUDNIOWA

Więcej czarnych panter

Do 2017 roku armia otrzyma około 100 czołgów podstawowych K-2 Black Panther (Czarna Pantera) z armatą kalibru 120 mm.

Pojazdy te będą wyposażone w rodzimej produkcji silnik i skrzynię biegów. W połowie 2014 roku w wojskach lądowych było około setki K-2. Prace badawczo-rozwojowe nad południowokoreańskim czołgiem nowej generacji kosztowały 2 bln wonów, czyli 1,84 mld dolarów. K-2 ma zastąpić leciwie amerykańskie wozy M48, jak też znacznie nowsze krajowej konstrukcji K-1. Koreańczycy liczą też, że znajdą się zagraniczni klienci na ich produkt. T W ■

POLSKA

Nowe podwozie kraba

Huta Stalowa Wola 17 grudnia 2014 roku podpisała z firmą Samsung Techwin kontrakt o wartości 320 mln dolarów na dostawy i produkcję licencyjną w Polsce 120 podwozi do armatohaubicy Krab, takich samych, jakie są w południowokoreańskim dziale K9 Thunder. Zastąpią one polskie konstrukcje, które nie spełniły wymagań wojska. Najpierw wykryto pęknięcia blach kadłubowych, a potem doszły problemy z silnikiem i układem paliwowym. W sierpniu 2014 roku HSW poinformowała Ministerstwo Obrony Narodowej, że nie dostarczy kraba w dotychczasowej konfiguracji. „W związku z oświadczeniem wykonawcy Huty Stalowa Wola, że nie jest w stanie ukończyć projektu z wykorzystaniem dotychczasowego podwozia, podjąłem decyzję o dokończeniu przedsięwzięcia z zastosowaniem konstrukcji licencjon-

wanej”, powiedział sekretarz stanu MON Czesław Mroczek. Zmieniono harmonogram dostaw zmodernizowanych krabów. „Pierwsze egzemplarze chcemy pozyskać w 2016 roku, a cały moduł w 2017”, poinformował wiceminister. Przyznał, że zmiana podwozia spowoduje wzrost jednostkowej ceny armatohaubicy do 32 mln zł. Wszystkie podwozia dla 24 krabów pierwszego modułu dywizyjnowego pierwszej fazy projektu zostaną wyprodukowane w Republice Korei. Samsung dostarczy jeszcze tuzin dla następnego dywizjonu. Pozostałe 84 sztuki mają być wyprodukowane w Polsce. Prezes zarządu Polskiej Grupy Zbrojeniowej SA Wojciech Dąbrowski stwierdził, że uzyskujemy licencję otwartą, która da możliwość eksportu krabów i opracowania innych pojazdów na podwoziu Samsunga. W RT ■

INDIE

Artyleryjska przymiarka

Rząd w Delhi zamierza gruntownie zmodernizować artylerię swojej armii.

Planuje kupić 814 armatohaubic kalibru 155 mm, o długości lufy 52 kalibrów, na podwoziu kołowym. Wartość transakcji oszacowano na 157,5 mld rupii, czyli około 2,5 mld dolarów. Jak poinformował dziennik „Times of India”, transakcja ma być zrealizowana według wprowadzonej w 2013 roku zasady „Buy and Make”. Zgodnie

z nią z wycięską firmą zagraniczną wyprodukuje 100 armatohaubic w swych zakładach, a pozostałe 714 powstanie w Indiach. No-

we armatohaubice mają zastąpić w indyjskich wojskach lądowych armaty polowe kalibru 105 mm.

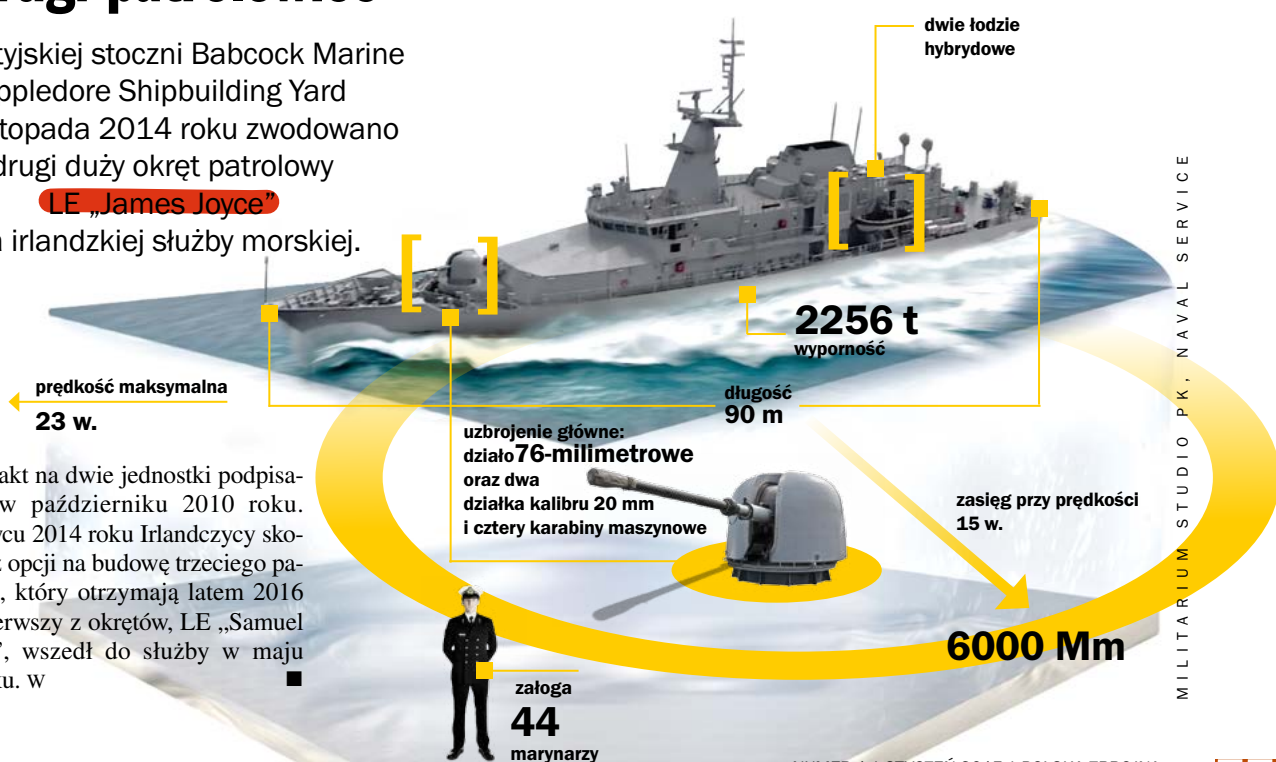
Korzystając z rozwiązań Boforsa, Hindusi opracowali własną holowaną armatohaubicę, Dhanush, kalibru 155 mm, z lufą o długości 45 kalibrów. FH-77B Boforsa ma lufę 39 kalibrów. Zmiana ta zwiększa zasięg strzelania z 27 km do ponad 38 km. Pierwsze zamówienie na Dhanush dotyczy 114 dział, ale według źródeł w indyjskim resorcie obrony może być zwiękzone do 414 sztuk. 18 egzemplarzy firma Ordnance Factory Bard ma wyprodukować w tym roku. Indie we współpracy z partnerami zagranicznymi prowadzą też prace nad holowanymi armatohaubicami z lufami o długości 52 kalibrów. Jedną z nich jest Bharat 52. w

IRLANDIA

Drugi patrolowiec

W brytyjskiej stoczni Babcock Marine Appledore Shipbuilding Yard 23 listopada 2014 roku zwodowano drugi duży okręt patrolowy LE „James Joyce” dla irlandzkiej służby morskiej.

Kontrakt na dwie jednostki podpisano w październiku 2010 roku. W czerwcu 2014 roku Irlandczycy skorzystali z opcji na budowę trzeciego patrolowca, który otrzymają latem 2016 roku. Pierwszy z okrętów, LE „Samuel Beckett”, wszedł do służby w maju 2014 roku. w





FRANCJA



NEXTER

Start skorpiona

Nad Sekwaną rozpoczął się 8 grudnia 2014 roku wielki program wymiany i modernizacji sprzętu pancernego wojsk lądowych, znany jako „Scorpion”.

Minister obrony Jean-Yves Le Drian ogłosił na 5 grudnia 2014 roku podczas wizyty w 27 Brygadzie Piechoty Górskiej w Varces. Program realizują firmy Nexter, Renault Trucks Defense i Thales. Na początek otrzymają one 752 mln euro na prace badawczo-rozwojowe nad dwoma nowymi wozami pancernymi. Jednym z nich będzie wielozadaniowy pojazd (Véhicule Blindé Multi-Rôles – VBMR) na podwoziu sześciokołowym, nazwany Grifon (Gryfon). Drugim – również sześciokołowy – pojazd rozpoznawczo-bojowy (Engin Blindé de Reconnaissance et de Combat – EBRC) z armatą kalibru 40 mm, strzelającą amunicją teleskopową, i wyrzutniami przeciwpancernych pocisków kierowanych średniego zasięgu, nazwany Jaguar.

Pierwszą fazę, obejmującą prace badawczo-rozwojowe i dostawy pojaz-

dów, zaplanowano na dziesięć lat, do 2025 roku. Jej koszty są szacowane na 5 mld euro. Konsorcjum realizujące program „Scorpion” ma dostarczyć pierwsze 92 sześciokołowe VBMR do 2019 roku. Ogółem w tej fazie armia otrzyma 780 gryfonów. Masa wozu w pełni załadowanego wyniesie 24,5 t. Ma on być uzbrojony w zdalnie sterowany moduł z karabinem maszynowym kalibru 7,62 lub 12,7 mm. Przewiduje się, że powstanie sześć wersji gryfona, między innymi transporter piechoty, wozy dowodzenia i ewakuacji medycznej, a także pojazd z moździerzem kalibru 120 mm. W 2021 roku pojawi się lżejsza, czterokołowa wersja VBMR, o masie 10 t. W pierwszej fazie planuje się przekazanie wojskom lądowym 200 sztuk tych pojazdów. Masa całkowita EBRC, który ma być produkowany od 2020 roku, wy-

niesie 25 t. Do 2025 roku wojska lądowe dostaną ich 110.

Według planów docelowo armia francuska chce kupić 172 sześciokołowe jaguary. Zastąpią one czterokołowe transportery VAB, których w połowie 2014 roku było 3135. Lekkich pojazdów VBMR ma być 358 i zastąpią one 1470 lekkich pojazdów rozpoznawczych VBL/VB2L i 1183 wielozadaniowych PVP. W planach jest też zakup 248 ciężkich wozów rozpoznawczo-bojowych EBRC. Zastąpią one 248 pojazdów AMX 10RCR, 110 ERC 90 Sagaie oraz 30 niszczycieli czołgów VAB-HOT.

Program „Scorpion” obejmuje także modernizację 200 czołgów Leclerc oraz wprowadzenie systemu zarządzania walką (Système d’Information du Combat) oraz systemu symulacyjnego na potrzeby szkolenia. ■

CZECHY

Dodatkowe transportowce

Ministerstwo obrony Czech zamierza wzmocnić lotnictwo transportowe, podały serwisy Armadinoviny i Army.cz.

Obecnie dysponuje ono czterema samolotami C-295, dwoma Airbus A319, dwoma Jak-40 i jednym CL-601 Challenger. Czesi zamierzają dokupić jeszcze dwa transportowce C-295 oraz jeden lub dwa większe od nich, klasy C-130 Hercules. Alternatywą dla amery-

kańskiego samolotu jest nowa konstrukcja brazylijskiego Embraera KC-390. Jest to dwusilnikowy odrzutowiec, mogący przewozić 23,6 t ładunku na odległość 2600 km. Po zmniejszeniu jego masy o połowę dystans wzrasta do 4815 km. Wymiary przestrzeni ładunkowej

pozwalają przewozić w KC-390 dwa standardowe 20-stopowe kontenery.

W programie budowy tego samolotu uczestniczy czeska firma lotnicza Aero Vodochody. Minister obrony Martin Stropnický poinformował, że resort chce przeznaczyć na jeden samolot ponad 54 mln euro.

Niedługo w czeskich barwach zakończą służbę jaki. Jedną z opcji jest zastąpienie ich trzecim A319. TED ■



EADS



nr 13.

Landarm - ubiór polowy
rys. Monika Rokicka



Nr 13.

Ubiór polowy

**ŻANDARM, ODDZIAŁ SPECJALNY
ŻANDARMERII WOJSKOWEJ W MIŃSKU
MAZOWIECKIM (2014 ROK).**

Przedstawiamy żołnierza Żandarmerii Wojskowej w ubiorze polowym. Ma on mundur polowy wzór 2010 w kamuflażu wzór 93, który składa się ze spodni i bluzy. Na charakterystycznych dużych kieszeniach na rękawach są rzepy, umożliwiające szybkie przypięcie oznaki rozpoznawczej. Na prawym rękawie munduru znajduje się czarny naramiennik z napisem „Żandarmeria Wojskowa”, „MP” (Military Police) i polską flagą. Na głowie widać hełm kompozytowy wzór 2005. Twarz żołnierza jest osłonięta przez kominiaarkę i gogle taktyczne. Żandarm nosi trzewiki taktyczne, rękawiczki taktyczne i ochraniacze na kolana. Ma też kamizelkę kuloodporną z systemem przenoszenia MOLLE, z widocznymi ładownicami na 30-nabojowe magazynki. Podstawową bronią żołnierza jest karabinek automatyczny Beryl wzór 96C kalibru 5,56 mm. Dodatkowo w kaburze przy prawym udzie ma on pistolet Glock 17 kalibru 9 mm.



nr 14.

*Chorąży sztabowy, 77 Dywizjon
Rakietowy Obrony Powietrznej
(2008 rok.)*

Oddział Specjalny Żandarmerii Wojskowej w Mińsku Mazowieckim

Utworzenie w Mińsku Mazowieckim 25 stycznia 2005 roku jednostki zdolnej do działań manewrowych (podobnie jak dwóch innych w Warszawie i Gliwicach) wynikało z konieczności przystosowania się żandarmerii do nowych zadań, związanych ze zwalczaniem międzynarodowego terroryzmu i transformacją, którą w tym czasie przechodziły polskie siły zbrojne. Istotna była też konieczność po-

siadania jednostek przygotowanych do wykonywania zadań policyjnych w misjach zagranicznych. Obecnie żandarmi z Mińska Mazowieckiego stanowią trzon Polskiego Kontyngentu Wojskowego w misji Unii Europejskiej w Republice Środkowoafrykańskiej. Pluton manewrowy wystawiony przez OSŻW jest jednocześnie częścią kontyngentu Europejskich Sił Żandarmerii (EUGENDEFOR). ■

OPRACOWAŁ TADEUSZ WRÓBEL



...O POWOLNYM
DOJRZEWANIU
KRABA

Grzmot z importu

- Słyszalesz? Nasi grzmot kupili.
- Tak i do tego z importu.
- Fakt, południowokoreański K9 Thunder, a dokładnie to podwozie od tej samobieżnej armatohaubicy, którą wzięli wcześniej także Turcy dla swojej firtiny.
- No i mamy kolejne przesunięcia w czasie o przynajmniej dwa lata...
- ...Przy dobrych wiatrach. Tak czy inaczej, kolejny sukces naszej zbrojeniówki. Bo alternatywą były używane haubice z second-handu. Może niemieckie.
- A masz świadomość, że grzmot i krab to równolatki? Ten sam kaliber, ta sama długość lufy, zbliżona masa. Praca koncepcyjna z 1997 roku, dwa lata później pierwsze prototypy. Szliśmy z Koreańczykami łeb w łeb.
- A potem kraba ktoś strzelił w łeb.
- Raczej wsadził do lodówki za niewłaściwe pochodzenie.
- No i swoje odsiedział.
- I dziś fabrykę PZL Wola, gdzie mieli produkować silniki do krabów w Warszawie, równają z ziemią. Bloki w tym miejscu będą pewnie stawiać.
- Silnik, jak reszta napędu, będą teraz koreańskie. Stary silnik i układ paliwowy okazały się niedostosowane i padły na testach.
- Że stary silnik to nie jest dobry pomysł, wiadomo było od dawna. A pamiętasz jak kiedyś mówiono, że Ministerstwo Obrony Narodowej to nie jest ministerstwo obrony przemysłu?
- Żołnierze wolą sprzęt z importu. Przykre, ale prawdziwe. Jak chcemy mieć dobry sprzęt, musimy kupować licencje, by nadrobić luki technologiczne. Przesadna ambicja, brak mierzenia zamiarów wedle sił, to taka nasza wada narodowa, niepoprawnych romantyków, zderzających się z murem rzeczywistości.
- Casus kraba to powrót do przeszłości. W 1932 roku wojsko przetestowało lekki, rozpoznawczy czołg Vickersa. Stwierdzili, że fajny, ale by nie kupować, bo zrobimy taki sam i będzie on nasz, własny. I działko do niego, i silnik, i w ogóle wszystko.
- Pamiętam. To był projekt czołgu czterotonowego. Prace trwały tak długo, że zanim rozpoczęto produkcję, wybuchła wojna.
- Myślisz, że teraz mamy więcej czasu?
- No pewnie. Zobacz, 4 TP projektowali i testowali siedem lat, kraba już dwa razy dłużej. W chwili osiągnięcia zdolności bojowej projekt będzie miał 20 lat.
- Dojrzały krab.
- Oby nie przejrzały.



strategie

| BLISKI WSCHÓD |

TOMASZ OTŁOWSKI

KOLONIE KALIFATU

Państwo Islamskie stało się bohaterem zbiorowej wyobraźni milionów muzułmanów.



REUTERS/STRINGER/FORUM

N

iemal pół roku po rozpoczęciu przez międzynarodową koalicję operacji militarnej przeciwko Państwu Islamskiemu (Islamic State – IS) kalifat nie tylko istnieje, ale wciąż poszerza swe granice. W ciągu tych kilku miesięcy terytorium kontrolowane przez niego w Syrii i Iraku zwiększyło się niemal o jedną piątą i jest już porównywalne z obszarem, jaki zajmuje Wielka Brytania (około 250 tys. km²). Niestety, jakby tego było mało, kalifat zdoby-

wa nowe tereny i sojuszników z dala od swego terytorium. Na naszych oczach zaczyna się więc realizować najbardziej pesymistyczny scenariusz, w którym brak zdecydowanej i skutecznej reakcji społeczności międzynarodowej na zagrożenie ze strony Państwa Islamskiego daje mu szansę na szybki, systematyczny rozrost i umacnianie własnej pozycji strategicznej.

WALKA O SERCA I UMYSŁY

Zgodnie z wcześniejszymi przewidywaniami utworzenie kalifatu pod koniec czerwca 2014 roku natychmiast odbiło się szerokim echem w świecie islamu, spotykając się z żywym odzewem nie tylko tych wyznawców Allaha, którzy prezentują poglądy radykalne. Nic więc dziwnego, że Państwo Islamskie – niezależnie od swej zbrodniczej aktywności w Syrii i Iraku – stało się bohaterem zbiorowej wyobraźni milionów muzułmanów. Tym samym jego pozycja w światowym ruchu dżihadu w krótkim czasie znacznie się wzmocniła, co oczywiście odbyło się kosztem dominującej w nim dotychczas Al-Kaidy. Jednym z dowodów na taki stan rzeczy jest nieprzerwany napływ ochotników „świętej wojny”, przybywających z całego świata na wezwanie kalifa Ibrahima. Według najbardziej ostrożnych szacunków, co miesiąc szeregi IS są zasilane o kolejnych 800–1000 dżihadystów, w tym także wielu pochodzących z państw zachodnich.

Rosnąca popularność kalifatu i jego żywe oddziaływanie na serca i umysły radykalnych muzułmanów przejawia się również w inny sposób. Począwszy od sierpnia 2014 roku, coraz więcej islamskich ugrupowań ekstremistycznych deklaruje poparcie dla kalifatu. I choć nie zawsze stwierdzają one to wprost, to w każdym z takich przypadków jest to faktyczne uznanie politycznej i religijnej zwierzchności kalifa Ibrahima oraz przyłączenie się do sił Państwa Islamskiego. Oznacza to, że kalifat to już nie tylko określone (i do tego wcale nie-małe) terytorium w samym sercu Bliskiego Wschodu, ale też rosnąca z każdym tygodniem sieć organizacji i grup islamistycznych, jednoznacznie uznających przewodnią rolę Państwa Islamskiego w walce o dominację islamu na świecie. Państwo

Islamskie powoli ewoluuje więc w strukturę międzynarodową, znacznie jednak różniącą się od sieciowej Al-Kaidy.

Lista ugrupowań dżihadystycznych, które opowiedziały się po stronie IS, jest już dość długa. Znajduje się na niej wiele małych, lokalnych grup o relatywnie niewielkim wpływie na sytuację społeczno-polityczną w miejscu swej aktywności: jak na przykład filipiński BIFF (Islamscy Bojownicy o Wolność Bangsamoro) czy Algierscy Żołnierze Kalifatu. Są też na niej jednak duże i wpływowe organizacje islamskich radykałów, o uznanej pozycji w ruchu dżihadu, jak choćby Islamski Ruch Uzbekistanu (IMU), lokalne oddziały Ansar al-Szaria czy nigeryjski Boko Haram. Wciąż nie do końca pewny jest status pakistańskich talibów z Tehrik-e-Taliban Pakistan (TTP). Co prawda za pośrednictwem swego rzecznika grupa ta złożyła kalifowi deklarację poparcia i lojalności jeszcze w październiku 2014 roku, ale zaraz potem informacja na ten temat została zdementowana przez innych członków kierownictwa ruchu. Niewykluczone, że w TTP doszło do rozłamu, w wyniku którego część jego liderów i wpływowych komendantów przeszła pod rozkazy Państwa Islamskiego, a pozostali zachowali lojalność wobec Al-Kaidy i jej emira. Podobna sytuacja we wrześniu 2014 roku miała miejsce w szeregach Al-Kaidy Islamskiego Maghrebu (AQIM), którą wraz z grupą dowódców i bojowników opuścił jej dotychczasowy lider Abdelmalek Gouri i założył wspomnianą grupę Algierskich Żołnierzy Kalifatu.

To, co się obecnie dzieje w szeregach takich organizacji, jak TTP czy AQIM, dobrze pokazuje ideologiczny, polityczny i duchowy ferment, jaki powstał wśród dżihadystów po ogłoszeniu kalifatu. Wiele ugrupowań, które w ostatnich miesiącach jawnie stanęły po stronie kalifa Ibrahima, było wcześniej zdeklarowanymi sojusznikami i stronnikami Al-Kaidy. TTP, IMU, Abu Sajef czy Ansar al-Szaria nie tylko podpisywały się pod hasłami programowymi i ideologią tej organizacji, lecz także pełnymi garściami czerpały z jej operacyjnego know-how oraz zasobów kadrowych i finansowych. Ich przejście pod sztandary Państwa Islamskiego to duży cios dla organizacji Ajmana az-Zawahiriego, zarówno w wymiarze czysto prestiżowym, jak i ściśle organizacyjnym oraz operacyjnym. Zwłaszcza postawa TTP (lub przynajmniej jego części) może się okazać bardzo bolesna dla Al-Kaidy – jej centralne struktury od 2001 roku goszczą bowiem na terenach pogranicza Pakistanu i Afganistanu, znajdującego się we władaniu pakistańskich talibów. Przejście części z nich na stronę IS może pozbawić Al-Kaidę dotychczasowego komfortowego schronienia i doprowadzić do bratobójczej konfrontacji między współpracującymi dotychczas w miarę zgodnie grupami dżihadystycznymi w tej części Azji. A wszystko to dosłownie w przeddzień zakończenia operacji ISAF w Afganistanie i związa-



MILITARIUM STUDIO / M D

Na mapie szeroko rozpowszechnionej w Internecie latem 2014 roku pokazano regiony, które ISIS zamierza kontrolować w ciągu najbliższych pięciu lat.

ORGANIZACJE ISLAMISTYCZNE, KTÓRE ZADEKLAROWAŁY WSPÓŁPRACĘ I POPARCIE DLA PAŃSTWA ISLAMSKIEGO

Azja Centralna, Południowa i Południowo-Wschodnia:

- IMU (Islamski Ruch Uzbekistanu) – Uzbekistan, Afganistan, Pakistan;
- BIFF (Islamscy Bojownicy o Wolność Bangsamoro) – Filipiny;
- Abu Sajef – Filipiny;
- Tehrik-e-Taliban Pakistan (Ruch Talibów Pakistanu) – Pakistan, Afganistan;
- Dżundullah (Żołnierze Allaha) – Pakistan ;

- Dżamm'ia Islamiya (Grupa Islamska) – gałąź regionalna w Bangladeszu;
- Ansar-ut Tauhid fi-Bilad al-Hind (AuT, Stronnicy Monoteizmu w Indiach) – Indie.

Bliski Wschód i Afryka:

- Madżlis Szura al-Mudżahidin (Rada Mudżahedinów Regionu Jerozolimy) – Strefa Gazy;
- Ansar Bajt al-Makdis (Stronnicy Świętego Domu [Jerozolimy]) – Egipt/półwysep Synaj;

- Ansar al-Szaria (Stronnicy Islamskiego Prawa) – Libia, Tunezja;
- Dżund al-Khilafa' fi Ard al-Dżazai'ir (Algierscy Żołnierze Kalifatu) – Algieria;
- Al-Murabitun (Wartownicy) – Afryka Subsaharyjska, Sahel;
- Boko Haram – Nigeria, Afryka Zachodnia;
- Ansar al-Islam (Stronnicy Islamu) – Irak, Autonomia Kurdyjska.

nej z tym niemal całkowitej redukcji zaangażowania militarnego Zachodu w tym państwie.

ISLAMSKA SIEĆ

Wśród struktur islamistycznych popierających Państwo Islamskie jest też ugrupowanie Ansar Bajt al-Makdis, od 2013 roku działające w Egipcie, a mające swe kryjówki głównie na półwyspie Synaj. Grupa ta, pierwotnie współpracująca z Al-Kaidą Półwyspu Synaj (AQSP), niemal w całości przeszła w październiku 2014 roku pod sztandary kalifatu. Fakt ten jest osobistą porażką i wręcz afrontem dla Ajmana az-Zawahiriego – z pochodzenia Egipcjanina, islamistycznego bojownika przez dekady

walczącego z kolejnymi reżimami w Kairze, a dzisiaj żywo zainteresowanego zacieśnianiem związków egipskich islamistów z jego organizacją.

Niestety, to zapewne nie koniec złych wiadomości dla Al-Kaidy i jej kierownictwa. Wiele wskazuje bowiem na to, że w najbliższym czasie na stronę kalifatu przejdą kolejne grupy, dotychczas wiernie ikonie światowego dżihadu. Ta niepewność co do dalszej lojalności dotyczy tak ważnych dla funkcjonowania Al-Kaidy organizacji, jak Laszkar-e-Dżhangwi i Laszkar-e-Taiba w Pakistanie czy nawet samej Al-Kaidy Półwyspu Arabskiego. Nie ulega wątpliwości, że organizacja założona ćwierć wieku temu przez Osamę bin Ladena przeżywa obecnie największy →

kryzys organizacyjno-ideologiczny w swej historii. Na paradoks zakrawa fakt, że przyczyną tego stanu rzeczy nie jest antyterrorystyczna aktywność społeczności międzynarodowej, ale działalność innej struktury islamistycznej, o znacznie bardziej radykalnym profilu i bezwzględnych metodach.

Świat nie powinien jednak obawiać się deklaracji wierności wobec Państwa Islamskiego (często dość ogólnikowych), składanych przez różne ugrupowania islamistyczne, które i tak w większości nie sprawują stałej kontroli nad żadnym określonym terytorium. Zdecydowanie groźniejszym zjawiskiem jest celowa i planowa działalność IS, obliczona na wykorzystywanie i wygrywanie na swą korzyść lokalnych konfliktów i sytuacji kryzysowych w regionach Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej, objętych rebeliami lub wojnami domowymi.

Taka właśnie sytuacja ma miejsce w Libii, w kraju, który cztery lata po obaleniu dyktatury Muammara Kaddafiego jest pogrążony w chaosie coraz bardziej przypominającym to, co się dzieje od 2011 roku w Syrii. Praktycznie cały wschód Libii (historyczny region Cyrenajki) to bastion islamskich ekstremistów. Wiele pustynnych rejonów wschodniej Libii stanowiło zresztą domenę islamistów już od lat dziewięćdziesiątych XX wieku, skąd prowadzili oni walkę zarówno z reżimem Kaddafiego, jak i władzami w Egipcie, Czadzie i Sudanie. To właśnie tutaj swe gniazdo ma dzisiaj między innymi libijskie odgałęzienie organizacji Ansar al-Sharia, odpowiedzialnej za zamach na konsulacie USA w Bengazii i od niedawna związanej formalnie z kalifatem.

Państwo Islamskie jest już jednak dosłownie obecne w Cyrenajce – od października 2014 roku sprawuje niepodzielną władzę i kontrolę nad jednym z miast regionu – około 100-tysięczną Derna. Niedługo później miasto to stało się stolicą nowej prowincji kalifatu – wilajetu Barka (dawna arabska nazwa Cyrenajki). Jest zresztą coś symbolicznego w fakcie, że to właśnie Derna – malowniczo położone miasto na wybrzeżu Morza Śródziemnego w połowie drogi z Bengazii do Tobruku – stało się stolicą pierwszej „zamorskiej prowincji” kalifatu. Zostało ono bowiem założone w 1493 roku przez ostatnich muzułmańskich uchodźców z pokonanego przez Hiszpanów emiratu Grenady (ostatniego islamskiego państewka na Półwyspie Iberyjskim). Dzisiaj zaś jednym z oficjalnie deklarowanych przez kalifat celów jest ponowne przyłączenie „krajów Al-Andaluz” (Hiszpanii) do świata islamu (Dar al-Islam). Kto wie, być może libijska Derna okaże się ważnym etapem w realizacji tego śmiałego, strategicznego zamiaru.

MODELOWY SCENARIUSZ

Wilajet Barka to pierwsza „kolonia” Państwa Islamskiego, choć zapewne nie ostatnia. Przejęcie przez IS kontroli nad Derna odbyło się bowiem według scenariusza, który będzie stanowić najpewniej modelowy wzorzec działania, gotowy do powtórzenia w wielu innych regionach Libii oraz innych miejscach Afryki Północnej i Bliskiego Wschodu. Wszędzie tam, gdzie islamscy ekstremiści sunniccy już dzisiaj faktycznie sprawują kontrolę nad jakimś miastem czy skrawkiem terytorium.

W Dernerze islamisci de facto rządząli niepodzielnie już od 2011 roku, a ich aktywność w tej części Cyrenajki sięga ostatniej dekady XX wieku. To właśnie z Derna i jej okolic pochodziło najwięcej libijskich dżihadystów, walczących z Ameryka-

nami i koalicjantami w Iraku. Bez wątplenia więc stopień radykalizacji miejscowej ludności był znacznie większy niż w innych częściach Libii, co ułatwiło dzisiaj założenie tam pierwszej „kolonii kalifatu”. Kluczowe okazało się jednak bezpośrednio zaangażowanie kalifa Ibrahima, który we wrześniu 2014 roku wysłał do Derna osobistego przedstawiciela, Abu al-Baraa el-Azdiego, weterana walk w Syrii, wraz z grupą doświadczonych bojowników Państwa Islamskiego. Ludzie ci, współpracując z jedną z miejscowych grup islamistycznych – Madżlis Szura al-Szaba’ab al-Islam (Radą Islamskiej Młodzieży) – pokonali w serii krwawych walk inną lokalną organizację dżihadystyczną (Brygadę Męczenników Abu Salema) i przejęli władanie nad miastem. Od razu też zaprowadzili w nim surowe porządki oparte na szariacie, włącznie z najbardziej brutalnymi ich przejawami.

Ktoś może zadać pytanie: po co Państwu Islamskiemu kontrola nad jakimiś odległymi „punktami na mapie”, o których niewielu ludzi słyszało? Ale tu właśnie tkwi potęga i dalekowszoczność jego strategii – trzeba działać tam, gdzie jest taka sposobność i takimi środkami, jakie w danym miejscu i czasie da się wykorzystać. Każdy krok przybliży bowiem do ostatecznego celu, którym jest poddanie całego świata władzy Allaha.

W samej Libii miejsc podobnie atrakcyjnych, co Derna, jest co najmniej kilkadziesiąt. A ile takich lokalizacji znajduje się na całym Bliskim Wschodzie i w innych krajach Afryki Północnej, Subsaharyjskiej czy Wschodniej? Już w październiku 2014 roku libańskie siły bezpieczeństwa rozbiły siatkę agentów IS, których celem było przejęcie kontroli nad wytypowanymi miasteczkami wschodniego Libanu, zdominowanymi przez ludność sunnicką, i ich przekształcenie w regionalne „kolonie”. Widać więc wyraźnie, że Państwo Islamskie za jeden ze swych sposobów działania przyjęło zaszczepianie idei kalifatu wszędzie tam, gdzie może się ona przyjąć i wydać w przyszłości owoce.

Oddziaływanie Państwa Islamskiego i jego kalifatu nie ogranicza się już jednak tylko do regionów tradycyjnie muzułmańskich. Według wielu ekspertów i badaczy problematyki islamskiego ekstremizmu, komórki IS są obecne w wielu państwach zachodnioeuropejskich, a także w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i Australii. Państwo Islamskie w zaskakująco łatwy sposób

przejmuje rząd dusz nad coraz większym odsetkiem muzułmańskich mieszkańców krajów Zachodu, zwłaszcza pozbawionej perspektyw ekonomicznych i życiowych młodzieży. Niektórzy eksperci i badacze zjawiska radykalizmu islamskiego już dzisiaj przestrzegają, że w razie przetrwania kalifatu możemy mieć do czynienia w perspektywie zaledwie kilku lat z pojawieniem się grup zbrojnych Państwa Islamskiego, walczących w Europie Zachodniej o utworzenie kolejnych „kolonii”. Sposób działania tych organizacji doprowadzi z pewnością wiele państw do stanu chaosu, niosąc niekorzystne skutki ekonomiczne, polityczne i społeczne dla całego kontynentu.

Gdy latem 2014 roku w internecie pojawiła się mapka świata z zaznaczonymi na niej regionami, które kalifat ma zamiar opanować w ciągu najbliższych pięciu lat, wszyscy uznali to za dobry żart. Obecnie, pół roku później i w świetle faktów oraz opisanych wydarzeń, warto się jednak poważnie zastanowić, czy Państwo Islamskie aby na pewno nie ma żadnych szans na realizację choć części swych ambitnych założeń strategicznych. ■

CO MIESIĄC SZEREGI PAŃSTWA ISLAMSKIEGO SĄ ZASILANE O KOLEJNYCH 300-1000 DŻIHADYSTÓW



Władze Egiptu uważają, że za zamachami dokonywanymi przez Ansar Bajt al-Makdis stoją zwolennicy Bractwa Muzułmańskiego, czemu ci ostatni zaprzeczają.

KACPER RĘKAWEK

Ogień zwalczaj ogniem

Egipski antyterroryzm ciągle polega głównie na działaniach „najpierw strzelaj, potem pytaj”.

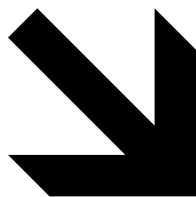
Dżihadystyczna organizacja terrorystyczna Ansar Bajt al-Makdis (Zwolennicy Jeruzolimy – ABM) 24 października 2014 roku zaatakowała wojskowe posterunki w pobliżu miasta Arisz na egipskim półwyspie Synaj. Jedno z uderzeń miało wyrafinowany charakter – rozpoczęło się od ataku zamachowca samobójcy, który zdetonował samochód wypełniony materiałami wybuchowymi w sąsiedztwie posterunku. Po przybyciu na miejsce większej liczby żołnierzy, członkowie ABM rozpoczęli regularny atak na siły egipskie. Straty na koniec dnia wyniosły 33 zabitych.

Tak duża liczba ofiar była szokiem dla władz i społeczeństwa Egiptu. Podobny atak na Synaju, ale zdecydowanie mniej krwawy (16 zabitych żołnierzy), miał miejsce latem 2012 roku. Jego następstwem były dymisje w strukturach zarządzających egipską armią oraz intensyfikacja działań „antyterrorystycznych” na obszarze półwyspu, w tym spektakularne niszczenie tuneli przemytniczych między Egiptem a Gazą, używanych przede wszystkim przez palestyński Hamas. Po atakach z października 2014 roku władze Egiptu ogłosiły żałobę narodową oraz wydały decyzję o wprowadzeniu na części Synaju trzymiesięcznego stanu wyjątkowego i stworzeniu tak zwanej strefy buforowej wokół granicy ze Strefą Gazą. Oznaczało to wysiedlenie wszystkich mieszkańców Synaju w promieniu 1000 m od granicy Egiptu ze Strefą Gazy. Tak drastyczne posunięcie tłumaczono między innymi domniemaniem

o „zagranicznym wsparciu” – z terytorium Strefy Gazy – dla terrorystów z ABM.

ZWALCZANIE TERRORYZMU?

Reakcja Egiptu na ten spektakularny atak organizacji uznawanej za terrorystyczną na personalną siłę zbrojnych tego kraju jest symptomatyczna dla wyznawanej przez egipski sektor bezpieczeństwa zasady „ogień zwalczaj ogniem”. Z jednej strony nie powinno to nikogo dziwić, bo od momentu rozpoczęcia Arabskiej Wiosny w Egipcie rozwinęła się prawdziwa moda na terroryzm – amerykańska „Global Terrorism Database” zawiera wpisy dotyczące 380 incydentów terrorystycznych, mających miejsce w tym kraju między marcem 2011 roku a końcem grudnia 2013 roku. Teoretycznie najprostszym, ale tylko częściowo celnym, wyjaśnieniem „ogniowego”, a w praktyce kinetycznego, zmilitaryzowanego i zbrutalizowanego antyterroryzmu w wykonaniu Egiptu, byłoby sprowadzenie jego przyczyn do kwestii związanych z kulturą i praktyką policyjną w tym kraju. Faktycznie gros działań antyterrorystycznych nakierowanych jest tradycyjnie na fizyczną eliminację szeroko i zmiennie definiowanych terrorystów, czego przykładem może być masakra co najmniej 600 sympatyków Bractwa Muzułmańskiego na placu Rabaa w Kairze z sierpnia 2013 roku. Długoletnia tradycja działań w stylu „najpierw strzelaj, potem pytaj” nie zapewnia jednak pełnego wytłumaczenia egipskiej praktyki zwalczania terroryzmu, której ko-



EGIPT jest najludniejszym krajem arabskim. Pograżenie się w kryzysie tego państwa i upadek sektora bezpieczeństwa automatycznie oznacza destabilizację polityczną i gospodarczą całego regionu.

NIE MA REFLEKSJI NA TEMAT TEGO, ŻE RADYKALNE DZIAŁANIA ZWALCZAJĄCE TERRORYZM SĄ BEZPRODUKTYWNE

rzenie tkwią także w historii, geografii, a nawet demografii tego kraju.

Po pierwsze, najnowsze dzieje Egiptu obfitują w akty terroru (około 900 incydentów terrorystycznych w tym kraju w latach 1970–2013) oraz spektakularne zamachy na prezydentów (1954 – na prezydenta Gamala Abdela Nasera, 1981 – udany na prezydenta Anwara as-Sadata, 1995 – na prezydenta Husniego Mubaraka) czy ataki na cele turystyczne (1997 – masakra w Luksorze, 2004 – ataki bombowe na hotele na Synaju). To utrzymujące się przez wiele lat na wysokim poziomie zagrożenie terrorystyczne w Egipcie spowodowało powstanie w tym kraju klimatu sprzyjającego radykalnym rozwiązaniom, które mają być odpowiedzią na egzystencjalne zagrożenie ze strony zaangażowanych w terroryzm radykalnych islamistów.

Po drugie, położony w północno-wschodniej Afryce Egipt to kraj arabski, który graniczy z Izraelem, kontroluje Kanał Sueski i należy do południowych sąsiadów Unii Europejskiej. Tym samym znajduje się na styku Afryki, Bliskiego Wschodu i Europy, a jego ewentualna destabilizacja, wywołana na przykład zwiększonym zagrożeniem terrorystycznym, stwarza niebezpieczeństwo dla wszystkich sąsiadów Egiptu oraz największych graczy na arenie polityki międzynarodowej. Priorytetem dla nich jest zatem dbałość o utrzymanie przez tego kluczowego arabskiego, bliskowschodniego i zarazem afrykańskiego partnera wewnętrznej stabilności, podtrzymywanie dobrych stosunków z Izraelem, zapewnienie swobody żeglugi na Kanale Sueskim i kontynuacja współpracy z Zachodem w dziedzinie bezpieczeństwa.

Po trzecie, Egipt jest najludniejszym krajem arabskim. Pograżenie się tego państwa w kryzysie i upadek sektora bezpieczeństwa automatycznie oznaczają destabilizację polityczną i gospodarczą całego regionu. I trzeba przyznać, że gdy na początku 2011 roku sytuacja w Egipcie się zaogniła, to sąsiedzi i zagraniczni partnerzy byli gotowi wesprzeć niemal każdą tamtejszą instytucję, nawet pozornie zdolną do przywrócenia stabilizacji w tym kraju. Szybko się okazało, że takie kryteria spełnia tylko armia, uznawana zresztą przez samych Egipcjan za ostatnią godną szacunku in-

stytucję w regionie. Przyznają to także zwolennicy Bractwa Muzułmańskiego, którego członkowie zostali przez tę samą armię zmasakrowani na placu Rabaa. Trudno zatem o lepsze przyzwolenie międzynarodowe i społeczne dla rozwoju kinetycznych praktyk antyterrorystycznych, za które odpowiada egipska armia.

Do prymatu praktyki zwalczania ognia ogniem przyczyniły się także działania z dziedziny public relations. Zmaganiom lokalnego sektora bezpieczeństwa z terroryzmem nadają one rangę zadań, od których wykonania zależą dalsze losy państwa. Znaczenie na również narodowa ideologia, której wyznawcami muszą być wszyscy „antyterrorystycznie” nastawieni obywatele. Tym samym Egipt przy użyciu mediów tworzy własną „wojnę z terroryzmem”, której narrację ustalają rządzący tym krajem wojskowi, ze wsparciem wszystkich przeciwników islamizmu i Egipcjan rozczarowanych rządami Bractwa Muzułmańskiego. Latem 2013 roku, gdy społeczne niezadowolenie z nieudolnych i autokratycznych rządów wywodzącego się z Bractwa Muzułmańskiego prezydenta Muhammada Mursiego sięgało zenitu, w najwyższych kręgach domniemanego i zdominowanego przez armię i służby specjalne tak zwanego głębokiego państwa zapadła decyzja o ponownym napiętnowaniu islamistów mianem terrorystów. Protesty przeciwko ich rządowi uznano zaś za walkę z terroryzmem.

Z jednej strony, były to po prostu kolejne, powtarzane wielokrotnie od lat pięćdziesiątych XX wieku, oskarżenia tego typu pod adresem Bractwa Muzułmańskiego, które według wielu Egipcjan na zawsze pozostało sekretnym islamiistycznym stowarzyszeniem, dążącym do zbrojnego przejścia władzy na całym Bliskim Wschodzie. Z drugiej jednak, w 2013 roku sytuacja była zupełnie inna, bo oto Bractwo dzierżyło władzę i choć jego członkowie torturowali antyislamiistycznych opozycjonistów w pałacu prezydenckim w Kairze, to trudno byłoby ich równocześnie oskarżyć o wspieranie palestyńskiego Hamasu lub sponsorowanie walczących z armią egipską na Synaju dżihadystów, między innymi istniejącej od 2011 roku ABM.

Owszem, Bractwo Muzułmańskie to organizacja o niedemokratycznym pro-

WIZYTÓWKA

DR KACPER RĘKAWEK

Jest analitykiem Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, autorem wielu publikacji polskich i zagranicznych na temat terrorizmu. W 2014 roku, w ramach finansowanego przez Komisję Europejską projektu „Strategic Partnership in Transition” (SPriNT), przedsięwzięcia Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych (PISM), fińskiego think tanku FIIA i egipskiego ACPSS, spędził dwa miesiące w Egipcie. @KacperRekawek

filu, zakładająca stopniową reislamizację Egiptu i jego głębłą społeczno-polityczną transformację. Co więcej, w przeszłości przez jej szeregi przewinęło się wielu z najsłynniejszych dżihadystów w dziejach świata. Nie ma jednak jednoznacznych dowodów na jej terrorystyczny charakter. Nie można zatem automatycznie utożsamiać Bractwa z grupami takimi jak ABM i każdym incydentem terrorystycznym, który miał miejsce w Egipcie po ustąpieniu prezydenta Husniego Mubaraka w lutym 2011 roku. Warto także pamiętać, że to w czasie prezydentury Mursiego armia egipska, za zgodą prezydenta, dążyła do brutalnej rozprawy z dżihadystycznymi rebeliantami na Synaju, a także zintensyfikowała kampanię niszczenia przemytniczych tuneli Hamasu, łączących Egipt ze Strefą Gazy.

BOJOWNICZA RETORYKA

Od lata 2013 roku to wszystko nie ma już jednak znaczenia. Skompromitowane podczas swoich rządów Bractwo Muzułmańskie zostało oficjalnie napiętnowane jako ugrupowanie terrorystyczne, a walka z wszelkimi przejawami sympatii dla tego nieegipskiego (ma międzynarodowy profil) ugrupowania stała się patriotycznym obowiązkiem wszystkich Egipcjan. Nagle się okazało, że rok ich rządów to ukoronowanie wszystkich, co najgorsze w Arabskiej Wiośnie, podczas której Al-Kaida i inne organizacje dżihadystyczne zyskały możliwość odbudowy swoich struktur, między innymi dzięki zwalnianym lub zbiegłym z więzień prominentnym byłym członkom na przykład Egipskiego Islamskiego Dżihadu. Zdaniem egipskiego wojska, reszty sektora bezpieczeństwa, tamtejszych mediów i większości społeczeństwa, odpowiednio przygotowanego przez retorykę „wojny z terroryzmem”, mogło tak się stać jedynie za cichym przyzwoleniem Bractwa, które, udając organizację demokratyczną po 2011 roku i przejęciu władzy, w końcu ujawniło swoje prawdziwe i od dawna skrywane proterrorystyczne oblicze.

W tych warunkach każdy incydent terrorystyczny utwierdza jedynie Egipcjan w słuszności ich przekonania o terrorystycznym charakterze Bractwa. A skoro organizacja taka sprawowała władzę w ich kraju, to są potrzebne radykalne środki, żeby ją zwalczyć. Nie ma czasu na europejskie czy amerykańskie podpowiedzi o rekoncylacji czy ideach dotyczących zapobiegania terroryzmowi. Kraj jest ogarnięty wojną i tylko podjęcie rękawicy rzuconej przez terrorystów może go uratować. Ponadto zbyt wiele środków zostało już zainwestowanych w narrację związaną z wojną z terroryzmem, by teraz się wycofać.

Nie będzie też żalu, przeprosin za zabitych na placu Rabaa, bo przecież zginęli tam terroryści, sprowadzający Egipt na skraj upadku. Nie ma też refleksji na temat tego, że radykalne działania zwalczające terroryzm są bezproduktywne, bo na przykład pogarszają jedynie sytuację na Synaju i w konsekwencji prowadzą do incydentów takich, jak ten z 24 października 2014 roku. Nie można jednak liczyć na zmianę egipskiego sposobu działania, ponieważ ABM od 10 listopada 2014 roku funkcjonuje pod nazwą Prowincji Synaj i jest de facto lokalną filią Państwa Islamskiego. Ten fakt legitymizuje egipską „wojnę z terroryzmem” i stanowi dowód na jej międzynarodowy charakter oraz dziejową konieczność odegrania przez Kair kluczowej roli w starciu z siłami dżihadyzmu, destabilizującymi cały Bliski Wschód. W konsekwencji, ogień dalej będzie zwalczany ogniem. ■

ROBERT CZULDA

Egipska kotwica

Obalenie Muhammada Mursiego oznacza nie tylko odzyskanie pełnej władzy przez wojsko, lecz także powrót na kurs polityki zagranicznej Hosniego Mubaraka.

Z dużym niepokojem obserwowano dojście w czerwcu 2012 roku do władzy Muhammada Mursiego, powiązanego z Bractwem Muzułmanów. Obawiano się, że Egipt, pod rządami partii religijnej, porzuci kurs prozachodni w polityce zagranicznej. Obalenie Mursiego i przejęcie władzy przez wojsko, z Abd al-Fattahem as-Sisim na czele, pozwoliło wielu osobom odetchnąć. Egipt, przynajmniej na razie, wrócił na stary kurs.

PRZEJŚCIOWE TURBULENCJE

Wielu komentatorów obawiało się, że nowe władze doprowadzą do zerwania traktatu pokojowego z Izraelem, będącego podstawą relacji między tymi państwami od 1979 roku. Po wyborze Mursiego na prezydenta, premier Izraela Benjamin Netanjahu kurtuazyjnie wysłał do niego list gratulacyjny (pomimo bliskich kontaktów Hamasu z Bractwem Muzułmanów). Rzeczywistości jednak nie udało się zaczarować: załamanie relacji przyszło bardzo szybko.

Już w styczniu 2012 roku przedstawiciele Bractwa Muzułmanów ostrzegali, że nigdy nie uznają Izraela, a także, iż podejmą kroki prawne przeciwko pokojowi z „syjonistami”. Według izraelskich badań z tamtego okresu, 90% Egipcjan wypowiedziało się przeciwko zrywaniu porozumienia pokojowego z Izraelem, ale aż 85% wyraziło sprzeciw wobec normalizacji stosunków dwustronnych, nawet za cenę zimnej wojny. Nic więc dziwnego, że Izrael bacznie się przyglądał sytuacji i z cichym zadowoleniem przyjął obalenie Mursiego.

As-Sisi szybko odbudował relacje z tym państwem. Najpierw Egipt zamknął przejście graniczne w Rafah, które prowadzi do Strefy Gazy. Następnie zniszczył wszystkie tunele, którymi zaopatrywał się Hamas. Teraz burzy przylegające do granicy domy mieszkalne, aby w ten sposób stworzyć bufor uniemożliwiający przemyt. Tym samym okres współpracy →



Sekretarz stanu USA John Kerry podczas wizyty w Kairze rozmawia z prezydentem Egiptu Abd al-Fattahem as-Sisim, październik 2014 roku.

między władzami Egiptu a Hamasem definitywnie się zakończył, a Kair powrócił do polityki prowadzonej przez wiele lat przez Hosniego Mubaraka – zwalczania palestyńskich radykałów.

AMERYKA NADAL WAŻNA

Najważniejszym pytaniem, jakie zadawano sobie w kontekście ewentualnych korekt polityki zagranicznej i bezpieczeństwa Egiptu, było to o relacje ze Stanami Zjednoczonymi, które są głównym dostawcą uzbrojenia (dostarczają między innymi czołgi M1A1 Abrams, samoloty F-16C/D Fighting Falcon i śmigłowce AH-64A/D Apache), a także darczyńcą (średnio 1,5 mld dolarów rocznie pomocy). Przejęcie władzy przez Mursiego nie przyniosło załamania relacji z Waszyngtonem. Wydarzeniem, które do tego doprowadziło, była seria brutalnych pacyfikacji demonstrantów przez wojsko już po jego obaleniu. Gdy natomiast w lipcu 2013 roku Mursi stracił władzę, prezydent Barack Obama zaapelował o powrót demokracji.

Ochłodzenia współpracy nie chcą ani Egipt, ani Stany Zjednoczone. Kair jest zbyt ważny, aby Waszyngton mógł pozwolić sobie na jego utratę – szczególnie teraz, gdy na Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej szaleją radykałowie spod znaku Al-Kaidy, Al-Nusry czy Państwa Islamskiego. Frank Wisner, były ambasador Stanów Zjednoczonych w Egipcie, stwierdził otwarcie: „Egipt to największe i najważniejsze państwo regionu. Sytuacja w tym kraju wpływa na sytuację w regionie”. Gen. Lloyd J. Austin, stojący na czele dowództwa centralnego, nazwał z kolei Egipt „regionalną kotwicą”.

KONTRAKT Z EGIPTEM TO DLA ROSJI NIE TYLKO POTENCJALNY SUKCES PRESTIŻOWY, LECZ TAKŻE GOSPODARCZY I POLITYCZNY

Stany Zjednoczone patrzą na wydarzenia w Egipcie z przymrużeniem oka także dlatego, że ochłodzenie relacji z Kairem pchnie go w objęcia Moskwy. Prezydent As-Sisi już rozmawiał z Władimirem Putinem na temat dostaw sprzętu wojskowego nawet za 6,5 mld dolarów (w tym samoloty MiG-35, systemy obrony S-300PMU2 lub/i S-300VM, śmigłowce Mi-35M). Kontrakt z Egiptem to dla Moskwy nie tylko potencjalny sukces prestiżowy, lecz także gospodarczy i polityczny. Jest ważny z powodu sankcji gospodarczych, ale także dlatego, że Rosja w ostatnich latach została „wypchnięta” z Bliskiego Wschodu (głównie z Libii) i jest obecna tylko w Syrii i Algierii.

STABILNIE, ALE JAK DŁUGO?

Polityka zagraniczna i bezpieczeństwa Egiptu – po krótkim okresie niestabilności i niepewności – znowu opiera się na „chłodnym pokoju” z Izraelem i bliskiej współpracy ze Stanami Zjednoczonymi. Dopóki u sterów faktycznej władzy w Kairze będą wojskowi, dopóty te filary nie będą zagrożone. Jak długo to będzie trwać? Tego nikt nie wie, ale jedno wydaje się pewne – żaden reżim nie jest tak silny, by nie mógł zostać obalony.

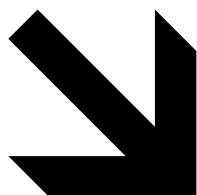
Wprawdzie wiele osób wierzy w potęgę wojska egipskiego, ale podobnie mówiono o władzy monarszej w Iranie, która w 1979 roku niespodziewanie upadła, a państwo przestało być zachodnim żandarmem i w krótkim czasie przeorientowało swoją politykę zagraniczną. Czy tak samo będzie z Egiptem? ■



MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Gra w pokera

Na hybrydową wojnę musi paść
hybrydowa odpowiedź.



BRONISŁAW KOMOROWSKI : „Z Rosją trzeba współpracować, ale należy także podejmować działania o charakterze obronnym. Nie wystarczy tylko reagować na to, co robi Rosja na Ukrainie, trzeba działać prewencyjnie”.

Warto, aby konkluzje z dyskusji, jaka toczyła się podczas Warsaw Security Forum 2014, posłużyły za inspirację do debaty przed przyszłorocznym szczytem Unii Europejskiej, który będzie dotyczył wspólnej polityki bezpieczeństwa i obrony. Dyskutowano między innymi na temat relacji między Unią Europejską, NATO a Rosją. Tematem rozważań podczas tej międzynarodowej konferencji, zorganizowanej przez Fundację im. Kazimierza Pułaskiego i Akademię Obrony Narodowej, było także bezpieczeństwo militarne, ekonomiczne i energetyczne Europy. Na dwa dni do Warszawy przyjechali byli ministrowie spraw zagranicznych i obrony narodowej, doradcy do spraw bezpieczeństwa, analitycy i eksperci.

GROŹNA ROSJA

W wielu wypowiedziach powracały ostrzeżenie przed agresywną polityką Kremla oraz apel o podjęcie zdecydowanych kroków wobec Moskwy. Po aneksji Krymu przedstawiciele NATO czy Unii Europejskiej uznawali wtargnięcie rosyjskich wojsk na wschodnią Ukrainę za „czerwoną linię”, po której przekroczeniu zostaną wprowadzone ostrzejsze sankcje. Okazało się, że niewiele one dały, nie zmusiły prezydenta Władimira Putina do wycofania z Ukrainy rosyjskich żołnierzy (których tam oficjalnie nie ma). Prof. Adam Daniel Rotfeld zauważył, że Rosjanie będą tolero-

wali spadek stopy życiowej, bo nakarmieni rosyjską propagandą są przekonani, że – otoczeni przez wrogie im siły – nie mają wyjścia.

„Z Rosją trzeba współpracować, ale należy także podejmować działania o charakterze obronnym. Nie wystarczy tylko reagować na to, co robi Rosja na Ukrainie, trzeba działać prewencyjnie”, stwierdził podczas wystąpienia na forum prezydent Bronisław Komorowski. Jednak odpowiedź NATO na wydarzenia na Ukrainie ma charakter ograniczony. Podjęte kroki – ustanowienie obecności rotacyjnej, wzmocnienie ochrony przestrzeni powietrznej państw bałtyckich, stworzenie sił natychmiastowego reagowania – nie dają gwarancji odparcia otwartego ataku sił zbrojnych Rosji. Na skuteczne odstraszenie militarne Europa nie jest jeszcze gotowa.

Można postawić tezę, że rosyjski system odstraszenia już „działa” w stosunku do krajów Zachodu. Strach przed wojną jest jednym z czynników, które powodują, że Kijów nie otrzymuje znaczącej pomocy o charakterze wojskowym. Zachodni politycy wyraźnie dążą do „deeskalacji”, wzbraniając się przed podejmowaniem bardziej zdecydowanych działań (np. stałego rozmieszczenia znaczących sił wojskowych w krajach bałtyckich).

Anna Masso, doradca prezydenta Estonii, przytoczyła anegdotę o żabie. Jeśli wrzucimy ją do gotującej wody – wyskoczy. Ale jeśli bę-



dziemy stopniowo wodę podgrzewać, żaba tego nie zauważy i się ugotuje. „Coś podobnego dzieje się ze światem zachodnim – coraz więcej jesteśmy w stanie zaakceptować”, stwierdziła.

Jak bardzo prawdopodobny jest konflikt z Rosją? Prezes Fundacji Praw Człowieka Garri Kasparow stwierdził, że Zachód powinien brać pod uwagę najgorsze scenariusze, a postępowanie Putina nazwał grą w pokera. Przestrzegając przed wybuchem kolejnego konfliktu zbrojnego, także z udziałem NATO. Taki konflikt może mieć trudne do przewidzenia konsekwencje dla systemu bezpieczeństwa na całym świecie. „Długotrwałe zagrożenia na wschodniej flance Europy oraz zakończenie okresu pokojowej dywidendy w Europie” dostrzegł także prezydent Bronisław Komorowski.

Wielu ekspertów było zdania, że Władimir Putin może się zdecydować na dalszą eskalację, podejmować ryzykowne działania wobec krajów członkowskich NATO w Europie Środkowo-Wschodniej, które mogą się wymknąć spod kontroli społeczności międzynarodowej. Paweł Kowal, były europosel i były wiceminister spraw zagranicznych, zwrócił uwagę, że prezydent Putin używa dziś takich samych słów, jak niedawno Władimir Żyrinowski czy Jurij Łużkow, którzy na przykład nawoływali do rozbioru Ukrainy. Większość zachodnich polityków uważa, że z Rosją należy rozmawiać i przywrócić dobre relacje. „A co, jeśli Rosja nie chce? Jeśli zaatakuje masowo wschodnią Ukrainę, to też należy z Rosją budować bezpieczeństwo?”, pytał Kowal.

W ostatnich latach w Federacji Rosyjskiej jest prowadzona zakrojona na szeroką skalę reforma armii, a siły zbrojne są modernizowane. Prof. Adam Daniel Rotfeld zwrócił uwagę na niebezpieczną sytuację, w której Moskwa jest zdolna do wytwarzania nowoczesnego uzbrojenia, podczas gdy cywilna gospodarka pozostaje zacofana. Rosja jest ekonomicznie słaba, ceny ropy naftowej spadają, zaś polityka prezydenta Władimira Putina prowadzi do bankructwa kraju. To także problem dla Zachodu, bo, jak mówił podsekretarz stanu ds. polityki globalnej i bezpieczeństwa w ministerstwie spraw zagranicznych Danii Michael Starbæk Christensen, „nikt nie chce Rosji słabej i niestabilnej”. Także prezydent Komorowski podkreślał, że „wszystkim zależy na Rosji nowoczesnej, prowadzącej interesy ze światem na uczciwych zasadach. Jednak wśród rosyjskich decydentów zapanowała logika strefy wpływów i dominacji nad innymi narodami, uważanymi za satelity – Polacy dobrze to znają”.

Borys Tarasiuk, były minister spraw zagranicznych Ukrainy, ostrzegł, że „nie ma takiej ceny, której Putin by nie zapłacił za spełnienie własnych ambicji geopolitycznych”. Jego celem jest bowiem dominacja Rosji nad obszarem poradzieckim. Taką dominację zapewnią między innymi broń atomowa, dlatego Rosjanie modernizują arsenał jądrowy, zwiększa się także rola taktycznej broni nuklearnej w rosyjskiej strategii. „Ostatnio Putin często mówi o broni nuklearnej, stosuje analogie do Chruszczowa, i to jest dla nas niebezpieczne”, ostrzega Paweł Kowal, który uważa, że należy brać pod uwagę jej użycie, aby zastraszyć przeciwnika. Tymczasem NATO znacznie zredukowało taktyczną broń jądrową.

WSPÓLNA POLITYKA

Przezwyciężenie kryzysów zagrażających bezpieczeństwu Starego Kontynentu jest możliwe tylko wtedy, gdy kra-

WIELU EKSPERTÓW BYŁO ZDANIA, ŻE WŁADIMIR PUTIN MOŻE SIĘ ZDECYDOWAĆ NA DALSZĄ ESKALACJĘ, PODEJMOWAĆ RYZYKOWNE DZIAŁANIA WOBEC KRAJÓW NATO

je Unii Europejskiej będą działać wspólnie. Podczas warszawskiego forum mówili o tym odpowiedzialni za tę dziedzinę politycy, dyplomaci i eksperci z kilku krajów Europy. „Im słabszy jest Zachód, tym silniejsza Rosja”, uważa prof. Adam Daniel Rotfeld.

Europa jest pogrążona w kryzysie. Jest potrzebna dyskusja na temat polityki bezpieczeństwa Unii Europejskiej, przede wszystkim w odniesieniu do agresywnej polityki Rosji na wschodzie naszego kontynentu oraz działań Państwa Islamskiego na południu. O ile jednak, jak zwrócił uwagę przedstawiciel duńskiego rządu Michael Christensen, motywacje Państwa Islamskiego są znane, o tyle zaangażowanie Rosji w kryzys ukraiński niesie nowe wyzwania i wprowadza nowe wątki w myśleniu strategicznym o bezpieczeństwie Unii Europejskiej. Doszło bowiem do agresji jednego państwa na drugie. „Kryzys ukraińsko-rosyjski jest poważny i może prowadzić do zniszczenia pokojowej Europy”, ostrzegł doradca do spraw bezpieczeństwa prezydenta Rumunii Iulian Fota.



W ostatnich latach w Federacji Rosyjskiej jest prowadzona zakrojona na szeroką skalę reforma armii, a siły zbrojne są modernizowane. Prof. Adam Daniel Rotfeld zwrócił uwagę na niebezpieczną sytuację, w której Moskwa jest zdolna do wytwarzania nowoczesnego uzbrojenia, podczas gdy cywilna gospodarka pozostaje zacofana.

Dyplomaci krajów południowych nie rozumieją jednak problemu Ukrainy. Niebezpieczeństwa dla Europy upatrują w narastającej fali terroryzmu, którą łączą z niestabilnością gospodarczą krajów afrykańskich, a także w masowej fali uchodźców (w 2014 roku 120 tys.). Jeśli więc kraje europejskie widzą zagrożenia dla własnego bezpieczeństwa gdzie indziej, trudno o podjęcie wspólnego działania. Sama retoryka, nawet najostrzejsza, to o wiele za mało. „Odpowiedź Zachodu na kryzys ukraiński jest dalece nieadekwatna”, stwierdził wręcz Borys Tarasiuk.

Prezydent Bronisław Komorowski podkreślał także konieczność wsparcia państw niebędących członkami Unii Europejskiej i NATO, lecz dążących do integracji z nimi (Gruzja, Mołdawia czy Ukraina), gdyż, jak mówił, „nie wolno dopuścić do próżni bezpieczeństwa w naszym bezpośrednim otoczeniu”.

W ciągu ostatnich ośmiu lat Federacja Rosyjska zwiększała wydatki obronne (dziś przeznaczają na nie 4,2% PKB), gdy tymczasem wiele krajów NATO w tym samym okresie redukowało środki przeznaczane na obronę. Prof. Andrew Michta z waszyngtońskiego Centre for Strategic and International Studies przypomniał, że cztery lata temu państwa europejskie wydawały na obronę 2,3% PKB, dziś – 1,5%. Osiem lat temu Europa stanowiła połowę potencjału militarnego NATO, dziś jej udział spadł do 20–25%. Dlaczego Europa nie jest gotowa, aby retorykę poprzeć działaniami?, pytał Michta. Dlaczego nie tworzymy strategii? Skąd rozdźwięk między tym, co robimy a tym, co mówimy? Nikt z dyskutantów nie odpowiedział na te pytania.

Bogdan Klich, były minister obrony, apelował, aby mniejsze pieniądze, jakie przeznaczamy na obronność, wydawać bardziej efektywnie. Za jedno z najważniejszych wyzwań wspólnej polityki bezpieczeństwa i obrony uznał obecność Stanów Zjednoczonych w Europie. „Sukces polityki, którą zaczęliśmy dopiero odbudowywać, jest jednym z warunków, aby Amerykanie pozostali w Europie”, podkreślił były minister.

Mówiąc o działaniach, które mają przywrócić stabilność w Europie, doradca w brytyjskim ministerstwie spraw zagranicznych Tim Dowse zaznaczył, że nie ma czysto wojskowego rozwiązania dla nowych wyzwań bezpieczeństwa na Wschodzie. „Ponowne ustanowienie trwałego bezpieczeństwa wymaga użycia elementów politycznych, dyplomatycznych oraz ekonomicznych. I tu właśnie Unia Europejska ma swoją przewagę”, zauważył. Dowse nazwał to „hybrydową odpowiedzią na hybrydową wojnę”.

CYKLICZNE FORUM

Warsaw Security Forum 2014 składało się z dwóch części – publicznej debaty oraz rozmów za zamkniętymi drzwiami w pałacu prezydenckim. Szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego Stanisław Koziej zdradził, że rozmowy te dotyczyły „uruchomienia procesu strategicznej refleksji o bezpieczeństwie”, aby na czerwcowym szczycie można było podjąć prace nad nowelizacją strategii bezpieczeństwa Unii Europejskiej. „Na podstawie rozmów prowadzonych w ostatnich miesiącach z naszymi zagranicznymi partnerami widać wyraźnie, że rośnie poczucie takiej potrzeby”, ocenił Koziej.

Na szczyt poświęcony wspólnej polityce bezpieczeństwa i obrony szefowa unijnej dyplomacji Federica Mogherini przygotowuje, w porozumieniu z krajami członkowskimi, raport o wyzwaniach, zagrożeniach i szansach stojących przed Unią. Ważne, aby nie był to dokument biurokratyczny, lecz aby w ramach prac nad nim odbyła się debata o bezpieczeństwie europejskim.

Tegoroczne Warsaw Security Forum ma dać początek cyklicznym konsultacjom w sprawach kluczowych dla bezpieczeństwa Europy. „Są już zaplanowane kolejne dwie edycje. Chcemy, aby to było wydarzenie, które wpisze się na stałe w mapę europejskich zgromadzeń poświęconych tematyce bezpieczeństwa i spraw międzynarodowych”, zdradza prezes Fundacji im. Kazimierza Pułaskiego Zbigniew Pisarski. ■

TADEUSZ WRÓBEL

Wpadka generała

Uprowadzenie w listopadzie 2014 roku przez lewicowych partyzantów generała armii kolumbijskiej zagroziło negocjacom mającym doprowadzić do zakończenia 50-letniej wojny domowej.

Po południu 16 listopada 2014 roku gen. bryg. Ruben Dario Alzate Mora i towarzyszące mu osoby zostali schwytani na terenie kolumbijskiej prowincji Chocó (nad Pacyfikiem) przez partyzantów z Rewolucyjnych Sił Zbrojnych Kolumbii – Armii Ludowej (Fuerzas Armadas Revolucionarias de Colombia – Ejército del Pueblo). W reakcji na to wydarzenie, kolumbijski prezydent Juan Manuel Santos zawiesił prowadzone od października 2012 roku rozmowy z FARC. Ich celem jest zakończenie konfliktu, w którym zginęło przez pół wieku ponad 200 tys. Kolumbijczyków. Poprzednie negocjacje między władzami w Bogocie a lewicowymi rebeliantami zostały przerwane w lutym 2002 roku. Powodem było porwanie przez nich kolumbijskiego senatora Jorge Eduuarda Gechemy Turbaya i kandydatki na urząd prezydenta Ingrid Betancourt. Politycy ci zostali uwolnieni z niewoli dopiero w 2008 roku.

PECHOWY DZIEŃ

Gen. bryg. Ruben Dario Alzate Mora dowodzi zgrupowaniem bojowym Fuerza Tarea Titan. W dniu porwania, 16 listopada, ubrany po cywilnemu, bez broni, popłynął cywilną łodzią rzeką Atrato do miejscowości Las Mercedes, oddalonej o 15 km od Quibdó, stolicy prowincji Chocó. Oficer został zatrzymany w niedzielne popołudnie przez grupę partyzantów wkrótce po tym, gdy wysiadł z łodzi. W ręce rebeliantów wpadły dwie towarzyszące mu osoby: kpr. Jorze Rodriguez Contreras i pracująca dla wojska prawniczka Gloria Urrego, koordynatorka projektu „Armia dla Chocó”.

Owa trójka została złapana przez członków FARC z 34 Frontu, należącego do Bloku Ivana Riosa. 55-letni generał stał się najwyższym stopniem jeńcem partyzantów w historii konfliktu. Zarówno on, jak i kapral, nie byli jedynymi wojskowymi, którzy w listopadzie ubiegłego roku trafili do partyzanckiej niewoli. Dwóch żołnierzy, Paulo Cesara Riverę i Jonathana Andresa Diaza, rebelianci schwytali we wschodniej prowincji Arauca. Przedstawiciele FARC utrzymują, że mają prawo do takich działań, ponieważ rząd Kolumbii nie chce zgodzić się na zawieszenie broni i nieustannie prowadzi operacje militarne przeciwko ich organizacji. Władze bowiem uważają, że partyzanci wykorzystują rozejm, by dobroić się i przegrupować.

Po uprowadzeniu gen. Alzate i towarzyszących mu osób armia kolumbijska rozpoczęła wielką operację poszukiwań. Jednocześnie zaofertowano 100 mln peso (46 tys. dolarów) nagrody za informacje, które miały pomóc oswobodzić jeńców. Woj-

sko starało się jednak działać ostrożnie, by rebelianci nie zrobili krzywdy porwanym. Władze w Bogocie rozpoczęły też negocjacje z FARC, mające doprowadzić do uwolnienia generała i czterech innych osób. 19 listopada 2014 roku w Hawanie osiągnięto porozumienie w tej sprawie, jednak szczegółów nie ujawniono.

Prezydent Santos poinformował w sobotę 22 listopada 2014 roku, że cała piątka odzyska wolność w następnym tygodniu. Wkrótce jednak pojawiły się problemy. FARC ogłosił, że ze względu na wielką aktywność sił bezpieczeństwa w Chocó przekazanie jeńców przedstawicielom Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża może być utrudnione lub całkowicie niemożliwe. Ostatecznie partyzanci uwolnili 25 listopada dwóch żołnierzy złapanych w Arauca i obiecali, że pozostałe trzy osoby odzyskają wolność do końca tygodnia. W zamian prezydent Santos rozkazał wstrzymać operacje militarne w rejonie wybrzeża Pacyfiku. Partyzanci dotrzymali słowa. Generał, prawniczka i kapral zostali przekazani przedstawicielom MKCK 30 listopada. Po uwolnieniu przewieziono ich do bazy wojskowej w Medellín.

Jeszcze przed szczęśliwym zakończeniem tej historii w kolumbijskich mediach pojawiły się pytania, dlaczego generał wybrał się w szortach, bez zbrojnej eskorty w głąb terenu, na którym są bardzo aktywni lewicowi partyzanci. Czy eskapada odbyła się z jego własnej inicjatywy? Czy też ktoś wydał mu rozkaz? Niektórzy wątpią, by Alzate zdecydował się na taką eskapadę bez co najmniej konsultacji z przełożonymi. Tymczasem generał wyjaśnił po uwolnieniu, że przed wyruszeniem do Las Mercedes zasięgnął informacji o sytuacji w tym rejonie od swych podwładnych. Oficer jednak przyznał, że nie postąpił w pełni zgodnie z procedurami bezpieczeństwa, czym doprowadził do kryzysu politycznego. Dlatego następnego dnia po uwolnieniu postanowił zrezygnować ze stanowiska dowódcy Fuerza Tarea Titan i przejść na emeryturę. Prezydent Santos przyjął jego rezygnację.

PLAN POKOJU

Schwytanie generała przez FARC mogło mieć katastrofalne konsekwencje dla politycznej próby zakończenia wojny, która wyczerpuje Kolumbię od pół wieku. Temu mają służyć rozpoczęte ponad dwa lata temu rozmowy pokojowe między kolumbijskimi władzami a FARC. Jedni i drudzy stawiają warunki, od których uzależniają zawarcie pokoju.



Po uwolnieniu z rąk FARC gen. Alzate (pierwszy z prawej) i dwójka jego towarzyszy spotkali się z ministrem obrony Kolumbii.



MINISTERIO DE DEFENSA COLOMBIA



SIŁY POŁĄCZONE

Połączona Grupa Zadaniowa „Titan” (Fuerza de Tarea Conjunta Titan) została formalnie aktywowana 9 stycznia 2014 roku. W uroczystości w Quibdó, stolicy stanu Chocó, wzięli udział prezydent Kolumbii Juan Manuel Santos i minister obrony Juan Carlos Pinzon.

Siły te mają zlikwidować grupy rebelianckie oraz gangi przestępcze na terenie prowincji Chocó i części prowincji Antioquia. Wojsko będzie zwalczać handel narkotykami, nielegalne wydobycie bogactw naturalnych, przeciwdziałać porwanom dla okupu i wymuszeniom. Zgrupowanie to liczy około 2,5 tys. żołnierzy. Trzonem FTC Titan są 15 Brygada Selwy (wyspecjalizowana do działań w lasach deszczowych) z 7 Dywizji, trzy bataliony bojowe 38 Brygady Mobilnej, a także batalion śmigłowców z 25 Brygady Lotnictwa Wojsk Lądowych. Do zgrupowania włączono też 56 Batalion Selwy z XVII Brygady i 16 Batalion Rzeczny Piechoty Morskiej oraz pododdział artylerii. Titan może też liczyć na wsparcie 5 Dowództwa Lotnictwa Bojowego Sił Powietrznych, które dysponuje śmigłowcami Blackhawk, w tym ich lokalną wersją szturmową.

moobrony. Niemniej jednak nawet jedna czwarta objętych programem ACR powróciła na drogę przestępczą, dołączając do gangów. To łańcuch różnych okoliczności, który bezpośrednio łączy się z problemami z likwidacją narkobiznesu. Ta sprawa jest też tematem hawańskich negocjacji, bo produkcja i przemyt kokainy są jednymi z głównych źródeł dochodów organizacji rebelianckich. Partyzanci zarabiają również na nielegalnym wydobyciu złota.

Byli partyzanci nadal mogą być aktywni politycznie w ramach partii, które utworzą po zawarciu porozumienia pokojowego. Następną kwestią omawianą podczas negocjacji w Hawanie jest reforma rolna. Niezwykle ważną sprawą są zbrodnie i łamanie praw człowieka, których dopuściły się obie strony w trakcie trwającego od pół wieku konfliktu. Co zrobić z ich sprawcami? I co z ofiarami? Ważne jest też, w jaki sposób ma być wdrażane porozumienie pokojowe, jeśli do niego dojdzie.

Z drugiej strony, nasilające się w ostatnich miesiącach ataki lewicowych partyzantów wywołały podejrzenia, że rozmowy pokojowe są dla nich tylko zasłoną dymną dla zyskania czasu na odbudowę uszczuplonych w ostatnich latach szeregów bojowników, przegrupowanie sił i opracowanie nowej strategii wojny. Prawicowi politycy w Kolumbii uważają, że zamiast negocjacji należy starać się zniszczyć FARC środkami militarnymi. Ci zaś sądzą, że nadal mogą prowadzić walkę, gdyż władze nie akceptują dwustronnego rozejmu. ■

Strona rządowa między innymi domaga się rozbrojenia organizacji partyzanckich i integracji ich bojowników ze społeczeństwem. Liczebność FARC szacuje się na około 8 tys. aktywnych partyzantów i następne 10 tys. osób ich wspierających. Druga co do wielkości lewicowa partyzantka w Kolumbii, Narodowa Armia Wyzwoleńcza (ELN), ma prawdopodobnie tylko 1500–2000 bojowników. Kolumbijska Agencja do spraw Reintegracji (ACR) pomogła w ostatnich dziesięciu latach powrócić do normalnego życia już ponad 50 tys. członków zarówno lewicowych oddziałów partyzanckich, jak i prawicowych grup paramilitarnych, znanych jako Zjednoczone Siły Sa-



U S D O D

GRZEGORZ GIELERAK

Eskulap w mundurze

Jaką rolę w państwach NATO odgrywają duże, wieloprofilowe szpitale wojskowe?

Szpital na Szaserów to unikatowa placówka na medycznej mapie Polski. Służy wszystkim, ale dla wojska jest szczególnie ważna”, powiedział wicepremier, minister obrony narodowej Tomasz Siemoniak w trakcie uroczystości zorganizowanych z okazji 50-lecia Wojskowego Instytutu Medycznego. Słowa te są powodem do satysfakcji, ale stały się jednocześnie pretekstem, aby sprawdzić, jaką rolę w państwach NATO odgrywają duże, wieloprofilowe szpitale wojskowe. Takie jak WIM.

AMERYKAŃSKIE STANDARDY

Sojusz północnoatlantycki nie narzuca szczegółowych zasad dotyczących struktury i wielkości wojskowych służb medycznych. To odpowiedzialność narodowa. NATO jest zainteresowane wyłącznie tym, aby poszczególne kraje były w stanie zapewnić opiekę medyczną nad swoimi żołnierzami.

Podstawowym dokumentem w tej dziedzinie jest dyrektywa AJP-4.10 (A), opisująca zasady zabezpieczenia medycznego operacji sojuszu. Wśród wielu innych definicji znajdziemy tam informacje o szpitalach takich jak WIM: „Placówki medyczne poziomu 4 zabezpieczają pełne spektrum opieki medycznej, które nie może być rozwinięte na teatrze działań lub jest zbyt czasochłonne, aby było realizowane w warunkach operacji. Poziom 4 obejmuje procedury ostatecznego specjalistycznego leczenia chirurgicznego, jak i zachowawczego, chirurgię odtwórczą i rehabilitację. Opieka ta jest wysoce specjalistyczna i zapewniana w kraju pochodzenia poszkodowanego lub w państwie sojuszniczym”.

Nasi sojusznicy w różny sposób rozwiązali problem stacjonarnego leczenia swoich żołnierzy. W USA funkcjonuje odrębny wojskowy system ochrony zdrowia (Military Health System), którego główną częścią jest TRICARE – program ubezpieczeń zdrowotnych dla wojskowych i ich rodzin. Szpitale w większości podlegają poszczególnym rodzajom sił zbrojnych, a najwięcej jest ich w wojskach lądowych (US Army). Warto przy okazji zwrócić uwagę na wzrost nakładów

na opiekę zdrowotną. W 2001 roku wydano na nią 19 mld dolarów, a dekadę później – już 53 mld dolarów. Od kilku lat Amerykanie myślą też o integracji służb medycznych. Napotyka to jednak spory opór w poszczególnych rodzajach sił zbrojnych.

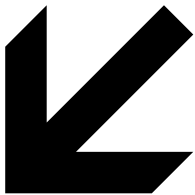
Najważniejszy szpital wojskowy Amerykanów to Walter Reed National Military Medical Center (Narodowe Centrum Medyczne). Wcześniej był to wiodący podmiot leczniczy US Army, a niedawno został połączony ze szpitalem marynarki wojennej. Po integracji placówkę przeniesiono w pobliże Uniwersytetu Medycznego Połączonych Sił (główniej uczelni wojskowo-medycznej USA). W ten sposób, zatrudniające 7,5 tys. ludzi, Narodowe Centrum Medyczne stało się ośrodkiem wykonującym pełne spektrum zadań leczniczych, miejscem kształcenia kadry medycznej oraz ośrodkiem naukowo-badawczym i profilaktycznym. Szczególnie wrażliwe robi tam najnowszy obiekt, zaprojektowany do rehabilitacji psychologicznej poszkodowanych w misjach.

Pacjenci Walter Reed to nie tylko żołnierze i ich rodziny. To również chorzy z innych służb mundurowych, agend rządów federalnego USA. Tamtejsi specjaliści opiekują się także amerykańskimi VIP-ami. Tam leczą się na przykład prezydenci Stanów Zjednoczonych.

SYSTEM NIEMIECKI

Połączona Służba Medyczno-Sanitarna Bundeswehry jest odrębnym rodzajem sił zbrojnych. Dysponuje między innymi pięcioma szpitalami stacjonarnymi, Akademią Medyczno-Sanitarną wraz z kilkoma instytutami badawczymi. Wiodącą placówką jest wieloprofilowy, 500-lóżkowy Centralny Szpital Wojskowy w Koblencku. 800 z jego 1500 pracowników to wojskowi.

W niemieckich szpitalach wojskowych większość, bo około 70%, pacjentów to cywile. Koszty ich leczenia pokrywają władze lokalne poszczególnych landów oraz kasy chorych. Od kilku lat część środków pozyskanych dzięki świadczeniu usług dla cywilów pozostaje w szpitalach. To był postulat dowództwa Połączonej



PACJENCI WALTER REED NATIONAL MILITARY MEDICAL CENTER to nie tylko żołnierze i ich rodziny. To również chorzy z innych służb mundurowych, agend rządów federalnego USA.

W USA FUNKCJONUJE ODREBNY WOJSKOWY SYSTEM OCHRONY ZDROWIA (MILITARY HEALTH SYSTEM)

Służby Medyczno-Sanitarnej, który miał motywować do optymalnego zarządzania placówkami medycznymi. Co ciekawe, ta zasada została wprowadzona na podstawie analizy funkcjonowania podmiotów leczniczych polskiego Ministerstwa Obrony Narodowej. Jednocześnie w Niemczech uznano, że obowiązująca w naszym wojsku formuła samodzielnych podmiotów opieki zdrowotnej to rozwiązanie zbyt daleko idące, które nie służy integracji stacjonarnego i polowego potencjału służby zdrowia.

FRANCUSKIE OGNIWO

W odróżnieniu od Niemiec, służba medyczno-sanitarna francuskiej armii nie jest rodzajem sił zbrojnych, ale ma status odrębnego rodzaju służby. Medycy mają własne umundurowanie i stopnie wojskowe. Nad Sekwaną już od dawna na wojskową służbę zdrowia patrzy się w sposób ponadresortowy. Z powodu przekazywania wiedzy i umiejętności związanych z olbrzymimi doświadczeniami z niesienia pomocy ofiarom strefy wojny, francuscy medycy wojskowi tworzą ważne ogniwo w systemie bezpieczeństwa państwa.

Najważniejszym z dziesięciu szpitali wojskowych jest paryski Val de Grace, będący jednocześnie miejscem kształcenia lekarzy wojskowych oraz prowadzenia prac naukowo-badawczych. Większość pacjentów placówek wojskowych stanowią cywile, dlatego znaczna część budżetu tych szpitali pochodzi z kontraktów z instytucjami ubezpieczenia zdrowotnego. Pozostała – ze środków przeznaczonych na obronność. Warto zaznaczyć, że w Val de Grace, oprócz krajowych, leczeni są także pacjenci o statusie VIP z państw, z którymi Francję łączą kluczowe interesy.

TENDENCJE W EUROPIE ŚRODKOWEJ

Zaspokojenie potrzeb 25-tysięcznej armii Czech gwarantują trzy szpitale wojskowe. Ich finansowanie odbywa się w systemie mieszanym. Około 70% budżetu pochodzi z kontraktów z instytucjami ubezpieczenia zdrowotnego, a pozostała część zapewnia ministerstwo obrony. Najważniejszym szpitalem jest 700-lóżkowy Centralny Wojskowy Szpital Kliniczny w Pradze. Ma status uniwersytetu, kształci się tam kadre oraz prowadzi działalność naukowo-badawczą. Do ważnych zadań tego szpitala należy opieka nad weteranami wojennymi oraz – co jest standardem u naszych sojuszników – nad najważniejszymi osobami w państwie.

Liczące 30 tys. siły zbrojne Węgier mają z kolei kilka własnych szpitali. W Budapeszcie postanowiono pełniej wyko-

rzystać potencjał wojskowej służby zdrowia na potrzeby bezpieczeństwa zdrowotnego kraju. To ponadresortowe spojrzenie stało się podstawą decyzji o połączeniu Centralnego Szpitala Wojskowego z jego odpowiednikiem w resorcie spraw wewnętrznych oraz wiodącym szpitalem kolei państwowych. W ten sposób utworzono Centrum Medyczne Sił Zbrojnych Węgier – Narodowe Centrum Zdrowia. Placówka podlega bezpośrednio ministerstwu obrony. Zadania tego szpitala to leczenie między innymi żołnierzy i funkcjonariuszy oraz węgierskich VIP-ów. Szpital pełni też funkcję centrum urazowego regionu Peszt, prowadzi się w nim prace badawcze i rozwojowe oraz kształci medyków.

Na tych kilku przykładach widać tendencje dotyczące najważniejszych szpitali wojskowych w różnych państwach NATO. To zawsze duże, wieloprofilowe placówki medyczne, prowadzące kształcenie i prace badawczo-naukowe. Coraz większą wagę przykładają się u sojuszników do ponadresortowości, która pozwala lecznictwu cywilnemu skorzystać ze specyficznych doświadczeń wojskowej służby zdrowia. Co niezwykle prestiżowe dla medyków w mundurach – pod opieką specjalistów z centralnych szpitali zwykle pozostają najważniejsze osoby w państwie.

Jak w tę układankę wpasowuje się Wojskowy Instytut Medyczny? Podobnie jak w innych państwach, jesteśmy wiodącą placówką wojskowej służby zdrowia, mającą największy w Wojsku Polskim potencjał kliniczny i naukowo-dydaktyczny. Jesteśmy jedyną jednostką, która w ostatnich latach wykształciła samodzielnych pracowników nauki w mundurach.

Podobnie jak w wypadku Węgier, stworzyliśmy Centrum Urazowe – do tego największe w Polsce. Jesteśmy finansowani w systemie mieszanym, czyli podobnie jak placówki w innych państwach. Od kilku lat jesteśmy też liderem w służbie zdrowia Wojska Polskiego, jeśli chodzi o działania związane z przekazywaniem doświadczeń wojskowych do cywilnej służby zdrowia.

Tak więc wypowiedź wicepremiera Tomasza Siemoniaka na temat roli WIM jest nie tylko miłym gestem w stosunku do pracowników szpitala przy ul. Szaserów. Pod podobnym stwierdzeniem mogłyby się podpisać każdy minister obrony na bieżąco analizujący trendy w wojskowych służbach zdrowia najaktywniejszych państw sojuszu północnoatlantyckiego. ■

GEN. BRYG. GRZEGORZ GIELERAK JEST
DYREKTOREM WOJSKOWEGO INSTYTUTU
MEDYCZNEGO.



WIKTOR
BATER

Niech ryczy z bólu ranny łos

**CENY ROPY
I ZACHODNIE SANKCJE
SPYCHAJĄ ROSJĘ NA
KRAWĘDZ
BANKRUCTWA. ALE
PUTIN WCIĄŻ SILNY.**



Tak źle w Rosji nie było nawet w 1998 roku, kiedy państwo pogrążyło się w największym w historii kryzysie finansowym. O ile wówczas władze otwarcie mówiły o zagrożeniach, o tyle teraz robią wszystko, by uspokoić atmosferę. Pierwsze pogłoski o dymisji rządu Dmitrija Miedwediewa gaszone są natychmiast przez kremlowskich emisariuszy. Władimir Putin po mistrzowsku przerzuca odpowiedzialność za kryzys na Zachód: to Waszyngton sprowokował zajścia na Majdanie, a w konsekwencji aneksję Krymu i wojnę na wschodzie Ukrainy, to Stany Zjednoczone stoją za spadkiem cen ropy naftowej, to Zachód swoimi niesprawiedliwymi sankcjami rujnuje rosyjską gospodarkę. Chociaż z tym rujnowaniem to już nie do końca takie pewne: rodzimi ekonomiści stawiają bowiem tezę, że trudności uaktywnią rynek wewnętrzny. Walutowe zapasy i rezerwy złota pozwolą Rosji przetrwać najbliższe dwa, trzy lata. Ale dla globalnej polityki niebezpieczeństwo jest realne: nie od dziś wiadomo, że uwagę od prawdziwych problemów najlepiej odwraca zewnętrzne zagrożenie. Ranny łos bywa bardziej niebezpieczny, niż łos zadbany i szczęśliwy. A Putinowi jest potrzebne odwrócenie uwagi, tym bardziej że w społeczeństwie narastają tendencje spekulacyjne. Zapoczątkował je naftowy monopolista „Rosnieft”, gdy wyrzucił na rynek obligacje o wartości 625 mld rubli i zamienił je natychmiast na walutę. W ślad za tym poszli drobni spekulanci – skupili w bankach i kantorach walutę. W tej sytuacji trudno się dziwić, że kurs rubla i akcji na moskiewskiej giełdzie walutowej spada szybciej niż zdąży się powiedzieć „Władimir Władimirowicz” – próbują żartować mieszkańcy Moskwy w kolejkach do kantorów.

Putina stopniowo jednak zaczynają opuszczać oligarchowie, traktowani dotychczas przez niego jako osobiste skarbonki. Dlatego, aby nie skończyć jak Rasputin, rosyjski przywódca rzuca do boju na tak zwanym froncie zewnętrznym nową broń: myśliwce i bombowce w powietrznej przestrzeni międzynarodowej, między innymi nad Bałtykiem. „Strzał” okazuje się celny: kryzys kryzysem, ale ranny łos, walcząc o przeżycie, może spowodować nieodwracalne straty. Od kilku tygodni natowskie dowództwo odnotowuje więc wmożoną aktywność rosyjskiego lotnictwa w pobliżu granic Polski, Szwecji, Norwegii, Danii, Niemiec. Rosjanie – jak przekonują nasi eksperci – chcą w ten sposób namierzyć punkty dyslokacji zachodnich baz radarowych i zmusić je swoją obecnością w powietrzu do aktywności. Wieje grozą. I o to Putinowi chodziło. Zachodnie komentarze go nie zawiodły: to już gorsze niż zimna wojna, a zagrożone są nawet samoloty pasażerskie: to, co się wydarzyło w lipcu nad Donieckiem, okaże się tylko przygrzywką. I to Putin ponosi za wszystko odpowiedzialność – a skoro tak, naród stanie za nim murem. Taka rosyjska mentalność. Dlatego w Moskwie ludzie są coraz bardziej wściekli. Ale nie na Władimira Władimirowicza, lecz na USA i Unię Europejską. Rosyjska propaganda tylko na to czeka: runąć plany budowy tarczy antyrakietowej, dlatego natowscy generałowie postanowili „przesunąć” granice sojuszu atlantyckiego jeszcze bardziej na Wschód, na Ukrainę. Nie udało się w 2008 roku w Gruzji, miało udać się teraz, ale Amerykanie po raz kolejny się przeliczyli – tłumaczą wojnę na Ukrainie rosyjscy propagandyści. Putin ubiegł wszystkich. Zajął Krym, a tym samym nie dopuścił do rozmieszczenia amerykańskiej armady wojennej na Morzu Czarnym. Tyle że to właśnie Putinowi najbardziej zależało na Krymie. Okazał się szybszy w działaniu i to on teraz rozmieszcza na półwyspie swoje główce jądrowe. Już są tam bombowce strategiczne Tu-22M3, uzbrojone w rakiety średniego zasięgu X-15 i X-22, które mogą przenosić ładunki zarówno konwencjonalne, jak i nuklearne.

Dla Rosjan Putin wciąż jest bohaterem, a Zachód przyczyną wszystkich trudności. I dlatego chcą się mścić – niekoniecznie przy użyciu głowic jądrowych. W pierwszej kolejności zemsta osiągnie właścicieli alpejskich kurortów narciarskich, a także hotelarzy w Zakopanem. Agonia rosyjskiego łosia trochę jeszcze potrwa. O ile w ogóle będzie to agonia. ■

wojny i pokoje



|XX WIEK|

PIOTR KORCZYŃSKI

Z SYBERII DO POLSKI

Kulisy marszu lodowego V Dywizji Strzelców Polskich.



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



K

rwawe klęski armii rosyjskiej na frontach wielkiej wojny i wybuch następujących po sobie rewolucji – lutowej i bolszewickiej w 1917 roku – pogrzyły carską Rosję w chaosie i wojnie domowej. Olbrzymie przestrzenie imperium stały się areną walk między białymi a czerwonymi armiami rosyjskimi i oddziałami narodów, które chciały się wyzwolić spod władzy zarówno carskiej, jak i bolszewickiej.

Jednym z symboli tej batalii stał się pociąg pancerny. Na olbrzymich, skutych „wiecznym” mrozem, syberyjskich pustkowiach mknęły pancerniki najeżone lufami dział i karabinów maszynowych, by szyb-

kim manewrem osaczyć i zniszczyć przeciwnika. W tej „wojnie o tory” brały też udział pociągi pancerne o swojsko brzmiących nazwach: Warszawa, Kraków, Poznań i Poznań II. Należały do V Dywizji Strzelców Polskich i ich głównym zadaniem było torowanie drogi pociągom z Polakami, pragnącymi wrócić z Syberii do odrodzonej ojczyzny.

Załamaniem się samodzierżawia i wybuch wojny domowej zaktywizowały Polaków w Rosji do tworzenia organizacji politycznych, przede wszystkim wojskowych. Początkowo miały one pełnić funkcję samoobrony przed okrucieństwami zarówno wojsk bolszewików, jak i białych generałów. W następnej kolejności włączyły się w odzyskiwanie przez Polskę niepodległości. I tak 23 czerwca 1918 roku w Samarze został utworzony Polski Komitet Rewolucyjny do Walki o Wolność i Zjednoczenie Polski. Jednocześnie w Omsku zaczął działać Tymczasowy Polski Komitet Wojenny. W Irkucku powstała Polska Liga Wojenna Walki Czynnej, która przystąpiła do organizacji oddziałów zbrojnych. W drugiej połowie lipca 1918 roku, na zjeździe w Czelabińsku, powołano Polski Komitet Wojenny, obejmujący swą działalnością całą Rosję. W 1919 roku powstały pierwsze delegatury Polskiego Komitetu Wojennego na Syberii, między innymi w Irkucku, Omsku, Nowonikołajewsku, Krasnojarsku i Tomsku. Jednocześnie w tych miejscowościach formowały się mniejsze lub większe polskie oddziały zbrojne.

W grudniu 1918 roku na Syberię przybyła francuska misja wojskowa z gen. Maurice Janinem na czele, który objął funkcję dowódcy sił alianckich na Syberii (1918–1919). Oddziały polskie zostały podporządkowane operacyjnie dowództwu francuskiemu i nastąpiła ich konsolidacja. W styczniu 1919 roku liczebność polskich sił szacowano na 8 tys. ludzi i zapadła decyzja o utworzeniu z nich dywizji. Ze względu na istnienie we Francji trzech polskich dywizji, a czwartej gen. Lucjana Żeligowskiego na Kubaniu, Dywizja Syberyjska otrzymała numer V i oficjalną nazwę Dywizji Strzelców Polskich.

W lutym 1919 roku dotarła na Syberię Polska Misja Wojskowa wysłana przez gen. Józefa Halle-



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (3)

ra, której szefem został mianowany mjr Jarosław Okulicz-Kozaryn. Rozlokowała się w Omsku przy sztabie gen. Janina. Dowódcą zespolonych oddziałów polskich został oficer II Brygady Legionów, który pod Rarańczą przedostał się do Rosji, płk Walerian Czuma. Z pełnomocnictwem od gen. Hallera dotarł nad Wołgę z dwoma innymi oficerami: kpt. Romualdem Wolikowskim i por. legionów Edwardem Dojanem-Surówką. Niebawem dołączył do nich jeszcze jeden oficer II Brygady, mjr Jan Skorobohaty-Jakubowski, z grupą legionistów. W maju 1919 roku ogłoszono zakończenie formowania V Dywizji, której stan osiągnął blisko 12 tys. żołnierzy.

ROGATE DIABŁY

V Dywizja Strzelców Polskich składała się z czterech pułków piechoty, pułku kawalerii, pułku artylerii, brygady inżynieryjnej i batalionu szturmowego. Konsolidacja polskich oddziałów na Syberii nie była prosta. W ich szeregach znaleźli się ludzie o bardzo różnych aspiracjach i świadomości. Jeńcy z armii państw centralnych chcieli na przykład jak najszybciej wrócić do kraju, chłopiosadnicy pragnęli natomiast nadal mieszkać w guberniach syberyjskich, a do Wojska Polskiego wstępowali z nadzieją, że przywróci ono wraz z białymi armiami stary porządek w Rosji.

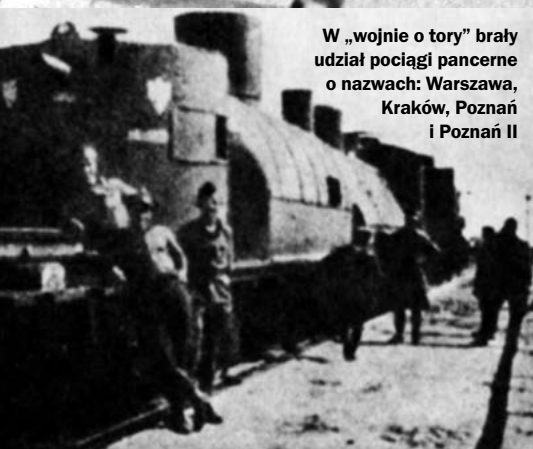
Już sama musztra nastęrczała wielu problemów: „Bywało, że gdy padła komenda: »Na ramię



Walerian Czuma od sierpnia 1918 roku organizował V Dywizję Strzelców Polskich, a następnie został dowódcą Wojsk Polskich we Wschodniej Rosji

PO WOJNIE TRADYCJE BRYGADY PIECHOTY PRZEJEŁA 30 DYWIZJA PIECHOTY

Odwrot polskich oddziałów wojskowych z Syberii, 1919 rok



W „wojnie o tory” brały udział pociągi pancerne o nazwach: Warszawa, Kraków, Poznań i Poznań II



broń!«, jedni wykonywali ją po austriacku na cztery tempa, inni po rosyjsku na dwa, po czym jedni kładli broń na barki, inni zawieszali ją na rzemieniach; gorzej jeszcze działo się przy zwrotach w tył, w prawo lub lewo, bo wtedy już powstawał zupełny zamęt”. Zarządził temu dopiero regulamin wprowadzony przez oficerów legionowych, oparty na musztrze II Brygady. Nie udało się tylko do końca ujednoczyć umundurowania dywizji, na które składały się mundury ze wszystkich frontów wielkiej wojny – „były nawet kapoty ukraińskie, podobno obstalowane niegdyś dla rewolucyjnego batalionu kobiecego”.

Na plus, tak w wyszkoleniu, jak i w umundurowaniu, wyróżniał się na tle innych oddziałów dywizji tak zwany batalion szturmaków. Był on między innymi wyposażony w niespotykane w innych armiach na Syberii stalowe hełmy. Szturmakami byli przede wszystkim żołnierze I i II Brygady Legionów, a od

nazwiska swego dowódcy – kpt. Jana Edwarda Dojana-Surówki – nazywano ich dojanami. Podobno rosyjska ludność Syberii, widząc dowody szalonego męstwa tych żołnierzy, mawiała: „Polacy to prawdziwe rogate diabły, ale te »Dojany« to naród jeszcze straszniejszy od Polaków”.

MIEDZY MŁOTEM A KOWADŁEM

Największym problemem dla polskiego wojska na Syberii była jednak skomplikowana sytuacja militarna i polityczna, jaka się wytworzyła na wschodzie Rosji. Z zachodu coraz mocniej nacierała Armia Czerwona wspomagana na miejscu przez liczne bolszewickie oddziały partyzanckie. Wobec tego głównodowodzący białych na Syberii i szef rządu w Omsku adm. Aleksander Wasiliewicz Kołczak starał się nakłonić Dowództwo Wojsk Polskich we Wschodniej Rosji, by wysłało



V Dywizję na front przeciwko siłom bolszewickim. Problemem dla Polaków były jednak poglądy Kołczaka i jego sztabu, którzy dążyli do przywrócenia samodzielnemu cesarstwu rosyjskiemu, w tym Kongresówce i Ziemi Zabranym. Dramat tej sytuacji dopełniał wybuch konfliktu polsko-bolszewickiego – w takim wypadku dywizja nie mogła zejść z frontu.

Mimo tego, wobec coraz większego zagrożenia bolszewickiego, do walki wysłano część dywizji. W ogniu walki z bolszewikami znalazł się 1 Pułk Piechoty im. Tadeusza Kościuszki ze szwadronem ułanów i baterią armat. W tym czasie część kadry oficerskiej i podoficerskiej stanęła na czele partyzanckich oddziałów baszkirskich, które starały się wywalczyć niepodległość. Wobec kołczakowskich deklaracji i coraz dotkliwszych rekwizycji żywności w syberyjskich miejscowościach ich drogi szybko się rozeszły.

Tymczasem 1 Pułk na przełomie 1918 i 1919 roku okrył się sławą w potyczkach z bolszewikami na froncie bugulmińskim, między innymi w krwawych bitwach pod Bajrakami, Konstantynówką i Znamienskoje. Armia Czerwona nieprzerwanie jednak parła na wschód, a coraz bardziej zdeorganizowane oddziały adm. Kołczaka wpuściły bolszewików na tyły Polaków.

Gabinety rządu omskiego Kołczaka co chwilę się zmieniały, a każdy następny był bardziej „reakcyjny” i skorumpowany od poprzedniego. Prowadziło to do wybuchu kolejnych powstań zbrojnych na ziemiach kontrolowanych przez białych. Wreszcie sam admirał dostał się w ręce czerwonoarmistów i 7 lutego 1920 roku został rozstrzelany w Irkucku. Żołnierze 1 Pułku pozostawali na froncie aż do kwietnia 1919 roku i dopiero po zdobyciu przez bolszewików Ufy i cofnięciu się armii białych w głąb gór uralskich, połączyli się z pozostałymi oddziałami V Dywizji, stacjonującymi w Nowonikołajewsku.

We wrześniu 1919 roku do Dowództwa Wojsk Polskich we Wschodniej Rosji dotarły długo oczekiwane depesze od gen. Józefa Hallera oraz marsz. Józefa Piłsudskiego, zapewniające o opiece rządu polskiego i obiecujące wyjazd przez Daleki Wschód do kraju. Jednocześnie, pod naciskiem wszystkich dowódców wojsk sprzymierzonych, gen. Janin wydał rozkaz o ewakuacji na wschód, wyznaczając V Dywizję Strzelców Polskich na straż tylną, która miała się posuwać za jednostkami Legionu Czesosłowackiego.

MARSZ ŁODOWY

Rozkaz zorganizowania ariergardy wojsk alianckich otrzymał płk Kazimierz Rumsza, były oficer armii carskiej, który w grudniu 1917 roku został dowódcą batalionu 1 Dywizji Strzelców Polskich I Korpusu w Rosji, a w styczniu 1919 roku objął dowództwo V Dywizji (jej dotychczasowy dowódca płk Czuma został dowódcą Wojsk Polskich we Wschodniej Rosji). Płk Rumsza zdobył na potrzeby ewakuacji dywizji 60 pociągów wraz z odpowiednią liczbą lokomotyw i oddał do ich ubezpieczenia trzy pociągi pancerne: Warszawę, Kraków i Poznań.

Mimo sprawnego, jak na te warunki, organizacji ewakuacji sił polskich z Nowonikołajewsk, popełniono kilka poważnych

błędów, które zaważyły w trakcie dramatycznego „marszu lodowego” V Dywizji. Przede wszystkim dowództwo nie wysłało przodem rodzin żołnierzy, aby szybciej dotarły na Daleki Wschód, lecz pozwoliło im jechać razem z żołnierzami, co znacznie obniżyło ich sprawność bojową (bolszewicy nazwali polskie pociągi wagonami uchodźców). Ponadto w ostatnich eszelonach straży tylnej nie było kawalerii, która w razie starcia lub odwrotu mogłaby szybko wsiąść na konie i podjąć walkę lub uciec.

Gdy polska dywizja rozpoczęła 26 listopada 1919 roku ewakuację, wojska sojusznicze znajdowały się już na wschodniej Syberii, a formacje narodowe (czeskie, łotewskie, rumuńskie i serbsko-chorwackie) były w drodze na tamte tereny. Ostatnie polskie pociągi ze strażą tylną wyruszyły z Nowonikołajewsk dopiero 12 grudnia 1919 roku. Od samego początku polskie transporty napotykały olbrzymie trudności, spowodowane zapchaniami jednotorowej linii Kolei Transsyberyjskiej przez ogromną liczbę pociągów. Tworzyły się kilkudziesięciokilometrowe korki przed semaforami, gdzie lokomotywy zamarzały w temperaturze dochodzącej do -40°. Brakowało wody do lokomotyw, którą zastępowano topionym śniegiem, i węgla (parowozы opalane drewnem szybko się psuły). Często odnotowywano uszkodzenia zwrotnic, o co podejrzewano dywersantów bolszewickich.

Na to wszystko nakładały się jeszcze problemy z Czechosłowakami, którzy niezbyt się spieszyli ze swą ewakuacją, chociaż wiedzieli, że mają za sobą jeszcze oddziały polskie.

Średnio na dobę udostępniali oni Polakom 20 km linii kolejowej. Armia Czerwona z kolei wraz ze swymi partyzantami posuwała się około 40 km na dobę. Prędzej czy później musiało dojść do starcia bolszewików z polską strażą tylną. Zgodnie z rozkazami gen. Janina V Dywizja miała między innymi ubezpieczać linie kolejowe między innymi stacjami Nowonikołajewsk – Tajga. I w rejonie tej ostatniej doszło do nieuchronnego starcia Polaków z nacierającymi bolszewikami.

ROSYJSKI WALEC

Był to największy i najkrwawszy bój, jaki stoczyła V Dywizja Strzelców Polskich z oddziałami Armii Czerwonej. Zanim jednak do niego doszło, 20 grudnia straż tylna płk. Rum-szy została mocno osłabiona przez nieprzyjacielską artylerię, której udało się zniszczyć lokomotywę i uszkodzić działą pancernika Poznań. Spowodowało to utratę kilku pociągów, które za nim podążały. Jednocześnie pozbawieni osłony pancernika żołnierze, nie mieli chwili wytchnienia i musieli walczyć w 40-stopniowym mrozie, by połączyć się ze swymi towarzyszami w Tajdze.

Gdy wreszcie 23 grudnia do niej dotarli, okazało się, że bój o stację kolejową już trwa. Polacy karabinami maszynowymi zmiotali całe szeregi nacierających czerwonoarmistów, ale ci, zgodnie z tradycją „rosyjskiego walca”, wciąż atakowali. Wydawało się, że sytuacja jest już beznadziejna, gdy nagle na pomoc strzelcom przybył pancernik Poznań II. Okazało się, że załoga rozbitego Poznania zajęła po dezercerujących kołczakowcach pociąg pancerny Zabijaka i otworzyła ogień z wszystkich jego baterii do wroga. Zadano wtedy Armii Czerwonej tak

**POLACY
KARABINAMI
MASZYNOWYMI
ZMIOTALI CAŁE
SZEREGI
NACIERAJĄCYCH
BOLSZEWIKÓW,
ALE CI, ZGODNIE
Z TRADYCJĄ
„ROSYJSKIEGO
WALCA”, WCIĄŻ
ATAKOWALI**



NAJBARDZIEJ POLSKA ZIEMIA

Syberia często była określana „najbardziej polską ziemią” po dzielnicach II Rzeczypospolitej wcielonych do Rosji po ostatnim rozbiore w 1794 roku. W przeddzień rewolucji bolszewickiej na Syberii żyło od 300 do 500 tys. Polaków. Byli to przede wszystkim potomkowie powstańców i innych zesłańców politycznych. Syberyjskie osiedla zamieszkiwali lub tworzyli nowe także polscy chłopcy i robotnicy, zachęceni przez rząd carski do wyjazdu i kolonizacji jego dalekich i dynamicznie rozwijających się guberni. Rozwój przemysłu i infrastruktury ścigał tu również różnych specjalistów. Między innymi polscy inżynierowie nadzorowali budowę linii Kolei Transsyberyjskiej (na zdjęciu) czy mostów nad syberyjskimi rzekami. Po wybuchu I wojny światowej do polskiej społeczności syberyjskiej dołączyli przesiedleńcy wojenni z Kongresówki oraz jeńcy wojenni z armii austro-węgierskiej, rządziej niemieckiej. ■

duże straty, że na dłuższy czas zaprzestała ona atakować Polaków. Następne stacje zajmowała dopiero wtedy, gdy się wycofali. Bolszewicy dowódcy mieli wtedy stwierdzić: „Jeszcze jedna taka Tajga, a cofnęlibyśmy się aż za Irtysz!”.

OSACZENI

Pod koniec grudnia 1919 roku polskie transporty dotarły do Krasnojarska, w którym miał siedzibę rząd eserowski. 24 grudnia płk Czuma wysłał do jego przedstawicieli odezwę. Podkreślał w niej, że Wojsko Polskie jest neutralne i nie chce ingerować w wewnętrzne sprawy Rosji, jego jedynym celem jest ewakuacja na Daleki Wschód, a z bolszewikami walczy wyłącznie w samoobronie.

Odezwa ta nie zrobiła na Rosjanach żadnego wrażenia, ale uspokoiła nastroje w samej dywizji. Jej żołnierze, zmęczeni ciągłymi walkami, uznali, że po ogłoszeniu neutralności bolszewicy powinni zaprzestać ataków. Rozchodziły się także pogłoski, że wojna między Polską a Rosją Sowiecką została przerwana, a dywizja będzie przepuszczona do kraju przez europejską część Rosji. Niestety, w rzeczywistości polska dywizja była już osaczona. Dzięki wysiłkom płk. Rumszy udało się jeszcze „przepchnąć” przez stację Krasnojarsk większość eszelonów, ale zbuntowane pułki krasnojarskie, wzmocnione przez nadchodzące oddziały bolszewickie, przerwały połączenia telefoniczne i w kilku miejscach rozebrały tory kolejowe przed ostatnimi ośmioma polskimi pociągami na stacji Minino i Bugacz pod Krasnojarskiem.

Odcięci Polacy zostali gwałtownie zaatakowani przez czerwonoarmistów. Po krótkiej walce część żołnierzy weszła z bolszewikami w układy, a część przedarła się przez nieprzyjacielski kordon i doniosła dowództwu o losie ostatnich ośmiu transportów. Płk Rumsza chciał wytoczyć działa, zbombardować Krasnojarsk i zniszczyć za sobą jedyny most na Jeniseju, ale doszedł do wniosku, że trzeba ratować te oddziały, które mu jeszcze zostały.

Pociągi polskie z trudem dotarły 7 stycznia 1920 roku na stację Klukwiennaja (obecnie Ujar), położoną 100 km od Krasnojarska. Okazało się, że stoi na niej kilkanaście pociągów czechosłowackich i transporty lotewskie z zamarniętymi lokomotywami. Nie było już gdzie uciekać i Polacy stanęli przed wyborem: kontynuować walkę albo kapitulować.

10 stycznia po burzliwej naradzie płk Walerian Czuma zdecydował się na kapitulację. Jej warunki były następujące: pol-

ska dywizja złoży broń, oficerowie i żołnierze zostaną uznani za jeńców wojennych, polscy wojskowi dostaną gwarancję nietykalności osobistej. Po ogłoszeniu tego rozkazu część żołnierzy zaczęła składać broń, lecz nie wszyscy. Płk Rumsza z pozostałymi postanowił z bronią w rękę przebijając się nadal na Daleki Wschód lub do Mongolii. Po rozdzieleniu się na kilka grup, niektórym udało się dotrzeć do Irkucka, następnie do Harbinu.

BRYGADA SYBERYJSKA

Ci, którzy zawierzili Sowiecom (około 10 tys. ludzi), gorzko się rozczarowali. Dowódcy bolszewicy nie dotrzymali ani jednego warunku kapitulacji. Wszyscy wyżsi oficerowie, z płk. Czumą na czele, zostali zamknięci w więzieniu, a oficerowie w obozie. Szeregowych, którzy odmówili wstąpienia do Armii Czerwonej, zmuszono do pracy w kopalniach węgla, budowy mostu na rzece Birusa i napraw torów kolejowych (bliżej 8 tys. ludzi). Niewielu, którym udało się przeżyć niewolniczą pracę lub zamknięcie w gułagach, powróciło do kraju po zawarciu między Polską a Rosją Sowiecką układu repatriacyjnego 24 lutego 1921 roku.

Płk Kazimierz Rumsza natomiast, gdy dotarł ze swymi ludźmi do Harbinu, zorganizował bazę intendenty i punkt zborny. Spośród ocalałych żołnierzy sformował nowy oddział i podporządkował go polskiej misji wojskowej w Szanghaju. Dowództwo oddziału objął szef misji, gen. Baranowski. Dzięki pomocy misji francuskiej resztki V Dywizji otrzymały od Anglików stary statek „Jarosław”. Wypłynął on z portu Talien (Dalnyj) 15 kwietnia 1920 roku w konwoju japońsko-angielskim. Po długiej podróży zawinął do portu w Gdańsku 1 lipca 1920 roku.

„Sybiracy” nie skorzystali z danego im przez naczelne dowództwo urlopu, lecz sformowali się w Brygadę Syberyjską i wyruszyli pod dowództwem płk. Rumszy na front wojny polsko-bolszewickiej. Szczególnie wyróżnili się w bojach pod Warszawą, zwłaszcza w bitwie pod Chorzelami, następnie w lasach augustowskich.

Niestety, nie wszystkim żołnierzom V Dywizji było dane spełnić marzenie o przekroczeniu granic Polski. Większość zginęła w walce lub jako więźniowie w sowieckich łagrach. ■

Wszystkie cytaty pochodzą z książki Józefa Birkenmajera, „Polska dywizja w tajgach Syberii”, która ukaże się nakładem wydawnictwa Cztery Strony.

ANDRZEJ FAFA RA

Mars rotmistrza Dobrzańskiego

Henryk Dobrzański, późniejszy mjr Hubal, gdy przebywał w stolicy Zjednoczonego Królestwa, miał stopień rotmistrza. Był wtedy czołowym polskim jeźdźcem.

Rzecz się działa w 1925 roku. Do Londynu Henryk Dobrzański dotarł w składzie ekipy polskich jeźdźców, którzy mieli wziąć udział w wielkich międzynarodowych zawodach. Drużynę, oprócz Dobrzańskiego, tworzyli rotmistrzowie Adam Królikiewicz i Zdzisław Dziadulski oraz porucznik Kazimierz Szosland. Wszyscy znakomici w swojej specjalności, czyli w skokach przez przeszkody. Najbardziej znany i utytułowany z nich, Królikiewicz, był pierwszym w historii polskim medalistą olimpijskim w konkurencji indywidualnej. Zajął trzecie miejsce podczas igrzysk w Paryżu w 1924 roku.

SZARŻA NA GENERALE

Tenże Królikiewicz w swojej książce „Olimpijska szarża” pisze, że Dobrzański był „ryzykantem o porywczym usposobieniu”. O skłonności do ryzyka świadczy przygoda, jaką polscy jeźdźcy przeżyli kilka dni przed zawodami w Londynie. Chcieli się trochę rozerwać, więc zrobili sobie wycieczkę do miasteczka Aldershot, położonego 60 km na południowy zachód od stolicy Wielkiej Brytanii. Wynajęli samochód, który początkowo prowadził pochodzący z Polski student Oxfordu. Potem jednak kierownicę przejął Dobrzański i wtedy dopiero się zaczęło. Rotmistrz postanowił wycisnąć z pojazdu, ile się dało. Mknęli po równej jak stół szosie z zawrotną prędkością. W pewnym momencie, kiedy kierowca usiłował skręcić w boczną drogę, samochód wyślizgnął w rowie. Nikomu, na szczęście, nic się nie stało.

Z końmi Dobrzański radził sobie zdecydowanie lepiej niż z samochodami. W londyńskim konkursie Polacy zwyciężyli do ostatniej chwili o prestiżowe trofeum – Puchar Narodów – z Włochami. Przeegrali minimalnie, ale indywidualnie najlepszy wynik zawodów uzyskał rotmistrz Dobrzański – miał dwa bezbłędne niezwykle efektowne przejazdy.

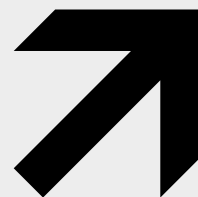
Dosiadał Generała, niewielkiego, ale bardzo skoczego konia, którego nie znał zbyt dobrze, gdyż wcześniej jeździł na nim ppłk Kazimierz Suski.

W oficjalnym regulaminie Pucharu Narodów nie było nagrody za wyczyn indywidualny. Nieoficjalnie jednak organizatorzy prestiżowych zawodów w Europie – w Nicei, Rzymie czy Brukseli – zawsze honorowali najlepszych jeźdźców. Anglicy nie dostosowali się do tego zwyczaju i Dobrzański musiał obejść się smakiem. Nie pokazywał po sobie, jak bardzo jest rozczarowany, ale koledzy znali go doskonale i wiedzieli, co czuje. „W takich chwilach na środku gładkiego czoła Henia pojawiała się charakterystyczna pionowa bruzda”, pisał Adam Królikiewicz.

SZTUBACKI DOWCIP

Zadowoleni z siebie polscy oficerowie późną nocą wracali pieszo do hotelu „Royal Palace”. Roztrząsali przebieg konkursu, chwalili Dobrzańskiego za wspaniałą postawę. Bruzda na jego czole jednak nie zniknęła, wręcz przeciwnie – pogłębiła się. Komplementy jeszcze bardziej rozwścieczyły rotmistrza. Na pustej londyńskiej ulicy głośno wyrzucił z siebie cały żal. Królikiewicz nazwał to „wybuchem pełnym dosadnych określeń pod adresem gospodarzy londyńskiej imprezy”.

Panowie dotarli szczęśliwie do hotelu, ale na tym się nie skończyło. Królikiewicz wpadł na pomysł, aby sfrustrowanemu Dobrzańskiemu zrobić dowcip. Wezwał telefonicznie kolegów do swego pokoju i zaproponował, żeby zapakować gliniany wazon stojący w hotelowym korytarzu i za pośrednictwem pokojówki przesłać rotmistrzowi wraz z listem. Zapisano go na firmowym papierze „Royal Palace” i włożono do takiej koperty. Treść miała ukończyć podrażnioną dumę Dobrzańskiego: dyrekcja hotelu wyraża podziw dla wspaniałego występu polskiego jeźdźcy i dołącza w dowód uznania puchar.



Polska ekipa na
Międzynarodowych
Zawodach Hippychnych
w Londynie w 1925 roku.
Od lewej:
rtm. Adam Królikiewicz,
rtm. Zdzisław Dziadulski,
ppłk Karol Rómmel,
rtm. Henryk Dobrzański,
por. Kazimierz Szosland



W NARODOWYM ARCHIWUM CYFROWYM

MAJOR HUBAL

Henryk Dobrzański (1897–1940) został bohaterem narodowym, gdy w 1939 roku nie złożył broni, lecz sformował kilku-dziesięcioosobowy oddział i kontynuował walkę z Niemcami. Miał wówczas stopień majora. Przyjął wtedy pseudonim „Hubal”. Działal w lasach na Kielecczyźnie. Żołnierze „Hubala” stoczyli kilka zwycięskich bitew z hitlerowcami. Major zginął 30 kwietnia 1940 roku w potyczce pod Anielinem. Miejsce jego pochówku wciąż pozostaje nieznanne.

Panowie żartownisie od razu udali się do pokoju Dobrzańskiego na pogawędkę. Nie minął kwadrans, gdy w drzwiach stanęła pokojówka z listem i opakowanym wazonem. Rotmistrz otworzył kopertę i twarz mu się rozjaśniła. A jednak Anglicy to cywilizowany naród. Postanowił oczywiście obejrzeć puchar. Rozerwał papier i bruzda wróciła na swoje miejsce. Rotmistrz rozpoznał natychmiast gliniany wazon, który wielokrotnie mijał na korytarzu. Ryknął wściekle i rzucił się w stronę walizki, gdzie miał schowany rewolwer. Koledzy błyskawicznie czmychnęli do

swoich pokoi i zamknęli się w nich na klucz. Dobrzański czyhał na korytarzu, by dokonać odwetu za sztabacki dowcip. Używał przy tym słów jeszcze gorszych niż te, którymi obrzucił na ulicy organizatorów zawodów. „Udobruchał się po jakimś czasie. Sam lubił płać figle, więc i nam wybaczył ten ostry żart”, zakończył opowieść Królikiewicz. Anglicy zresztą zrehabilitowali się za swój błąd. Kilka dni później rotmistrz Dobrzański dostał od księcia Walii złotą papierośnicę przeznaczoną dla najlepszego jeźdźcy zawodów w Londynie. ■

ANNA DĄBROWSKA

WOJENNY ORDER

Żołnierze za trudy, rany i ofiarność mają pociechę w skromnym, ale drogim krzyżu.



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Na szarych, spłowiałych mundurach naszych żołnierzy zawisło najwyższe odznaczenie, jakie za pracę bojową otrzymać mogli – Krzyż Virtuti Militari”, czytamy w „Polsce Zbrojnej” ze stycznia 1933 roku. Jak pisze mjr Wacław Lipiński, odrodzone wojsko, stanowiące podwalinę naszej niepodległości, nie powstało nagle, ale na jego odnowę złożyło się wiele przyczyn polityczno-wojennych.

ROMANTYCZNA TRADYCJA

„Wojsko jest dla wojny i to wojny zwycięskiej, to jego naczelną cel. To dla nie-

go się go buduje, zaopatruje w sprzęt i uzbraja w siłę moralną. Odrodzone w dniach wojny światowej wojsko, choć nie dostatecznie zaopatrzone, obdarte i bez wyekwipowania, odnosiło zwycięstwa i w rezultacie wygrało wojnę, bo dysponowało wielką siłą moralną”. Jak tłumaczy Lipiński, elementem tej siły było sięgnięcie do dawnych dziejów. „Dokonał tego Józef Piłsudski, kiedy naród cały pożegnał się już z myślą walki zbrojnej, a tradycje wojenne przez chłodny rozsądek pozytywistów zostały wytepię”. Jak podaje autor, przyszły marszałek musiał, tworząc armię, oprzeć się

na wartościach historycznych, a jednym z nich był order Virtuti Militari.

Niestety, nie wśród wszystkich odznaczenie i sposoby jego nadawania budziły entuzjazm. Pojawił się zarzut ze strony społeczeństwa cywilnego, że w ostatnich latach order wojskowy był rozdawany tak hojnie, że wartość jego, mimo pięknej stukilkudziesięcioletniej tradycji, spadła niezmiernie nisko. „W ten sposób opinia publiczna pomniejszyła znaczenie naszych orderów ciężko i krwawo zasłużonych i tak bardzo dla wojska drogie”, ubolewał kpt. Henryk Kurczycki.

PITAWAL

Żołnierz na włościach

Szeregowy nie mógł doczekać się obiecanego posagu żony.

Niejaki Wilhelm Kellert, szeregowy piechoty, wybrał sobie na żonę pannę Rozalię Lange, córkę bardzo zaможnych rodziców. Ożeniwszy się, zamieszkał wraz z nią w domu swego te-

ścia pod Warszawą. Ojciec panny, zresztą jedynej córki, obiecał w przyszłości przepisać swoją posiadłość na rzecz zięcia. Kellert wydzierżawił więc swoje półtorej morgi i pilnie zajął się

gospodarstwem teścia, ciesząc się myślą, że kiedyś stanie się ono jego własnością. Tymczasem stary Lange nie spieszył się z posagiem. Doszły bowiem do niego słuchy, że Kellert ma w sąsiedniej wsi bogatą kochankę, do której jeździ w każdy dzień targowy. Bał się jednak zwrócić mu uwagę, bo Kellert słynął z porywczego charakteru i wielkiej siły fizycznej.

Stan taki trwał kilka lat. Kellert wielokrotnie przypominał teściowi o obietnicy. Wreszcie, nie mogąc doczekać się

Jak pisał, podczas gdy ordery z czasów ostatniej regularnej walki orężnej 1831 roku są niezwykle cenne i czczone, to współczesne krzyże społeczeństwo traktuje z przekąsem, jako mało wartościową odznakę. „Czy to dlatego, że to co było niegdyś widziane z dalekiej perspektywy historycznej jest droższe od rzeczy współczesnych, czy też faktycznie order ten stracił swą rangę przez zbyt częste nadawanie?”.

Oficer postanowił to sprawdzić. „Nie trudno zauważyć, że istotnym sprawdzianem okoliczności, czy ordery były nadawane mniej lub bardziej hojnie, może być jedynie ich procentowa ilość w stosunku do liczby wszystkich walczących”. Jak podał Kurczycki, w księdze pamiątkowej wydanej w 50. rocznicę powstania 1830 roku, poświęconej żołnierzom polskiej armii, znajduje się dokładny spis orderów nadanych przez Sztab Główny Wojska Polskiego od 3 marca do 5 października 1831 roku.

ODZNACZENI POWSTAŃCY

Przyznano wówczas ogółem 3861 krzyży, przy czym armia polska w chwili wybuchu powstania liczyła 33 tys. ludzi, a 4 września, w przededniu bitwy o Warszawę – 73 tys. „Możemy zatem przypuścić, że przez jej szeregi przewinęło się 96 tysięcy ludzi, czyli w powstaniu liczba osób ozdobionych orderem wynosiła 4 procent całości armii”. Do 1 marca 1923 roku nadano natomiast 8103 krzyży za lata walk 1914–1920. „Ponieważ przez ten czas pod naszymi sztandarami walczyło milion ludzi, ilość odznaczonych wyniesie zaledwie 0,8 procent, a więc 10 miesięcy walk powstania listopadowego dało 4 procent odznaczonych, a 74 miesiące obecnych bojów mniej niż jeden procent”, konstatuje autor.

I dodaje, że porównanie to pokazało jak jednostronne i bezpodstawne są sądy społeczeństwa, które wydaje z lekkim sercem powierzchowną opinię, nie wglębiwszy się w istotny stan rzeczy. „Jest to w tym wypadku szczególnie bolesne dla wojskowych, którzy za trudy, rany i ofiarność z życia mają pociechę i nagrodę w skromnym, ale drogim krzyżu”.

SKRZYDŁA KAWALERÓW

Powodem niezadowolenia cywilów mogła być też pensja orderowa. W 1924 roku Ministerstwo Skarbu zarządziło wypłatę odznaczonym po 300 zł. Dwa lata później została natomiast wypłacona pensja spadkobiercom zmarłych kawalerów tego odznaczenia. „Prawo do niej mają tylko w takim wypadku, jeśli odznaczony otrzymał order za życia i nie mógł pobrać pensji z powodu zwłoki w jej wypłacie”, informował Witold Szark.

Kawalerowie orderu nie wydawali jednak pieniędzy tylko na siebie. W 1925 roku powstała inicjatywa składek na samolot imienia Kawalerów Orderu Virtuti Militari. „Dziwić się należy, że kiedy ogół społeczeństwa głuchy jest na wezwanie, gdy chodzi o datki na budowę samolotów, to wojsko od ust sobie odejmuje i sypie składki jak z rękawa”, pisała „Polska Zbrojna”.

Dziennikarz wyliczał, że do tej inicjatywy przystali już między innymi ułani 16 Pułku i uczestnicy kursu doszkolenia młodszych oficerów piechoty z Chełmna, którzy w 43 osoby złożyli się na sumę 250 zł. „Podtrzymując piękną inicjatywę generał Kazimierz Sosnkowski dołączył się na ten cel ze swojej strony składając 1380 złotych, czyli swoje dwumiesięczne pobory, do Ligii Powietrznej Obrony Państwa”, informował dziennik. ■



PLK MARIAN MOTYLSKI:

W zakresie uzbrojenia Ministerstwo Spraw Wojskowych dążyło do usunięcia w szerokim zakresie dotychczasowych niedomagań. Zorganizowano zbrojownie i warsztaty amunicyjne oraz zakład przeciwigazowy, które w 1928 roku przeszły na stopę samowystarczalności. W związku z tym zarządzona została likwidacja zbędnych materiałów wojskowych nagromadzonych przez ostatnie lata.

Ogłoszenia retro:

Weneryczne niemoc płciowa

Dr. M. REGELMAN

ZŁOTA № 16 od 9—11 r. 3—9 w. Niedz. do 6 pp. Niezależnym ceny lecznicowe. 139

Dr. H. LEWIN starszy

Niecała № 12.

WENERYCZNE NIEMOC PŁC. Analizy od 9—12, 3—9. Niedziela 9—2. Niezależnym ceny lecznicowe. 124

WENERYCZNE niemoc płciowa SKÓRNE Dr. B. FRYDMAN

Marszałkowska 91. Telefon 264-92. Przyjmuje 8—11 r. 3—9 w. Niezależnym ceny lecznicowe. 23

SZER. KELLERT, NIE MOGĄC DOCZEKAĆ SIĘ OBIECANEGO MAJĄTKU, POSTANOWIŁ SIĘ ZEMŚCIĆ

obiecanego majątku, postanowił się zemścić. Wniósł skargę do sądu konsystorskiego, oskarżając swoją żonę o utrzymywanie stosunków kazirod-

czych z ojcem. Sąd wezwał na rozprawę świadków, przede wszystkim sąsiadów Langego i Kellertów. Szeregowy przewidział to i wcześniej część z włóścian zastraszył, a innych przekupił, obiecując wypłacić im odpowiednie pensje po objęciu majątku teścia. Dzięki tym zabiegom przed sądem sąsiedzi zeznali po myśli Kellerta i na tej podstawie sąd sprawę przekazał prokuratorowi. Rozpoczął się proces w Warszawie. Na szczęście dla Langego jego adwokat umiejętnie przycisnął do muru

świadków i większość z nich dość szybko odwołała poprzednie zeznania. Przyznali też, że zostali przekupieni lub zastraszeni.

Sąd niewinął zarówno Kellertową, jak i jej ojca, a sprawę szeregowego przekazał do sądu wojskowego. Ten pociągnął Kellerta do odpowiedzialności za namawianie świadków do składania fałszywych zeznań i skazał go na rok aresztu. Dużo boleśniejsze jednak było dla niego natychmiastowe rozstanie z bogatą żoną i utrata szans na majątek. ■

ROZPIĘTOŚĆ SKRZYDEŁ
15,62 m

DŁUGOŚĆ
12,93 m

NAPĘD
DWA SILNIKI
O MOCY
1380 KM KAŻDY

WYSOKOŚĆ
4,22 m

TADEUSZ WRÓBEL

LATAJĄCE KATAMARANY

Jedną z najdziwniejszych wojskowych konstrukcji lotniczych były samoloty dwukadłubowe.

Od czasów I wojny światowej pojawiło się kilkadziesiąt projektów samolotów dwukadłubowych, ale tylko nieliczne z nich weszły do produkcji. Spośród nich jeszcze mniej użyto w działaniach bojowych. Pierwszy był włoski Caproni Ca.4, ciężki trzysilnikowy bombowiec, których mogło powstać nawet ponad 50. Maszyna w wersji Ca.42 zabierała do 1450 kg bomb. Pierwszy lot odbył się w roku 1916, a operacyjnie bombowca użyto w 1918 roku.

WIELKIE ŁODZIE

Również we Włoszech powstał pierwszy masowo produkowany samolot dwukadłubowy. Firma Savoia-Marchetti opracowała łódź latającą S.55. Pierwszy raz wzbiła się ona

w powietrze w sierpniu 1924 roku. Dwa lata później jej prototyp miał już na koncie kilkanaście różnych światowych rekordów lotniczych. Włoska łódź latająca wykonała też kilka lotów przez Atlantyk. Jednym z wydarzeń w 1933 roku był przelot 24. egzemplarza S.55X z Orbetello w Toskanii do Chicago w USA. Z kolei 25. samolot stracono na Azorach w czasie lotu, który był formą uczczenia dziesiątej rocznicy powstania włoskich Królewskich Sił Powietrznych Regia Aeronautica.

S.55 produkowano w wersjach wojskowej i cywilnej. W tej ostatniej maszyna mogła przewozić dziesięciu pasażerów. Ogółem wyprodukowano ponad 240 tych samolotów. Wykorzystywano je do końca II wojny światowej. Oprócz wojskowego lot-

wojny
i pokoje

PRĘDKOŚĆ
MAKSYMALNA
740 km/h

POWIERZCHNIA
SKRZYDEŁ
37,9 m²

F-82G Twin Mustang

MAKSYMALNA
MASA STARTOWA
11 632 kg

ZASIĘG – 3605 km
PUKAP OPERACYJNY – 11 855 m
UZBROJENIE – sześć karabinów ma-
szynowych kalibru 12,7 mm, 25 ra-
kiet kalibru 127 mm, 1800 kg bomb
ZAŁOGA – dwie osoby 

nictwa włoskiego S.55 używały siły powietrzne Brazylii, Hiszpanii i Rumunii. We Włoszech podczas wojny były one w rezerwie.

Na początku lat trzydziestych XX wieku pojawiła się druga dwukadłubowa łódź latająca Savoia-Marchetti S.66. Opracowana została jako następcą S.55. Jednak wyprodukowano tylko 24 egzemplarze, które były przeznaczone do celów cywilnych (potem trafiły też do wojska). Maszyn tych używano tylko do 1943 roku.

W okresie międzywojennym nad wielką dwukadłubową łodzią, mającą aż sześć silników i rozpiętość skrzydeł ponad 50 m, pracowano w Związku Sowieckim. Jednak prace nad Tupolewem ANT-22 (MK-1) nie wyszły poza fazę eksperymen-

talną. Pierwszy lot odbył się w roku 1934, a program zakończono już w 1937 roku.

POMYSŁ GENERAŁA

W czasie II wojny światowej w Niemczech pojawiła się potrzeba zbudowania samolotu do holowania potężnych szybowców transportowych. Rozwiązaniem zaproponowanym przez gen. Ernsta Udetą było połączenie dwóch średnich bombowców Henkel He 111 H-6. Między ich kadłubami znalazło się środkowe skrzydło z trzema silnikami Jumo 211F. Dwa następne umieszczono w skrzydłach bocznych. Nowa maszyna otrzymała oznaczenie He 111Z Zwilling. W jej zbiornikach mieściło się 8570 l paliwa, ale można było zwiększyć jego ilość dzie-



He 111Z Zwilling

Maksymalna masa – 28 600 kg
Napęd – pięć silników o mocy 1350 KM każdy
Długość – 16,4 m
Rozpiętość skrzydeł – 35,4 m
Prześtań między kadłubami – 12,8 m
Wysokość – 4 m
Powierzchnia skrzydeł – 148 m²
Prędkość maksymalna – 425–435 km/h
Zasięg – 1890 km
Pułap operacyjny – 10 000 m
Uzbrojenie – cztery karabiny maszynowe kalibru 13 mm, dziewięć karabinów maszynowych kalibru 7,92 mm, w tym dwa podwójne
Załoga – siedem osób



S.55X

Maksymalna masa startowa – 10 000 kg
Napęd – dwa silniki o mocy 880 KM każdy
Długość – 16,75 m
Rozpiętość skrzydeł – 24 m
Wysokość – 5 m
Powierzchnia skrzydeł – 93 m²
Prędkość maksymalna – 279 km/h
Zasięg – 3500 km
Pułap operacyjny – 5000 m
Uzbrojenie – cztery karabiny maszynowe kalibru 7,7 mm, torpeda lub 1000 kg bomb
Załoga – sześć osób

ki czterem 600-litrowym podwieszanym zbiornikom. Samolot mógł holować przez dziesięć godzin najcięższy niemiecki szybowiec transportowy Me 321 z prędkością 220 km/h lub dwa mniejsze Gotha Go 242 z prędkością 250 km/h. Pierwszy raz He 111Z wzbił się w powietrze w 1941 roku. Oprócz dwóch samolotów prototypowych zamówiono dziesięć He 111Z-1.

Niemcy planowali użyć potężnych szybowców podczas dwóch dużych operacji powietrznodesantowych w 1942 roku. Jedną z nich miała być akcja na Malcie, a drugą – atak na Astrachań i Baku nad Morzem Kaspijskim. Jednak żadnej z nich nie przeprowadzono. Ze względu na stan lotnisk nie udało się wykorzystać ciężkich szybowców do przerzutu zaopatrzenia dla wojsk niemieckich okrążonych w Stalingradzie. Pierwszy raz użyto He 111Z-1 w 1943 roku do ewakuacji sił III Rzeszy z rejonu Kaukazu oraz przerzutu posiłków na Sycylię po inwazji aliantów na tę śródziemnomorską wyspę. Historia operacyjnego użycia tych dwukadłubowych samolotów zakończyła się w 1944 roku. Osiem z nich zestrzelono lub zniszczono na ziemi. Cztery pozostałe przetrwały wojnę.

Oprócz wersji do holowania szybowców pojawiła się koncepcja bojowego He 111Z-2, uzbrojonego w cztery kierowane radiowo pociski przeciwokrętowe Henschel Hs293 z około 300-kilogramową głowicą bojową, oraz He 111Z-3, maszyny rozpoznawczej dalekiego zasięgu. Jednak żadna z nich nie weszła do produkcji.

DZIWNY MUSTANG

Niemcy pracowali też nad dwukadłubowym samolotem myśliwskim Messerschmitt Bf 109Z Zwilling. Powstał jednak tylko jeden jego prototyp, który w 1943 roku został uszkodzony w hangarze podczas alianckiego nalotu. W następnym roku projekt zarzucono. Większy sukces odnieśli Amerykanie. Po-

stanowili połączyć dwa myśliwce P-51 Mustang. Według pierwotnych koncepcji podwójne mustangi miały zapewniać myśliwską eskortę strategicznym bombowcom B-29 Superfortress w czasie nalotów na Japonię z baz na Filipinach. Odległość do Tokio, wynosząca 3200 km, była zbyt duża dla ówczesnych amerykańskich myśliwców. Jednak pierwszy lot odbył się w czerwcu 1945 roku, już po zakończeniu wojny w Europie. 27 lutego 1947 roku samolot pokazał swe możliwości, przelatując ponad 8000 km z Hawajów do Nowego Jorku. Wraz z 22 prototypami zbudowano ich 272. Początkowo nosiły oznaczenie P-82, które w 1948 roku zmieniono na F-82 (od angielskiego „Fighter” – myśliwiec).

Debiut bojowy F-82 Twin Mustang, maszyny uzbrojonej w sześć karabinów maszynowych kalibru 12,7 mm, nastąpił dopiero podczas wojny na Półwyspie Koreańskim w czerwcu 1950 roku. Mustangi zostały tam wysłane jako pierwsze amerykańskie samoloty myśliwskie. Zapewniały początkowo osłonę transportowców ewakuujących cywilnych obywateli USA z Korei. I to one zniszczyły pierwsze maszyny lotnictwa północnokoreańskiego. Rywalami F-82 były sowieckiej produkcji myśliwce Jak-9, Jak-11 i Ła-7. Wraz z innymi samolotami Stanów Zjednoczonych F-82 atakowały też cele naziemne i prowadziły rozpoznawcze. W 1951 roku zostały zastąpione w Korei przez odrzutowe F-94 Starfire.

Podwójne mustangi wykorzystywano też od 1948 roku w obronie powietrznej na Alasce. Amerykanie poczuli się zagrożeni, gdy w 1947 roku odkryli, że Związek Sowiecki dysponuje bombowcem dalekiego zasięgu. Ich Tupolew Tu-4 był kopią amerykańskiego B-29. Rozwój odrzutowych samolotów spowodował, że w listopadzie 1953 roku F-82 wycofano ze służby. Twin Mustang był ostatnim wykorzystywanym masowo dwukadłubowym samolotem bojowym. ■



WŁODZIMIERZ
KALETA

Psy antymonopolowe

Służba w kompanii wartowniczej jednostki inżynierijno-budowlanej na Oksywiu, którą Bogdan Z. pełnił pod koniec lat osiemdziesiątych, była trudna. Według żołnierzy z innych pododdziałów miała jednak pewne walory. W armii z poboru przepustki były trudno dostępne, a nielegalne opuszczenie jednostki ryzykowne. Pełniący na okrągło służbę wartownicy byli pod tym względem uprzywilejowani. Swojego, jeśli nawet wychodził z koszar bez przepustki, nikt raczej nie zatrzymywał.

W któryś z sobotnich wieczorów Bogdan Z. wraz z kolegą wyrwał się na chwilę z koszar po zakupy. Droga do „meliny”, w której obaj mieli je zrobić, prowadziła przez las. Doszli już niemal do połowy zagajnika, gdy nagle wśród drzew pojawiły się dwa wilczury. Ujadając, pędziły w ich kierunku. Bogdan z kolegą rzucili się do ucieczki. W końcu wdrapali się na drzewo, tyle że uparte psy położyły się pod nim i nie chciały odejść. Czas mijał. Nastał świt – niebezpieczna pora dla żołnierzy na lewiznie, nawet dla wartowników. Rano najczęściej oficer dyżurny sprawdzał stany w pododdziałach. Wpadka, zwłaszcza żołnierza z kompanii wartowniczej, groziła aresztem i przedłużeniem służby wojskowej. Zdesperowani żołnierze zaczęli rzucać w zwierzaki butami, ale efekt był taki, że wilczury rozszarpały kamasze. I wtedy nagle pojawił się mężczyzna. Psy podbiegły do niego, merdając ogonami. Okazało się, że to miejscowy gospodarz, właściciel „bestii”. Wartownicy wykorzystali sytuację i biegiem, bez butów, wrócili do koszar.

Kolegom opowiedzieli całą historię, żeby usprawiedliwić brak zakupów. Żołnierze najpierw się uśmiali, ale potem zaniepokoiili. Gospodarz najwidoczniej spuszczał psy na noc i każdego mogła spotkać taka przygoda. Droga po zaopatrzenie przez zagajnik była zatem odcięta. Wkrótce ktoś złożył zawiadomienie do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami, że gospodarz głodzi psy, więc nocami polują one w lesie na zwierzynę. Nie wiadomo, kto to zrobił, ale wkrótce wilczury zniknęły z zagajnika. Droga znowu była wolna. ■

**TAKA WPADKA
GROZIŁA ARRESZTEM
I PRZEDŁUŻENIEM
SŁUŻBY
WOJSKOWEJ**



PŁEK W ST. SPOCZ. WŁODZIMIERZ KALETA
SŁUŻYŁ W 7 ŁUŻYCKIEJ DYWIZJI
DESANTOWEJ.



KRZYSZTOF WOJCIEWSKI

A close-up photograph of a hand in a black, long-sleeved garment. The hand is positioned palm-up, holding a small, light-colored, rectangular object between the thumb and index finger. The background is a soft-focus landscape with green and blue tones, suggesting an outdoor setting. The lighting is natural, highlighting the texture of the skin and the fabric.

| OBLICZA WOJNY |

OPERATOR W OGNIU

Ze Sławomirem Idziakiem

o metodach inteligentnego kłamania
rozmawia Andrzej Fařara.



Jak pokazywać wojnę? Jak kręcić sceny batalistyczne? Czy tego uczą w szkołach filmowych?

W łódzkiej filmówce, którą kończyłem, tego nie uczyli i nie uczą. Na uczelniach, z którymi obecnie współpracuję jako wykładowca, też nie. Ale nie znam przecież wszystkich szkół. Teraz każdy może założyć uczelnię i wprowadzić tam takie zajęcia, jakie chce.

Ale są chyba w przemyśle filmowym specjaliści od batalistyki?

Wśród operatorów? Trudno by mi było wskazać kogoś takiego, kto zajmowałby się wyłącznie batalistyką.

Są natomiast firmy świadczące usługi na potrzeby filmu, które specjalizują się w rozmaitych dziedzinach. Nie uwierzy pan, ale jest na przykład przedsiębiorstwo nastawione wyłącznie na produkcję śniegu i lodu. Chce pan drobne płatki, ma pan drobne, chce pan grad – proszę bardzo. Jak kiedyś w środku upalnego lata zrobili w studiu tafłę lodu, to wyglądała tak naturalnie, że wchodząc na nią, drobiliśmy odruchowo kroki, żeby się nie poślizgnąć. A wcale nie była śliska. Wykonali ją z betonu. Ale pan pyta o filmy akcyjne. Tacy specjaliści od efektów specjalnych [SFX] oczywiście są, bez nich nie byłoby dzisiejszego kina. Aż 80% filmów powstających w Stanach Zjednoczonych to obrazy akcyjne. Najwybitniejszym specjalistą od takich produkcji, jakiego znam, jest Brytyjczyk Neil Corbould, nagrodzony Oscarem za „Gladiatora” i „Grawitację”. Można go nazwać mistrzem efektów specjalnych. W zespole Corboulda znajdują się fachowcy od wybuchów, mgły, kukieł udających trupów, ran i w ogóle wszystkiego, co może dotyczyć wojny. Współpracowałem z Neilem i jego ludźmi na planie „Helikoptera w ogniu”. Jestem pewien, że nie ma lepszych na świecie.

Jak Pan dostał tę pracę, która przyniosła Panu nominację do Oscara?

Nie mam pojęcia, co skłoniło Ridleya [Scotta – jednego z najwybitniejszych reżyserów na świecie, twórcę m.in. „Łowcy androidów”, „Thelmy i Louisy”, „Gladiatora”] do złożenia mi propozycji. Nigdy tego nie ustalałem i nie mam zamiaru tego robić. Może dowiedziałbym się, że byłem trzeci w kolejce i że ci przede mną odmówili, bo akurat byli zajęci? Po co mi ta wiedza, zwłaszcza teraz, kiedy już jest dawno po wszystkim?

Ale mogło też być tak, że Ridley Scott chciał tylko Pana. Miał Pan bardzo dobrą opinię na rynku zachodnim. Był Pan autorem

zdjęć do kilku znanych filmów, między innymi „Gattaca – szok przyszłości” czy „Dowód życia”.

W tym drugim, który pan wymienił [reżyseria Taylor Hackford, w rolach głównych Meg Ryan i Russell Crowe], była sekwencja uwolnienia zakładników. Być może Ridleyowi się spodobała. Nie wiem. Paradoks polega na tym, że ja nie przepadam za kinem akcyjnym, zawsze wolałem filmy psychologiczne. I oto największy wymierny sukces w życiu zawodowym – bo tak trzeba określić nominację do Oscara – przyniósł mi film, w którym jest dużo strzelaniny, wybuchów.

Przygotowywał się Pan jakoś do tej pracy?

Oglądaliśmy z Ridleyem klatka po klatce film Stevena Spielberga „Szeregowiec Ryan”, który jest uważany za wzorzec kina batalistycznego. Zdjęcia, dodam, robił Polak Janusz Kamiński i dostał za nie Oscara. Nie tylko dla mnie, ale i dla Ridleya, „Helikopter” był filmem nowym – nigdy wcześniej nie robił filmu akcyjnego.

Akcja „Helikoptera” dotyczy wojny domowej w Somalii i działań elitarnych oddziałów amerykańskich. Kręciliście zdjęcia tam, gdzie to się wszystko wydarzyło?

Pracowaliśmy w Maroku, w najuboższej dzielnicy Rabatu, gdzie nie ma nawet kanalizacji. To był mój najtrudniejszy film w życiu. Ridley jest piekielnie wymagający, a oprócz tego trudności wynikały ze scenariusza, z samej akcji filmu. Na planie cały czas coś się działo, nie było przestojów. Po każdym dniu zdjęciowym wracaliśmy straszliwie zmęczeni, w przeponionych, oblepionych kurzem mundurach. Kiedyś w hotelu amerykańskie turystki narobiły hałasu, bo wzięły nas za terrorystów.

Po co operatorowi mundur?

Każdy człowiek z ekipy musiał mieć mundur. Gdyby przypadkiem wszedł w pole zasięgu kamery i nikt by tego na zauważył, to później nie byłoby problemów. W kinie widz by się nie zorientował, że jeden z biegnących na dalekim planie żołnierzy ma kamerę w ręku.

W opisach filmu można przeczytać, że został zrobiony bardzo realistycznie. Helikoptery rzeczywiście płonęły?

Na planie wyglądało to tak, że helikopter bez wirnika był opuszczany na linie, po czym odczepiany kilka metrów nad ziemią. Spadał w miejscu, gdzie były przygotowane wybuchy. Łamiące się ramiona wirnika zostały natomiast dodane za pomocą komputera. W dzisiejszych czasach duża część pracy nad filmami akcyjnymi odbywa się w pracowniach komputerowych. Opinie o reali-



MATERIAŁY PROMOCYJNE

„To był mój najtrudniejszy film w życiu. Ridley jest piekielnie wymagający, a oprócz tego trudności wynikały ze scenariusza, z samej akcji filmu”.

zmie „Helikoptera w ogniu” są jednak trochę przesadzone. Usłyszałem nawet komplement z ust jednego z polskich bardzo znanych wojskowych, że te wydarzenia w Mogadyszku pokazaliśmy nadzwyczaj autentycznie. Uśmiechnąłem się w duchu i nic nie odpowiedziałem, nie chcąc robić panu generałowi przykrości. Tymczasem prawda jest taka, że helikoptery nie wykonują działań na tak niskich wysokościach, jak my to pokazaliśmy. Gdyby to robiły, można by bez trudu zastrzelić pilota z broni krótkiej. Helikoptery podczas prawdziwych akcji atakują z wysokości 200 metrów, ale w filmie trzeba przecież pokazać ziemię. Dlatego musieliśmy obniżyć pułap działania maszyn. Druga sprawa – granatniki, z których u nas żołnierze strzelają do ludzi. W praktyce nigdy się tego nie robi.

Są jakieś ogólne zasady filmowania wojny?

W filmach akcyjnych obraz musi być odpowiednio zagęszczony i dynamiczny. Ridley często oglądał materiał zdjęciowy i mówił: tu musimy dorzucić jeszcze dwa helikoptery. Na ekranie nie może być po prostu pustych przestrzeni. Chodzi z grubsza rzecz biorąc o to, żeby ten zagęszczony, dynamiczny obraz zaniepokoił widza. Wiadomo, że każdy człowiek chce mieć wszystko

pod kontrolą. Kомуś, kto siedzi w kinie i widzi na ekranie dwa helikoptery, wydaje się, że kontroluje sytuację. Kiedy jednak tych maszyn jest mnóstwo, a w dole ekranu coś wybucha, z lewej strony ktoś strzela, to widz traci tę kontrolę. A nam, filmowcom, o to właśnie chodzi. Stosujemy metody inteligentnego kłamania, zgodnie zresztą z oczekiwaniami publiczności. Dlaczego ludzie tak chętnie oglądają kryminały czy filmy akcyjne? Bo ich życie codzienne jest nudne, pozbawione napięcia. Szukają adrenaliny w kinie.

Znaleźli ją podczas projekcji „Bitwy Warszawskiej” w reżyserii Jerzego Hoffmana?

Sądzę, że tak. Bardzo krytyczne opinie na temat tego filmu są mocno przesadzone. Dla mnie to była atrakcyjna przygoda. Po wielu latach pracy za granicą wreszcie zrobiłem coś w Polsce. I nie mam się chyba czego wstydzić. Przypomnę, że „Bitwa Warszawska” jest pierwszym polskim filmem nakręconym w technologii trójwymiarowej. Naszą pracę docenili Niemcy, którzy całą polską ekipę operatorską zatrudnili przy produkcji swojego filmu „Rachuba świata”. Niby niewielkiego, ale mającego budżet większy niż „Bitwa Warszawska”. ■

WIZYTÓWKA

SŁAWOMIR IDZIAK

Polski operator filmowy. Absolwent Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi. Autor zdjęć do filmów (m.in): „Bilans kwartalny” (1974), „Dyrgent” (1979), „Krótki film o zabijaniu” (1987), „Podwójne życie Weroniki” (1991), „Trzy kolory: niebieski” (1993), „Gattaca – szok przyszłości” (1997), „Dowód życia” (2000), „Helikopter w ogniu” (2001, nominacja do Oscara), „Harry Potter i Zakon Feniksa” (2007), „1920 Bitwa Warszawska” (2011). Wykłada (jako profesor wizytujący) w Niemczech, Wielkiej Brytanii, Danii, Finlandii. Organizuje w Krakowie coroczne kursy dla młodych filmowców pod nazwą „Film Spring Open”.

horyzonty NIE TYLKO WOJSKO



MapS

**BAŁTYJ-BESZTAJ
TOUR**

1008 km
1008 km non stop

active

FDVA

Rogelli

**1008 NON STOP
km**

SIGMA

XRISSE

ARCH. SZYMONA

PIOTR BERNABIUK

Nic mi się nie udało

Wojskowi fani kolarstwa do ubiegłorocznych sukcesów Rafała Majki i Michała Kwiatkowskiego mogą dopisać triumf swojego zawodnika, płk. Szymona Koziatka.

Sciąganie na kilkusetkilometrowych dystansach Szymon Koziątek rozpoczął przed pięcioma laty, tuż przed czterdziestką. W 2012 roku podjął największe dla polskich kolarzy amatorów wyzwanie – jadąc non stop, pokonał liczącą 1008 km trasę Bałtyk – Bieszczady. W 2014 roku powtórzył wyczyn. Ponadto zdobył Puchar Polski w szosowych maratonach rowerowych w kategorii open. Superkolarz jest pułkownikiem. Wywodzi się z 25 Brygady Kawalerii Powietrznej, a obecnie służy w Dowództwie Operacyjnym Sił Zbrojnych RP.

SMAK ZWYCIĘSTWA

Kiedy w 2012 roku ukończył ponadtysiąc kilometrowy wyścig Bałtyk – Bieszczady, najbardziej tym wyczynem chyba zaskoczył sam siebie. Mimo wszystkich przeszkód – na trasie pękła mu szprycha i rozcentrowało się koło, a na dodatek pomylił trasę, przez co przejechał kilkadziesiąt kilometrów więcej niż pozostali – pokonał dystans w 50 godzin i kilka minut. W 2013 roku nie rozgrywano supermaratonu ze Świnoujścia do Ustrzyk Górnych, więc skupił się na cyklu wyścigów liczonych do Pucharu Polski w szosowych maratonach rowerowych. Zajęcie drugiego miejsca w swojej kategorii wiekowej i szóstego open w klasyfikacji pucharowej było motywacją do „kręcenia kolejnych tysięcy kilometrów”.

W 2014 roku wyścigi dla Szymona Koziatka były już nie tylko sportową przygodą, lecz także konsekwentnie realizowanym planem startowym: „Pomyślałem, że fajnie byłoby wreszcie wygrać jakiś wyścig. Bo do tej pory przyjeżdżałem w czołówce, ale nie zasnalem smaku zwycięstwa”. Zaczął od 320-kilometrowego ultramaratonu w Świnoujściu: „Zimno, deszcz, a na dodatek 10 km po starcie kolega zajeżdżał mi drogę... Jak zbierałem się z szosy, pomyślałem, że włożyłem tyle wysiłku, a sezon nie będzie się liczył. Na szczęście rower był cały, a ja tylko nieco poobijany. Dając z siebie wszystko, po 5 km dogoniłem grupę, a na mecie byłem pierwszy”.

I tak wygrał swój pierwszy wyścig, i to w kategorii open, więc już na początku sezonu roczny plan miał wykonany... Potem zwyciężał jeszcze pięciokrotnie w kategorii open – w Świnoujściu, Świdwinie, Hawie, Kołobrzegu i Niechorzu, trzy razy był trzeci, raz drugi i tylko dwa razy trochę dalej. W efekcie odniósł zwycięstwo open w całym cyklu.

W środku sezonu, gdy wszystko szło nadszpiewanie dobrze, stanął przed dylematem. Z cyklem wyścigów liczonych do Pucharu Polski kłócił się ponowny udział w tym najdłuż-

szym, którego nie chciał odpuścić: „Parę wyścigów już wygrałem, nabierałem sporo punktów, a w tydzień po trasie Bałtyk – Bieszczady była Iława, potem Karpacz i Rewal. Jak pokonać morderczy dystans, żeby się nie wycieńczyć i nie zaprzepaścić dorobku?”.

JESZCZE LEPIEJ?

Przed startem Szymon Koziątek pobawił się trochę w matematykę: „Z poprzednich doświadczeń wynikało, że nie tylko mogę poprawić swój czas sprzed dwóch lat. Doświadczeni koledzy podpowiadali, że udałoby mi się nawet »złamać czterdziestkę«. Wyszłaby z ciągłej jazdy średnia prędkość około 26 km/h, a licząc konieczne przerwy, około 30. Przy takiej jeździe, co ogromnie ważne, byłaby również szansa niezarywania drugiej nocy”.

Pierwsze 200 km, wspierany przez korzystny wiatr, przejechał ze średnią 35 km/h. „Kręcił” na trochę wyższym pulsie niż planował, a pilnowanie tętna przy wielogodzinnym wysiłku jest ważniejsze niż sprawdzanie szybkościomierza. Wszystko szło dobrze gdzieś do Sochaczewa, ale później zaczęło padać i lało już niemal do końca. Cały czas jechał mokry, a jedyny dłuższy postój zrobił dopiero przed pierwszą nocą, żeby się cieplej ubrać. Prawdziwy kryzys dopadł go dopiero w Bieszczadach, między Ustrzykami Dolnymi a Górnymi. Temperatura spadła do 6°C. Okropnie marzył na zjazdach, najgorzej cierpiały nogi i kolana. Był jednak już tak zmęczony, że nie miał siły się zatrzymać i włożyć coś jeszcze na siebie. A jakby tego było mało, na koniec zaczęły mu gasnąć lampki w rowerze.

Metę osiągnął po 39 godzinach i 40 minutach jazdy, łamiąc magiczną granicę 40 godzin! Wielkiej radości towarzyszył ból i nieludzkie zmęczenie. Powtarzał sobie wówczas: „Nigdy więcej! Przejechałem, coś sobie udowodniłem i wystarczy”. Dziś dodaje: „A po tygodniu zaczyna się rozmyślać, że przecież można jeszcze lepiej pojechać”.

SŁUŻBA I RODZINA

Płk Szymon Koziątek nie ukrywa, że uprawianie kolarstwa szosowego na amatorskim, ale wysokim poziomie wymaga samozaparcia, konsekwencji i dobrego gospodarowania czasem. Podkreśla, że wyżej od swej pasji stawia obowiązki służbowe, a pogodzenie jednego z drugim wcale nie jest łatwe. Czy pozostaje jeszcze w tym wszystkim czas na życie rodzinne? „Rodzina, co nie jest proste, jakoś moją pasję toleruje. →



SZYMON KOZIĄTEK W SEZONIE 2014 POKONAŁ NA ROWERZE PONAD 13 TYS. KM

A nadto, wbrew pozorom, trening nie zabiera tak wiele czasu, wystarczą dwie, trzy godziny dziennie w tygodniu i cztery, pięć godzin w weekendy”.

Nie boje się nad tym, że synowie nie podzielają jego pasji: „Wyrosłem z przelewania swoich ambicji na dzieci. Na razie one mają inne fascynacje. Zresztą, może nic straconego, bo sam zacząłem na poważnie jeździć po trzydziestce. Byłem jednak wzruszony, kiedy uczestniczyłem w przysiędze Jakuba, mojego starszego syna, w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Lądowych, której poprzedniczkę, Wyższą Szkołę Oficerską Wojsk Zmechanizowanych, przed laty ukończyłem. Zastrzegam, że nie namawiałem go zbyt mocno na wstąpienie do wojska”.

KATEGORIA SOLO

Wracając do sukcesów... Nasz bohater mógłby powiedzieć, jak biegaczka narciarska Justyna Kowalczyk w znanej reklamie: „Nic mi się nie udało...”. W supermaratonach kolarskich można bowiem pechowo przegrać, ale nie szczęśliwie wygrać, bo sukces wykuwa się podczas żmudnej harówki. I trzeba wiedzieć, jak to robić: „W ciągu ostatnich dwóch lat zmieniłem system treningu. Wcześniej kręciłem wiele kilometrów, ale bez odpowiedniego natężenia, z tętnem 120–130 uderzeń na minutę; wtedy nie zwiększa się wydolności. Teraz jeżdżę krócej, 70–80 km, ale bardzo intensywnie”.

Szymon Koziątek na swój najdłuższy dystans wybrał kategorię solo. Uważa, że tak jest lepiej, bo można utrzymywać własne tempo, regulować postoję, działać cały czas zgodnie z własną fizjologią i psychiką. W grupie oczywiście zyskuje się na pracy zespołowej, zmianach na prowadzeniu, „trzymaniu koła”. Gdy jednak trafi się na mocniejszych, to dojedzie się solo albo wcale. Jeśli na słabszych... to może być jeszcze gorzej. Ma świadomość swoich ograniczeń. Jest wysoki, mocnej budowy, co stanowi pewien kłopot w górach: „Jeżdżę w górskim terenie w miarę dobrze, nawet coraz lepiej, ale ma-

jąc wagę »startową« około 78 kg, ze znacznie lżejszymi rywalami nie dają sobie rady. Nie mogę się jednak za bardzo odchudzać, bo to oznacza spadek mocy. W kolarstwie warunki fizyczne w jakiś sposób wyznaczają zawodnikom miejsce”.

WIEK DOJRZAŁY

Szymon Koziątek jeszcze być może nie powiedział ostatniego słowa, bo ma dopiero 44 lata, ciągły progres formy i idące za nim rezultaty. Owszem, czuje na plecach oddech zawodników z młodszego pokolenia, obserwuje ogólny wzrost poziomu, bo w tym roku 12 kolarzy na tysiąckilometrowym dystansie Bałtyk – Bieszczady zeszło poniżej 40 godzin, czyli tyłu, ilu przez wszystkie dotychczasowe edycje, ale to wszystko razem nie jest powodem do obaw.

Po pierwsze, na kilkusetkilometrowych dystansach moc jest ogromnie potrzebna, ale jeździ się przede wszystkim „na charakterze”. Po drugie, dopóki dopisuje zdrowie, kalendarz nie stanowi bariery. Kategorie wiekowe zaczynają się od lat 20 i idą co dziesięć, aż do plus 70! Z podziwem i szacunkiem patrzy na starszego o 30 lat Jana Ambroziaka, kończącego etapy giga na zupełnie niewyczynowym rowerze. Senior w okularach jak spodki i spodniach w kratkę na co dzień przemierza dwustukilometrowe dystanse, handlując dewocjonaliami. Nie jest przy tym najstarszy w pelotonie, supersenior jest bowiem Mieczysław Frankowski, 84-latek, całkiem niezłe radzący sobie na dystansach 70–80 km.

A w zeszłym roku zaczął „na poważnie” startować emerytowany płk Straży Granicznej Jan Doroszkiewicz. W tym sezonie ukończył wszystkie maratony, z Bałtykiem – Bieszczadami włącznie, a nadto przejechał coroczny maraton rowerowy dookoła Polski. Jego uczestnicy pokonali w trzy tygodnie ponad 4 tys. km, a oprócz tego, jadąc przez góry, zaliczyli wszystkie najtrudniejsze podjazdy. W sumie około 20 tys. m przewyższeń. Kolarstwo długodystansowe wyraźnie jest dyscypliną wieku dojrzałego. ■



WOJSKOWE CENTRALNE BIURO KONSTRUKCYJNO - TECHNOLOGICZNE S.A.



PAULINA GLIŃSKA

Błękitna pustynia

Wzruszające, budzące wspomnienia i tak bardzo prawdziwe, mówią o słuchowisku sami żołnierze.

Pierwszy granat eksplodował kilkanaście metrów za plecami Tamiego. Sekundę później z przeciwnej strony odezwały się karabiny maszynowe. [...] Tami rzucił się na ziemię i posłał długą serię. Na oślep. Przed siebie. Nie widział przeciwnika, ale przeciwnik musiał widzieć jego. Ktoś strzelał i to coraz celniej. Głuchy świst przelatujących nad głową pocisków wywołał wściekłość. Sierżant pociągnął za spust beryla. [...] Karabin wyrzygał serię, która zryła ściany. [...] Przeladował i rzucił się do ściany najbliższej kalaty. Schował się za rogiem, kątem oka dostrzegł błysk. Sekundę później usłyszał świst. W twarz uderzyły go wydłubane przez pocisk odłamki muru. [...] Kule przelatywały nad głową jak wściekłe szerszenie”.

To zaledwie fragment jednej ze scen „Błękitnej pustyni”, niemal 4,5-godzinnego audiobooka autorstwa Rafała Molendy, dziennikarza Radia Szczecin. Z XII zmianą Polskiego Kontyngentu Wojskowego spędził pod Hindukuszem dwa miesiące. Towarzyszył wtedy żołnierzom 12 Brygady Zmechanizowanej ze Szczecina, która na cześć armii gen. Józefa Hallera jest nazywana Błękitną.

„Całość powstała na podstawie moich reportaży, które pisałem, gdy byłem w Afganistanie. Wtedy szczecińska brygada straciła dwóch żołnierzy. Informacje stamtąd docierały do kraju jedynie w postaci krótkich, ulotnych migawek. Chciałem, by po misyjnych wydarzeniach pozostał jakiś ślad, by na polskiej liście strat nie było kolejnych bezimiennych indeksów. Chciałem, by zapamiętano »Srokę« i »Ordyna«, z którymi byłem na misji”, tak genezę powstania słuchowiska tłumaczy Rafał Molenda.

Z ŻOŁNIERZAMI NA CO DZIEŃ

To właśnie polegli Łukasz Sroczyński i Paweł Ordyński są, obok kilku innych służących w Dwunastce, głównymi bohaterami słuchowiska. Narratorem w reportażu jest Rafał Molenda. Na misji był świadkiem wielu wydarzeń i towarzyszem żołnierzom podczas ich codziennych zadań. Nie tylko godzinami z nimi rozmawiał, wysłuchiwał, dokumentował wydarzenia, lecz także na własną odpowiedzialność jeździł w teren, na patrol, brał udział w odprawach.

Kpt. Janusz Błaszczak, oficer prasowy 12 BZ, a na XII zmianie także rzecznik PKW, przyznaje, że Błękitna Brygada współpracuje z dziennikarzem od lat. „Żołnierze go znają. Był z nami nie tylko na misji. Wcześniej jeździł na poligony, ćwiczenia. Potem, na misji, czuł się trochę jednym z nas. Nie narzucił sobie żadnych ograniczeń, chciał brać udział we wszystkim, co dotyczy żołnierzy”, mówi kpt. Błaszczak. Zebrane ma-

teriały i nagrania stały się bazą do stworzenia „Błękitnej pustyni”. „Wiedziałem, że Rafał szykuje coś takiego. Już w trakcie prac na audiobookiem miałem okazję wysłuchać ponad trzyminutowego trailera. Spodobał mi się, miałem ciarki na plecach i uznałem, że jeśli całość będzie utrzymana w takiej konwencji, to będzie to naprawdę dobra rzecz. I tak się stało”, mówi kpt. Błaszczak.

Jak przyznaje Rafał Molenda, paca nad audiobookiem nie była pod względem emocjonalnym łatwa. „Takich rzeczy, jak te z misji, nie da się tak po prostu zapomnieć”, mówi. Dla dziennikarza „Błękitna pustynia” stała się pewnego rodzaju spowiedzią, rozliczeniem się z emocjami, które wiążą się z misyjnymi wydarzeniami.

PRAWDZIWE EMOCJE

Wszystkie wydarzenia i postaci są w słuchowisku autentyczne. Prawdziwe są też opisy tragicznych w skutkach akcji bojowych polskich żołnierzy. Jak choćby tej z 2012 roku, gdy podczas patrolu w południowo-zachodniej części prowincji Ghazni Polacy zostali ostrzelani przez nieznaną sprawców. Na skutek wymiany ognia trzech z nich było poszkodowanych. Ranny najciężej Łukasz Sroczyński po kilku miesiącach zmarł w szpitalu w Warszawie. „Nie było mnie w tym kotle, ale wszystko spisałem na podstawie relacji trzech świadków: »Tamiego«, który ratował »Srokę«, ratownika medycznego i dowódcy plutonu. Podobnie jest opisany wybuch ajdika pod jednym z wozów kpt. Bomby. Nic nie zostało tu wymyślone”, mówi Rafał Molenda.

Prawdziwe są też emocje bohaterów. „Słuchałem całego, ponadczterogodzinnego nagrania”, wyjaśnia kpt. Błaszczak. „Jesteśmy pokazani nie jako cyborgi walczące na misji, ale normalni ludzie, którzy mają swoje słabości, którym z daleka od domu towarzyszą obawy, strach czy tęsknota. Bez względu na to, jakim każdy z nas jest twardzielem”. Tylko same głosy nie należą do żołnierzy, bo w audiobooku grają ich aktorzy: Robert Więckiewicz, Mikołaj Roznerski, Łukasz Simlat, Olga Bołądź. Niektóre wypowiedzi autor też nieco wygładził. „Nie chciałem, by było zbyt dużo wulgaryzmów czy spraw intymnych”, przyznaje dziennikarz.

W audiobooku wykorzystano oryginalne nagrania z Afganistanu: gwar wioski, strzały z beryli. Całość doskonale uzupełnia muzyka. „Kompozycją zajął się znakomity Adam Walicki, który przeczytał tekst i starał się wyczuć, jak może brzmieć Afganistan. Uznał, że to w dużej mierze historia o samotności, tęsknocie. Muzyczny efekt końcowy, idealnie oddający atmosferę i nastój towarzyszący poszczególnym scenom, bardzo



"Sroka"



"Ordyn"

Polegli Łukasz Sroczyński i Paweł Ordyński są, obok kilku innych służących w Dwunastce, głównymi bohaterami słuchowiska.



Rafał Molenda (z prawej), dziennikarz Radia Szczecin, autor 4,5-godzinnego audiobooka „Błękitna pustynia”.



Gośćmi honorowymi byli bohaterowie „Błękitnej pustyni” – około 30 żołnierzy z 12 Brygady Zmechanizowanej

pasuje do »Błękitnej pustyni«, tłumaczy Rafał Molenda. „Audiobook nie powstałby też bez Krzysztofa Czeczota, reżysera całości, i Adama Rudawskiego, prezesa radia Szczecin, który kibicował mojej pracy”, dodaje dziennikarz.

WSPOMNIENIA WRÓCIŁY

Oficjalna premiera słuchowiska odbyła się w Filharmonii Szczecińskiej. Fragmenty, przy akompaniamencie orkiestry na żywo i z wykorzystaniem dźwięku przestrzennego, czytał aktor Robert Więckiewicz. „Tak naprawdę nie mamy, a przynajmniej ja nie miałem większego pojęcia, jak to wszystko wygląda. Dopiero ten tekst pokazał mi, że na żołnierzy czeka tam realne zagrożenie. To nie tylko aktorskie zadanie, lecz także emocjonalna podróż do kraju ogarniętego wojną”, tak aktor na antenie szczecińskiego radia opowiadał o pracy nad słuchowiskiem.

Gośćmi honorowymi byli bohaterowie „Błękitnej pustyni” – około 30 żołnierzy z 12 Brygady Zmechanizowanej: dowódcy kompanii, plutonów, szeregowi, którzy brali udział w opisanych wydarzeniach. Na widowni zasiadły też rodziny, znajomi i koledzy poległych.

„Jestem pod olbrzymim wrażeniem. To niesamowite przeżycie dla wszystkich, którzy byli w Afganistanie. Wydawało mi się, że nie da się oddać słowami tego, jak tam jest. Rafał Molenda pokazał, że jednak można. Choć były to tylko słowa, myślę, że wielu z nas, widzów, miało przed oczyma prawdziwe obrazy z Afganistanu”, mówi kpt. Andrzej Pindor ze Szczecina.

St. szer. Łukasz Juźwiak jest jednym z bohaterów „Błękitnej pustyni”. Jako „Juzek” wystąpił w akcji pod Nanni. Został ran-

ny. „Nie zdobyłem się na to, aby pójść na premierę i słuchać tego wszystkiego na żywo. Emocje są jeszcze zbyt świeże. Audiobooka wysłuchałem w domu, z rodziną. Skończyło się łzami i nieprzespaną nocą”, mówi żołnierz. Dodaje, że Molendzie znakomicie udało się oddać nie tylko realizm wydarzeń, lecz także prawdziwe emocje bohaterów. St. szer. Juźwiakowi nie zabrakło szczęścia. Postrzelone ramię zostało wyleczone, ręka jest w pełni sprawna. Żołnierz nadal służy w 2 Batalionie Piechoty Zmotoryzowanej w 12 Brygadzie.

„Po premierze podeszli do mnie żołnierze, ścisnęli mi dłoń i powiedzieli, że zrobiłem świetną robotę. To dla mnie bardzo ważne, bo właśnie ich opinii obawiałem się najbardziej. Cywile z kolei byli wstrząśnięci. Wiele osób niezwiązanych z wojskiem pytało mnie, czy to wszystko wydarzyło się naprawdę. Przedstawiałem im wówczas prawdziwych bohaterów, ludzi z krwi i kości, którzy stali obok nich i to wszystko przeżyli”, opowiada dziennikarz.

Kpt. Błaszczak potwierdza, że cywile w inny sposób niż żołnierze mogą odbierać „Błękitną pustynię”. „Ktoś, kto nigdy na misji nie był, nie zrozumie jak tam jest. Być może jednak audiobook, wiarygodnie przybliżający realia naszej służby poza granicami, a na pewno bardziej przemawiający niż na przykład informacje prasowe czy telewizyjne, zwiększy społeczną świadomość o roli i znaczeniu misji, w których biorą udział polscy żołnierze. Słuchowisko powinno być zaprezentowane szerszej grupie odbiorców cywilnych. Może dzięki temu ludzie zrozumieją, po co tam jeździmy”, zastanawia się kapitan. ■

BOGUSŁAW POLITOWSKI

Monety wdzięczności

Oprócz wiedzy wojskowej, strategii i nowoczesnych technologii w czasie transformacji przejęliśmy od innych armii NATO także zwyczaj tworzenia coinów.

Podczas I wojny światowej pewien francuski pilot, chcąc wręczyć kolegom z eskadry coś na pamiątkę, kazał wybić serię monet z brązu platerowanych złotem, które przeznaczył właśnie na ten cel. Po jakimś czasie jeden z posiadaczy takiej monety został zestrzelony w walce powietrznej. Jako że był bardzo odważny, wkrótce uciekł z obozu jenieckiego i przedarł się do swoich. Niestety, francuscy żołnierze nie uwierzyli w jego historię, wzięli go za szpiega i chcieli rozstrzelać. Na krótko przed egzekucją oficer wyjął otrzymaną kiedyś od kolegi pamiątkową monetę i tym udowodnił, że nie jest niemieckim agentem.

Historia ta nie została potwierdzona oficjalnie. Pewne jest jednak, że od I wojny światowej wielu francuskich oficerów wybijało osobiste monety. Zwyczaj ten wkrótce przejęli wysocy rangą dowódcy innych armii świata. Coin (z angielskiego moneta) stał się osobistą walutą, którą wręczali podwładnym w dowód uznania i podziękowania za dobrą służbę.

POLSKIE COINY

Według st. chor. Damiana Mrozka z 22 Karpackiego Batalionu Piechoty Górskiej z Kłodzka pierwszy medal osobisty w Wojsku Polskim wybił dla siebie w 1997 roku ówczesny szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego gen. broni Henryk Szumski. „Od tego momentu tworzenie coinów i obdarowywanie nimi stało się w naszej armii dobrym zwyczajem”, mówi chorąży, który jest posiadaczem największej w kraju ich kolekcji.

Obecnie liczy ona ponad 1180 różnego rodzaju medali osobistych. Jest to potężny zbiór, wzięwszy pod uwagę, że według znawców tematu w naszych siłach zbrojnych wyprodukowano dotąd około 1400 coinów.

Chor. Mrozek kataloguje swoje zbiory w siedemnastu grupach, a za najważniejsze uważa medale osobiste (często z podziałem na złote, srebrne i brązowe), medale upamiętniające jednostki wojskowe, okolicznościowe oraz coin-y wąskich grup żołnierskich, na przykład uczestników poszczególnych zmian misji zagranicznych. Te ostatnie, szczególnie dotyczące wojsk specjalnych i misji pokojowych, są najcenniejsze. Niektóre są numerowane, wyprodukowane w określonej liczbie, a czasami mają nawet inicjały właściciela. Coraz trudniej jest je zdobyć, bo bardzo często są robione poza granicami naszego państwa

Jak mówi chorąży, na co dzień pełniący w swojej jednostce funkcję pomocnika dowódcy do spraw podoficerów, kolekcjo-

nowanie coinów nie ma nic wspólnego z medalierstwem. Osobiste monety, które zbiera, mają bowiem średnicę od 3,8 do 5 cm. Wszystkie większe nie są coinami, lecz zwykłymi medalami.

SYMBOLICZNE WYRÓŻNIENIE

Od czasu gdy pan Ryszard Welgryn z częstochowskiej firmy Artmedal na prośbę pracownika sekretariatu gen. Szumskiego, nieżyjącego już st. chor. sztab. Andrzeja Jędrzejewskiego, wyprodukował pierwszy wojskowy coin, osobiste monety bije wiele osób. Zamawiają je ministrowie, szefowie Sztabu Generalnego WP, dowódcy. Z czasem zwyczaj przejął też inne służby mundurowe, a także przedstawiciele cywilnej administracji państwowej, szefowie korporacji przemysłowych, a nawet pracownicy wyższych uczelni.

Coiny stały się z biegiem lat symbolem pełnionej funkcji. Rodzajem wyróżnienia, które właściciel może przyznać w każdych warunkach, na przykład na poligonie czy w samolocie, bez żadnych oficjalnych zbiorów i formalności. Osobiste monety są dowodem pozycji zawodowej ich właściciela. „Mam w kolekcji po kilka coinów tych samych żołnierzy. Niektóre wybili jako dowódcy jednostek, następne – gdy obejmowali kolejne ważne stanowiska. Każdy medal upamiętniał jakiś etap ich życia, służby, awansów i kariery”, opowiada chor. Mrozek.

Kolekcjonowaniem wojskowych coinów st. chor. Damian Mrozek zajął się w 1998 ro-

ST. CHOR. **DAMIAN MROZEK** SŁUŻBĘ W WOJSKU ROZPOCZĄŁ W MARCU 1997 ROKU.

Najpierw trafił do Batalionu Dowodzenia w Skwierzynie. Od lipca 1997 roku pracował w sekretariacie szefa Sztabu Generalnego WP, a w latach 2005–2008 w Polskim Przedstawicielstwie Wojskowym w Kwaterze Głównej NATO w Brukseli. W październiku 2009 roku przeniósł się w rodzinne strony do 22 Karpackiego Batalionu Piechoty Górskiej do Kłodzka. Obecnie pełni funkcję pomocnika do spraw podoficerów. Oprócz kolekcjonowania coinów dużo czasu poświęca pracy w przydomowym ogrodzie. Jest żonaty. Ma dwoje dzieci. Wierzy, że kiedyś syn Eryk przejmie jego kolekcję i będzie ją systematycznie powiększał.



ku. Pracował wówczas w sekretariacie szefa Sztabu Generalnego WP. „Gdy od gen. Szumskiego otrzymałem na pamiątkę pierwszy coin, wrzuciłem go do ozdobnej skrzyneczki. Później dostawałem następne, od innych generałów i pułkowników. Pewnego dnia, gdy zobaczyłem, że mam około stu sztuk, postanowiłem na poważnie zająć się ich zbieraniem”, mówi kolekcjoner.

Nowe medale dostaje od kolegów adiutantów poszczególnych rodzajów wojsk i instytucji MON. Czasami zwraca się do instytucji lub konkretnych osób, które mają swoje coiny, z prośbą

o przekazanie ich do kolekcji. Bywa, że medale przekazują mu sami

właściciele, ponieważ chcą, aby znalazły się one w zbiorze, który jest największy w kraju.

KODEKS KOLEKCJONERA

Jak mówi chor. Mrozek, wszyscy liczący się kolekcjonerzy wojskowych coinów utrzymują ze sobą kontakty. Zbieraczy, którzy mają w kolekcji powyżej 300 egzemplarzy, zna dziesięć. Pod względem liczby następny kolekcjoner za nim ma w zbiorach ponad 700 coinów. Mimo że nie są zrzeszeni w żadnej organizacji czy związku, mają niepisany kodeks honorowy. Gdy któryś z nich znajdzie gdzieś na aukcji ciekawy medal i pierwszy zgłosi kwotę zakupu, inni odpuszczają i nie podbijają ceny.

Zbiory st. chor. Damiana Mrozka nie są zamknięte w domowym sejfie. Wręcz przeciwnie, podoficer stara się je eksponować. Kiedy tylko dostaje jakieś zaproszenie, zawozi kolekcję w różne miejsca. Niedawno była dostępna w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Lądowych, później w 10 Wrocławskim Pułku Dowodzenia przy okazji święta uczelni i jednostki, a także w Lublińcu podczas 18. Biegu Przelajowego o Nóż Komandosa. Przez cały czas prezentuje ją także na swojej stronie internetowej: www.coin-wojskowy.pl. ■



ARCH. DAMIANA MROZKA



MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

W pierścieniu śmierci

Groby wokół murów Rotundy to w większości bezimienne mogiły.

Zamojska Rotunda jest symbolem tragedii II wojny światowej. Ta budowla w kształcie pierścienia ma ponad 50 m średnicy oraz mury – wysokie na 10 m i grube na 7 m. Zwiedza ją rocznie około 23 tys. osób.

OFIARY ROTUNDY

Budynek powstał w latach 1825–1831 na otoczonej bagnami wyspie, jako działobitnia. Rotunda miała odgrywać strategiczną rolę – wzmocnić miasto od strony południowej. Stanowiła część systemu obronnego dawnej Twierdzy Zamość. Gdy w 1866 roku car Aleksander II rozkazał zlikwidować twierdzę, w Rotundzie urządzono skład amunicji, a nazwę zmieniono na „prochownia”. Obiekt ten przejęły w dwudziestoleciu międzywojennym stacjonujące w Zamościu pułki (9 Pułk Piechoty Legionów i 3 Pułk Artylerii Lekkiej). Po żołnierzach, którzy pełnili wartę przy prochowni, pozostały wyryte na ceglach, w języku polskim i rosyjskim, nazwiska oraz daty.

W latach 1940–1944 w Rotundzie mieściło się więzienie zamojskiej placówki gestapo. Na tamtejszym terenie znajdował się też obóz przejściowy. Tam również wykonywano egzekucje. Wielu aresztantów umierało w wyniku tortur, część więźniów naziści wywieźli do obozów koncentracyjnych. Dostępu do gmachu broniły mury i fosa, dodatkowo Niemców ogrodzili go drutem kolczastym oraz pierścieniem posterunków wartowniczych.

Pierwszą ofiarą w Rotundzie był Aleksander Szeptycki, ziemianin, który zmarł w czerwcu 1940 roku. „Naoczni świadkowie opowiadali mi również, jak kazano biec hr. Aleksandrowi Szeptyckiemu, przeszło 70-letniemu starcowi, właścicielowi Łabuń pod Zamościem”, pisał w „Dzienniku z lat okupacji” Zygmunt Klukowski. „Gdy z wielkim trudem przebył on jakoś pierwsze okrażenie, kazali mu wejść do celi, zdjąć z siebie marynarkę, zostawić rzeczy i biec dalej. Starzec ponownie wyszedł na bieżnię i próbował biec, lecz po kilkunastu metrach padł martwy na ziemię”.

PONURA STATYSTYKA

Podczas II wojny światowej Niemcy wysiedlili z Zamojszczyzny 297 wiosek, około 110 tys. ludności, w tym 16 tys. do KL Majdanka, 2 tys. do KL Auschwitz, innych skierowano na roboty do Rzeszy, wysiedlono ponad 30 tys. dzieci, w tym 4,5 tys. wywieziono do Niemiec w celu germanizacji.

W latach 1943–1944 w Rotundzie odbywały się masowe egzekucje, między innymi w ramach akcji mającej na celu wyniszczenie polskiej inteligencji. Przywożono tu mieszkańców z czterech powiatów: zamojskiego, biłgorajskiego, hrubieszowskiego, tomaszowskiego. Dla zatarcia śladów zbrodni zwłoki palono, a prochy ofiar zrzucano do fosy otaczającej Rotundę.

Inż. Adam Klimek zeznał przed Prokuratorem Sądu Okręgowego w Zamościu: „W roku 1945 w czasie wykonywania fundamentu pod urnę na prochy (w środku dziedzińca) stwierdziłem, że ziemia w tym miejscu była przesycona do głębokości około 1,5 metra tłuszczem ludzkim o niesamowitej woni”. Dziś na środku dziedzińca, w miejscu, gdzie płonął stos stale podsycany ciałami pomordowanych, przypomina o tej zbrodni symboliczna płyta.

W lipcu 1944 roku, po odejściu Niemców z Zamościa, grupa mieszkańców miasta postanowiła udokumentować przerażającą spuściznę po okupacji niemieckiej, a jednocześnie oddać hołd i cześć pomordowanym. Na wewnętrznej stronie Rotundy wmurowano w latach 1945–1947 kamienne cegiełki z nazwiskami osób z Zamościa i okolic, które zginęły w więzieniach i obozach niemieckich. Uporządkowane cele i cmentarz udośćniono w kwietniu 1947 roku. Od 1947 roku Rotunda zamojska jest Muzeum Martyrologii Zamojszczyzny.

CELE ŚMIERCI

Dziś do Rotundy prowadzi otoczona drzewami alejka, która kończy się zachowaną z lat wojny bramą z niemieckim napisem: „Gefangenen Durchgangslager Sicherheitspol” (jeniecki obóz przejściowy policji bezpieczeństwa). W 1940 roku był również napis w języku polskim „Tymczasowy obóz internowanych przez policję ze względu na bezpieczeństwo publiczne”. W Rotundzie znajduje się 19 niewielkich, połączonych cel – wcześniej było ich 20, ale jedna z nich, z numerem I, została zniszczona podczas nalotu niemieckiego we wrześniu 1939 roku. Na jej miejscu znajdują się płyta upamiętniająca egzekucje więźniów oraz brzozyowy krzyż z napisem „Katyń”.

W celach od numeru III do XV umieszczono tablice informacyjne i epitafia dla uczczenia męczeńskiej śmierci wielu Polaków, poświęcone poszczególnym osobom lub grupom społecznym. Są więc między innymi cele Wołnyków, harcerzy, nauczycieli, więźniów Majdanka i Oświęcimia. W niektórych pomieszczeniach znajdują się tablice z nazwiskami pomordowanych (na przykład 36 kupców zamojskich, 36 harcerzy, 90 nauczycieli). Większość ofiar nie ma własnych mogił, dlatego wzniesiono te symboliczne pomniki pamięci.

W celach od numeru XVI do XX umieszczono tablice z opisem historii Zamościa i Zamojszczyzny w latach 1939–1944. Dołączone zdjęcia, afisze, ogłoszenia, plakaty, odezwy są kopiami oryginałów przechowywanych w zbiorach Muzeum Okręgowego w Zamościu. Jedna z cel została po-

święcona dzieciom pacyfikowanej Zamojszczyzny wywiezionym do Rzeszy albo zamordowanym w obozach.

Szacuje się, że przez więzienie Rotundy przeszło ponad 50 tys. osób, około 8 tys. z nich zginęło. Za te zbrodnie nikt nie został osądzony.

GROBY BEZ NAZWISK

Po zakończeniu działań wojennych i wyzwoleniu w 1944 roku miasta spod okupacji niemieckiej wokół murów Rotundy oraz po obu stronach drogi prowadzącej do jej dziedzińca urządzono cmentarz. Złożono na nim szczątki pomordowanych tu ludzi, a także innych ofiar II wojny światowej.

Cmentarz został podzielony na kwatery. Po prawej stronie grobli znajdują się kwatery żołnierzy, którzy polegli w walkach z Niemcami we wrześniu 1939, oraz żołnierzy Armii Krajowej (pochowani zostali tu m.in. członkowie z pierwszego samodzielnego oddziału leśnego por. Piotra Złomańca ps. „Podlaski”, którzy polegli w bitwie pod Lasowcami 4 lutego 1943 roku).

Wokół murów są groby ludzi, którzy zginęli w Rotundzie oraz na terenie miasta. Po lewej stronie znajdują się mogiły ofiar ludobójstwa hitlerowskiego – spoczywają w 487 mogiłach zbiorowych. Tylko nielicznych udało się zidentyfikować.

W Kwaterze Żołnierzy Armii Czerwonej znaleźli wieczny odpoczynek radzieccy partyzanci oddziału „Miszki Tatar” (Michała Atamanowa), jeńcy wojenni z obozów jenieckich z Zamościa rozstrzelani w Rotundzie, a także żołnierze Armii Czerwonej polegli w walkach na Zamojszczyźnie w lipcu 1944 roku. Wśród mogił wyróżnia się pomnik gen. Siergieja Ogurcowa, dowódcy 10 Dywizji Pancerniej, który uciekł z obozu jenieckiego i walczył w oddziale partyzanckim (zginął w 1942 roku koło Krasnobrodu).

W Kwaterze Ofiar Ludności Żydowskiej pochowano szczątki 450 osób ekshumowanych w 1958 roku z okolicznych miejsc kaźni. Mogiła Ofiar Ludobójstwa Stalinowskiego kryje szczątki 20 nieznanymi osobami ekshumowanych w 1990 roku ze zbiorowego grobu w lesie koło Jacni.

Większość to mogiły zbiorowe, bezimienne. Na grobli koło Rotundy jest wmurowana tablica upamiętniająca miejsce wysypywania ludzkich prochów.

Dziś w Rotundzie są organizowane obchody rocznicowe oraz związane ze świętami państwowymi i kościelnymi. „Uroczystości państwowe odbywają się 1 i 17 września, a w czerwcu upamiętniamy mordy na Wołyniu. W Niedzielę Palmową na Rotundzie kończy się Droga Krzyżowa, a 2 listopada, w Zadzuszki, jest celebrowana msza święta w intencji wszystkich zmarłych żołnierzy wojen, powstań i konfliktów zbrojnych”, mówi Maria Rzeźniak z muzeum zamojskiego. ■

Korzystałam z publikacji „Rotunda Zamojska” Marii Rzeźniak oraz „Zamość i Roztocze” wydanej pod patronatem prezydenta miasta Zamość.

POŻEGNANIA

Z ogromnym żalem zawiadamiamy o śmierci
naszego kolegi
st. chor. sztab. Marka Leśniewskiego,
członka Koła nr 15 Związku Żołnierzy Wojska Polskiego.

Rodzinie Zmarłego
wyrazy głębokiego współczucia
składają Zarząd oraz koledzy z koła.

Panu płk. Krzysztofowi Salamonowi
i Jego Rodzinie

wyrazy żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca
składają dyrektor, żołnierze i pracownicy
Departamentu Strategii i Planowania Obronnego
Ministerstwa Obrony Narodowej.

„Śmierć boli nie tych, którzy odchodzą,
lecz tych, co wśród żywych pozostają”.

Lucynce i córkom Agnieszce i Kindze
wyrazy głębokiego współczucia i szczerą kondolencję
z powodu śmierci

Męża i Taty
gen. bryg. Ryszarda Frydrycha
składają Maryla i Tomek Blechmanowie.

Panu płk. dr. hab. inż. Ryszardowi
Niedźwieckiemu,
dyrektorowi Instytutu Stosunków Międzynarodowych
Akademii Obrony Narodowej,
oraz Jego Rodzinie
wyrazy głębokiego żalu i współczucia z powodu śmierci

Brata
składają pracownicy i studenci
Instytutu Stosunków Międzynarodowych AON.

Panu st. chor. sztab. Piotrowi Przybyłowi
oraz Jego Rodzinie i Bliskim
wyrazy szczerego oraz głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca
składają mąż zaufania Korpusu Podoficerów
Wojsk Lądowych st. chor. sztab. Piotr Maciejewski
i podoficerowie Wojsk Lądowych.

Panu st. sierż. Jerzemu Kornasiowi
wyrazy współczucia i szczerą kondolencję
z powodu śmierci

Matki
składają komendant, kadra zawodowa i pracownicy
5 Wojskowego Szpitala Klinicznego z Polikliniką
w Krakowie.

„Śmierć nie jest kresem naszego istnienia.
Żyjemy w naszych dzieciach i następnych pokoleniach.
Albowiem to dalej my”.

Płk. Krzysztofowi Salamonowi
i całej Rodzinie

wyrazy głębokiego współczucia
oraz słowa otuchy z powodu śmierci

Taty
składają przyjaciele z reprezentacji Urzędu Ministra
Obrony Narodowej w piłce siatkowej.

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość, że
19 listopada 2014 roku odszedł na wieczną wartę
gen. bryg. Stanisław Stańko,
wieloletni oficer służby inżynieryjno-budowlanej
i służb logistycznych, członek Klubu Generałów WP.
Wielce poważany i ceniony przez przełożonych
i podwładnych.
Cześć Jego Pamięci!

Rodzinie oraz Najbliższym
wyrazy najgłębszego współczucia składają
członkowie Klubu Generałów WP.

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przesyłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl
z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 22 684 52 13,
22 684 52 30, 22 684 02 27; CA MON 845 213, 845 230, 840 227

POŻEGNANIA

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość
o śmierci

**płk. dypl. w st. spocz. Mikołaja
Karaczewskiego,**

długoletniego oficera Departamentu Kontroli,
który służbę wojskową
zakończył na stanowisku zastępcy szefa
Oddziału Planowania, Koordynacji i Analiz.

Łącząc się w bólu i cierpieniu z Rodziną
składamy

Jego Najbliższym
serdeczne wyrazy współczucia.

Dyrektor, kadra i pracownicy Departamentu Kontroli
Ministerstwa Obrony Narodowej

Pani sierż. Ewie Trąbińskiej
wyrazy współczucia z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca i żołnierze
2 Wojskowego Szpitala Polowego we Wrocławiu.

Panu ppłk. Dariuszowi Pawelcowi
oraz **Jego Rodzinie**

wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają dowództwo, kadra i pracownicy wojska
JW nr 2286.

Pani chor. Bogusławie Mikorskiej
oraz **Jej Rodzinie i Bliskim**

z powodu śmierci

Matki

wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
32 Wieliszewskiego Dywizjonu Rakietowego
Obrony Powietrznej.

Panu komandorowi porucznikowi
Waldemarowi Nowickiemu

oraz **Jego Rodzinie i Bliskim**

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca bazy
oraz żołnierze i pracownicy wojska
44 Kaszubsko-Darłowskiej Bazy Lotnictwa Morskiego.

Wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia

st. chor. Marcinowi Marosowi

z powodu śmierci

Mamy

składają inspektor, kadra i pracownicy
Inspektoratu Rodzajów Wojsk
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Panu pułkownikowi Arturowi
Benedykciukowi

wyrazy głębokiego żalu i współczucia z powodu śmierci

Matki

składają dyrekcja, żołnierze i pracownicy
Departamentu Ochrony Informacji Niejawnych
Ministerstwa Obrony Narodowej.

„Umarłych wieczność dotąd trwa,
dokąd pamięcią im się płaci”.

27 listopada 2013 roku odszedł na wieczną wartę

płk Henryk Piekarski.

Znaliśmy się, pracowaliśmy razem, spotykaliśmy się
codziennie. Byliśmy z Nim na dobre i na złe, nierzadko
serdecznie się przyjaźniliśmy. Nieubłagany los wyrwał
Pułkownika z żołnierskiego szeregu. Pozostał smutek, żal,
zaduma i nasza wdzięczna pamięć.

Żołnierze i pracownicy byłej Delegatury Departamentu
Kontroli w Krakowie

Panu pułkownikowi rezerwy
Zbigniewowi Pluskocie,

starszemu specjalście w Oddziale Kontroli Rozbrojenia
Departamentu Polityki Bezpieczeństwa
Międzynarodowego MON,

oraz **Jego Rodzinie**

wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Teściowej

składają szef i koledzy z Oddziału Kontroli Rozbrojenia.

POŻEGNANIA

„Nie umiera ten, kto pozostaje w sercach bliskich”.

Wyrazy głębokiego współczucia

**Panu ppłk. rez. Zbigniewowi
Przewoźnemu**

w trudnych chwilach po śmierci

Brata

składają szef, żołnierze i pracownicy wojska
Delegatury Departamentu Kontroli w Bydgoszczy.

**Panu kontradmirałowi Marianowi
Ambroziakowi,**

inspektorowi Marynarki Wojennej,
wyrazy szczerego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają kadra i pracownicy Inspektoratu Marynarki
Wojennej Dowództwa Generalnego Sił Zbrojnych.

„Można odejść na zawsze, by stale być blisko”.

Ks. Jan Twardowski

**Rodzinie i Najbliższym
ppłk. rez. Henryka Stołowskiego**

wyrazy szczerego współczucia
z powodu śmierci

Teścia

składają szef, żołnierze i pracownicy wojska
Delegatury Departamentu Kontroli w Bydgoszczy.

**Panu kontradmirałowi Marianowi
Ambroziakowi**

wyrazy szczerego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca, żołnierze oraz pracownicy
Brygady Lotnictwa Marynarki Wojennej.

**Panu kontradmirałowi Marianowi
Ambroziakowi,**

inspektorowi Marynarki Wojennej,
wyrazy szczerego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają kadra i pracownicy 3 Flotylli Okrętów.

Inspektorowi Marynarki Wojennej

**Panu kontradmirałowi Marianowi
Ambroziakowi**

oraz Jego Rodzinie i Najbliższym
wyrazy głębokiego współczucia i szczerę kondolencje
z powodu śmierci

Matki

składają żołnierze i pracownicy wojska
Biura Hydrograficznego Marynarki Wojennej.

Wyrazy współczucia i szczerę kondolencje

**Panu kontradmirałowi Marianowi
Ambroziakowi**

z powodu śmierci

Mamy Haliny

składają komendant, żołnierze i pracownicy
Komendy Portu Wojennego Gdynia.

Wyrazy szczerego współczucia oraz słowa wsparcia

**Panu kontradmirałowi Marianowi
Ambroziakowi**

oraz Jego Najbliższym
z powodu śmierci

Matki

składają dowódca oraz kadra i pracownicy dowództwa
8 Flotylli Obrony Wybrzeża.

**Panu majorowi Maciejowi
Kwaczyńskiemu**

oraz Jego Rodzinie i Najbliższym
wyrazy głębokiego współczucia i szczerę żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają szef, kadra i pracownicy
Centrum Operacyjnego Ministra Obrony Narodowej.

POŻEGNANIA

Płk. Markowi Oleszczukowi,
szefowi Oddziału Wychowania Fizycznego i Sportu
w Dowództwie Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych,
z powodu śmierci

Mamy

wyrazy szczerego i głębokiego współczucia
składa inspektor szkolenia
gen. bryg. Andrzej Danielewski
wraz z żołnierzami i pracownikami wojska
Inspektoratu Szkolenia Dowództwa Generalnego RSZ.

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci
st. chor. sztab. mar. Gustawa Pawła.

Wyrazy serdecznego współczucia

Rodzinie i Bliskim

składa dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych
z żołnierzami i pracownikami wojska
Dowództwa Generalnego RSZ.

Panu płk. Mirosławowi Jaroszewskiemu
oraz Jego Rodzinie

wyrazy głębokiego współczucia oraz szczerę kondolencję
z powodu śmierci

Teściowej

składają sędziowie i pracownicy
Wojskowego Sądu Okręgowego w Warszawie.

Panu Arturowi Sucheckiemu

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Taty

składają inspektor i Wydział Koordynacyjny
Inspektoratu Rodzajów Wojsk
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Panu ppłk. Jarosławowi Brudniakowi

wyrazy żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Teściowej

składają szef, kadra i pracownicy wojska
Zarządu Planowania Operacyjnego P3
Sztabu Generalnego WP.

Pani sierż. Aleksandrze Wojcieszek

wyrazy współczucia z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca i żołnierze
2 Wojskowego Szpitala Polowego we Wrocławiu.

Panu ppłk. Wiesławowi Krasowi

wyrazy głębokiego współczucia oraz najszczerze
kondolencje z powodu śmierci

Mamy

składają koleżanki i koledzy z Dowództwa Operacyjnego
Rodzajów Sił Zbrojnych.

Pani Janinie Liniewicz

wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają koleżanki i koledzy z pracy.

Serdeczne podziękowania
wszystkim, którzy w tak bolesnych dla nas chwilach
dzielili z nami smutek i żal,
okazali wiele serca i życzliwości oraz uczestniczyli
we mszy św. i ceremonii pogrzebowej

śp. płk. dypl. Andrzeja Szerszyńskiego
oraz

gen. bryg. Janowi Gabrysiowi, gen. bryg. Andrzejowi
Lewandowskiemu, gen. bryg. Stefanowi Mordaczowi
za ogromną pomoc w przygotowaniu uroczystości
pogrzebowych

składają żona, córka z rodziną oraz syn z rodziną.

Panu pułkownikowi
Markowi Oleszczukowi

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają komendant, żołnierze i pracownicy
Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych
im. Hetmana Polnego Koronnego Stefana Czarnieckiego.

POŻEGNANIA

Panu ppłk. Witoldowi Kostrzewie
oraz Jego Rodzinie i Najbliższym

wyrazy współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają szef, kadra i pracownicy
Zespołu do spraw Profesjonalizacji Sił Zbrojnych RP.

Panu pułkownikowi Andrzejowi
Pochopieniowi

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
15 Sieradzkiej Brygady Wsparcia Dowodzenia.

Panu kontradmirałowi Marianowi
Ambroziakowi

oraz Jego Rodzinie i Bliskim,

najszczerze wyrazy współczucia,
wsparcia i otuchy w trudnych chwilach
z powodu śmierci

Matki

składają dowódca, kadra i pracownicy wojska
Centrum Operacji Morskich – Dowództwa Komponentu
Morskiego.

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

ppłk. w st. spocz. Zdzisława Maliny,
organizatora służby obserwacyjno-meldunkowej
w Dowództwie Obrony Przeciwlotniczej,
pioniera i pierwszego szefa wojsk radiotechnicznych.

Wyrazy serdecznego współczucia składa

Żonie i Bliskim

dowódca generalny gen. broni pil. Lech Majewski
wraz z żołnierzami i pracownikami wojska
Dowództwa Generalnego RSZ.

Z wielkim żalem
oraz w poczuciu niepowetowanej straty
przyjąłem wiadomość o śmierci
pierwszego w historii
szefa wojsk radiotechnicznych,

pułkownika w stanie spoczynku
Zdzisława Maliny.

W tej bolesnej chwili

Szanownej Małżonce, Rodzinie,
przyjaciołom i znajomym
Pana Pułkownika

składam wyrazy głębokiego żalu i współczucia oraz
najszczerze kondolencje.

Dowódca 3 Wrocławskiej Brygady Radiotechnicznej
gen. bryg. Wojciech Lewicki
wraz z żołnierzami i pracownikami wojska

Panu pułkownikowi Markowi Packowi

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają dyrektor, oficerowie oraz pracownicy wojska
Departamentu Spraw Socjalnych MON.

Panu ppłk. Mariuszowi Kujawie
oraz Jego Rodzinie i Najbliższym

wyrazy żalu i głębokiego współczucia
oraz najszczerze kondolencje
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Z wielkim smutkiem zawiadamiam o śmierci
mojej ukochanej
żony Wandy.

Chorąży rezerwy Zygmunt Łęgowski

Pogrążonym w żalobie i smutku

Żonie i Rodzinie Zmarłego

gen. bryg. Ryszarda Frydrycha

serdeczne wyrazy współczucia
składają dyrekcja i pracownicy
Instytutu Przemysłu Organicznego.



ANDRZEJ
FAŁARA

Córka Marszałka

**JADWIGA PIŁSUDSKA-
JARACZEWSKA ZMARŁA**
16 LISTOPADA 2014 ROKU
W WARSZAWIE W WIEKU
94 LAT.

Jeśli ktoś myśli, że celebryci to wymysł naszych czasów, jest w błędzie. Wystarczy przejrzeć prasę okresu międzywojennego. W II Rzeczypospolitej na celowniku redaktorów rubryk towarzyskich znajdowały się na przykład córki Józefa Piłsudskiego. Nie znaczy to, że ówczesni paparazzi kryli się w liściach wysokich drzew wokół dworku Milusin w Sulejówku i czekali na pojawienie którejś z panien. Wtedy były to raczej umówione sesje zdjęciowo-tekstowe, dziś powiedzielibyśmy – ustawki. Wynikało z tych przekazów niezbicie, że córki Marszałka są dobrze wychowane i ponad wszystko kochają ojczyznę.

Z biegiem czasu informacje stały się bardziej konkretne. Młodsza z panien, Jadwiga, wykazywała bowiem duże zainteresowanie lataniem. Najpierw budowała modele samolotów, a potem zapisała się na kurs szybowcowy. Tuż przed wybuchem II wojny światowej przeleciała na szybowcu Delfin z Bezmiechowej Górnej w Bieszczadach do Łukowa na Podlasiu, pokonując trasę 270 km w pięć godzin. Jak na 19-letnią dziewczynę było to osiągnięcie znakomite. Marszałek nie mógł się cieszyć wyczynem młodszej córki – od czterech lat już nie żył.

W 1940 roku Jadwiga, wraz z matką i starszą siostrą Wandą, znalazła się w Anglii. Obsesja latania wcale nie rozplynęła się w londyńskiej mgle. Marszałkówna próbowała dostać się do cywilnej organizacji lotniczej ATA, zajmującej się doprowadzaniem nowych lub wyremontowanych samolotów z fabryk oraz warsztatów na lotniska wojskowe. Brytyjczycy długo odprawiali ją z kwitkiem, ale w końcu zmiękli. Trzeba wiedzieć, że w ATA działało 17 polskich pilotów, w tym trzy kobiety. Jedną z nich była właśnie Jadwiga Piłsudska, która odbyła setki lotów, często niebezpiecznych, bez użycia radia i oznaczonych map. Jej ulubioną maszyną był Spitfire. Otrzymała stopień porucznika, została odznaczona brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczami.

Lotniczego ciągu dalszego nie było. Pytana, dlaczego po zakończeniu wojny nie kontynuowała swojej wielkiej pasji, Jadwiga Piłsudska odpowiadała: „Wtedy można było latać już tylko na własny rachunek. A to była kosztowna rozrywka, na którą finanse nie pozwalały”. Ta odpowiedź nie wszystko wyjaśnia. Latanie jako rozrywka na pewno było kosztowne, ale jako praca? Dla firm cywilnych albo dla wojska? Wszak lotnictwo stało się jedną z najbardziej dynamicznie rozwijających się wówczas dziedzin.

Po zakończeniu wojny pani Jadwiga, już wtedy po mężu Jaraczewska, skończyła architekturę. Została projektantką mebli. „Firma Ikea projektuje dziś stoły niemal identyczne jak mój projekt z 1955 roku”, mówiła w którymś z wywiadów. W 1990 roku wróciła do Polski. Obie siostry Piłsudskie otrzymały wtedy polski paszport. Mieszkały kilkadziesiąt lat w Wielkiej Brytanii, ale nie przyjęły obywatelstwa tego kraju. Zachowały status uchodźcy politycznego. Tak zwany paszport nansenowski umożliwiał im podróżowanie do wszystkich krajów świata. Except Poland – z wyjątkiem Polski. ■



kadr

PATRONAT POLSKI ZBROJNEJ

| AFGANISTAN |

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

MIGAWKI SPOD HINDUKUSZU

Zdjęcia przedstawiające codzienność polskich żołnierzy podczas służby w Afganistanie, migawki z patrolu i wojskowych baz. Złapana w kadrze eksplozja miny i atak na polski konwój.

Takie momenty utrwalili na zdjęciach reporterzy wojenni Marcin Ogdowski i Marcin Wójcik.



Patrol na drodze Highway 1. Okolice bazy Warrior, marzec 2011 roku. W działaniach patrolowych na „hajfeju” nie chodziło tylko o obecność na drodze. Żołnierze stawiali także check-pointy, na których kontrolowali pojazdy.



MARCIN WÓJCIK



Kiedy dziennikarze byli w Afganistanie, najbardziej interesowali się codzienną służbą żołnierzy z oddziałów bojowych. To właśnie z nimi dzielili emocje podczas akcji, strach przed śmiercią i żałobę po stracie kolegów. Towarzyszące im uczucia i wspomnienia utrwaliли na fotografiach. To obrazy dokumentujące codzienność polskich żołnierzy służących pod Hindukuszem.

Pośród nich są zdjęcia przedstawiające między innymi polskiego snajpera w okolicy bazy Warrior, patrol na drodze Highway 1, rutynowe przeszukania Afgańczyków, polską flagę na tle Hindukuszu, wojskowych rozdających pomoc humanitarną, a także atak na polski konwój i wybuch miny pułapki. „Na naszych zdjęciach są Afgańczycy i surowe piękno tego kraju,

MARCIN WÓJCIK



Wóz MRAP o zwiększonej odporności na wybuch miny. Okolice miasta Ghazni, październik 2013 roku

**MARCIN
OGDOWSKI**

**MARCIN
WÓJCIK**

Afgańscy „złomiarze” zbierający luski pozostałe po polskich „fajertestach”. Prowincja Ghazni, październik 2013 roku



Żołnierz ochraniający pracowników PRT, przekazujących lekarstwa i sprzęt medyczny. Szpital miejski, Ghazni, październik 2013 roku

ale to wszystko tło. Bohaterami są żołnierze przedstawieni tak, by odbiorca miał jak najpełniejszy obraz polskiego zaangażowania w afgański konflikt”, mówią korespondenci wojenni.

„Przeszukaliśmy swoje archiwa i okazało się, że mamy aż 20 tys. fotografii”, mówi Marcin Ogdowski i dodaje: „Przez kilka tygodni selekcjonowaliśmy materiał, tak by ostatecznie wybrać te najlepsze ujęcia”. Widzowie nie znajdą tam przemocy i krwi. „Mamy zdjęcia, które powstały tuż po wybuchach min, przedstawiające martwe lub okaleczone osoby. Nie chcieliśmy jednak eksponować takich obrazów, pokazywać rozbitych pojazdów, rannych i poległych”, dodaje Marcin Wójcik.

Na wystawie znalazło się 40 fotografii. Do końca 2014 roku efekty pracy reporterów można było oglądać w Krakowie. Teraz zostaną zaprezentowane w Warszawie. Uzupełnieniem wystawy jest album „Polski Afganistan” wydawnictwa War Book. Zdjęciom towarzyszą ciekawe odautorskie opisy i komentarze. ■

MARCIN OGDOWSKI



kadr



Sekcja strzelców wyborowych. Prowincja Ghazni w 2013 roku

MARCIN WÓJCIK



Większość żołnierzy przyznaje, że z Afganistanu zapamięta przede wszystkim dzieci. Ghazni, październik 2013 roku

MARCIN OGÓDOWSKI



Logiści z bazy Warrior w drodze na posterunek obserwacyjny na tak zwanej górze szpiega. Marzec 2011 roku

MARCIN WÓJCIK

**OSIEM RAZY ODWIEDZILI
POLSKICH ŻOŁNIERZY
W AFGANISTANIE. PRZYWIEZLI
STAMTĄD 20 TYS. ZDJĘĆ.
113 Z NICH MOŻNA
OBEJRZEĆ W ALBUMIE**





POD NASZYM PATRONATEM

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Uchwycone w kadrze

OPFA promuje
wojskowy amatorski ruch filmowy.



Organizatorem konkursu był Departament Wychowania i Promocji Obronności MON we współpracy z Dowództwem Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych i Wojskowym Centrum Edukacji Obywatelskiej.

Jaka jest recepta na dobry film? „Najważniejszy jest pomysł i ciekawa historia. Autor musi opowiedzieć nam o zdarzeniu, a nie tylko zarejestrować go kamerą”, radzi filmowcom w mundurach Leszek Boguszewski. „Trzeba szukać indywidualnych bohaterów i pokazać wydarzenia ich oczyma”, dodaje Krzysztof Langda. Tylko tyle... Aż tyle.

Przez wiele lat Ogólnopolski Przegląd Filmów Amatorskich Wojska Polskiego (OPFA) odbywał się w Rzeszowie. Potem miejscem spotkania artystów w mundurach był Sieradz. OPFA 2014 – 27. taki festiwal – został zorganizowany w Klubie Wojskowym 1 Warszawskiej Brygady Pancerniej w Warszawie-Wesołej.

OPFA to przegląd w trzech odsłonach: konkurs fotografii, biennale twórczości plastycznej Wojska Polskiego oraz przegląd amatorskich filmów poświęconych siłom zbrojnym. Tematyka prezentowanych zdjęć, obrazów i filmów nawiązywała do historii polskiego oręża, ale pokazywały one także współczesne oblicze wojska. W konkursach wzięło udział 55 plastyków, którzy nadesłali 92 prace, 38 fotografów – autorów 186 fotografii oraz 27 realizatorów filmowych, którzy nakręcili 19 filmów zakwalifikowanych do pokazu.

Regulamin przewiduje, że w walce o Grand Prix OPFA mogą startować twórcy amatorzy związani z armią, a także miłośnicy filmu i fotografii spoza tego środowiska, których prace łączą się z wojskiem (profesjonaliści są wykluczeni). Dopuszczone są filmy zrealizowane w dowolnej

technice oraz konwencji (np. dokument, fabuła, reportaż, film historyczny, film instruktażowo-szkoleniowy, informacyjny, edukacyjny, eksperymentalny, animowany).

Organizatorem konkursu był Departament Wychowania i Promocji Obronności MON we współpracy z Dowództwem Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych i Wojskowym Centrum Edukacji Obywatelskiej. „Artyści wywodzący się ze środowiska wojskowego w niepowtarzalny sposób dokumentują i przybliżają nam współczesne oblicze Wojska Polskiego i ludzi z nim związanych”, napisał w okolicznościowym wydawnictwie dyrektor DWiPO płk Jerzy Gutowski.

OKIEM KAMERY

Dlaczego wojskowi chwytają za kamerę? „To moja trzecia ręka”, śmieje się st. kpr. Paweł Zieliński z Klubu 22 Bazy Lotnictwa Taktycznego, autor obrazu „5.40’”, który ma na swoim koncie już kilka filmów, a na OPFA 2014 zdobył drugie miejsce. W wojsku można fotografować sceny, o jakie trudno w cywilu.

Także inni filmowcy w mundurach podkreślali, że chcą pokazywać codzienną pracę żołnierzy w trakcie ćwiczeń w polu czy wykonywania innych zadań. Taka była też tematyka zaprezentowanych filmów: ćwiczenia „Steadfast Jazz”, zmagania na spartakiadzie, szkolenie wysokościowe służb mundurowych, szkolenia innych oddziałów czy zawody 6 Brygady Powietrznodesantowej, które wyłaniają najlepszy pluton. Przeważały obrazy współczesne. Niewiele filmów nawiązywało

do historii, jednym z nich był obraz „75. rocznica szarży pod Krojantami” – autor zarejestrował kamerą największą w Polsce inscenizację konnej potyczki wojsk polskich i niemieckich, a zarazem pierwszą szarżę kawaleryjską podczas wojny obronnej we wrześniu 1939 roku.

Taki też jest cel festiwalu: wyłonić filmy, które posłużą jako materiał szkoleniowy i wychowawczy w wojsku. To także promocja tematyki wojskowej wśród twórców spoza środowiska. Najlepsze filmy mają szansę na start w konkursach krajowych i zagranicznych.

Zadaniem jurorów było wybranie filmów, które się wyróżniają nowym podejściem, interesującym ujęciem tematyki, walorami estetycznymi, oryginalnością. Leszek Boguszewski (autor 35 filmów, za które otrzymał 122 nagrody) oraz Krzysztof Langda (operator filmowy, autor zdjęć do ponad 200 filmów) byli wyjątkowo zgodni. Za najlepszy film uznali obraz „Kobieta też morze”, którego autorem był por. mar. Bartłomiej Ciesielski z ORP „Iskra”.

„Większość filmów to były tak zwane wydarzeniówki: z ćwiczeń, jubileuszy, festynów. Nagrodzony obraz przedstawiał kobiety służące w marynarce. Ładne zdjęcia, dobry warsztat, przemysłany temat”, Krzysztof Langda wylicza mocne strony zwycięskiego filmu. „Reżyser opowiedział nam pewną historię, a nie ograniczył się do zarejestrowania kamery jakiegoś wydarzenia”, dodaje Leszek Boguszewski.

„Temat przyszedł do mnie sam”, przyznaje por. mar. Bartłomiej Ciesielski, oficer wychowawczy na okręcie ORP „Heweliusz”. Opowiada, że dziewczyny zaproponowały, aby nakręcił o nich film, gdy jechały na konferencję do Warszawy, na której miały się zaprezentować. Razem z Dagmarą Cierpisz, jedną z bohaterek, nakreślili scenariusz.

„Najważniejszy jest pomysł”, podkreśla Leszek Boguszewski. Jak w filmie „5.40”, którego autorem jest st. kpr. Paweł Zieliński z Klubu 22 Bazy Lotnictwa Taktycznego. Również ten autor mówi o przypadku. Widział wiele rekonstrukcji różnych wydarzeń historycznych i na temat filmu wybrał bitwę pod Mławą we wrześniu 1939 roku, gdy na polach Uniszek Zawadzkich 20 Dywizja Piechoty starła się z nacierającymi oddziałami 3 Armii niemieckiej gen. Kuechlera. „Film nie był jednak tylko rejestracją rekonstrukcji, autor sprawnie przeplótł współczesne obrazy zdjęciami archiwalnymi”, zwraca uwagę Krzysztof Langda.

Trzeci nagrodzony obraz to opowieść o historii i współczesności 3 Brygady Radiotechnicznej. Gdy zbliżała się 40. rocznica powstania tej formacji, dowódca zaproponował, aby sierż. Robert Arbatowski z 8 Batalionu Radiotechnicznego nakręcił na ten temat film. „Zjechałem Polskę wzdłuż i wszerz, bo nasza brygada jest rozrzucona po całym kraju, pełnimy 24-godzinny dyżur, przez cały czas kontrolujemy przestrzeń powietrzną”, opowiada autor filmu „3 Brygada Radiotechniczna”. Wspólnie z oficerem prasowym 3 Brygady kpt. Tomaszem Słotwińskim stworzył scenariusz. Na 11 stronach maszynopisu szczegółowo opisali treść filmu. Z 13,5 godziny nakręconych zdjęć powstał 15-minutowy obraz. „Montaż był ciężki”, przyznaje Robert Arbatowski.

Jurorzy chwalili dobre zdjęcia, robione także z lotu ptaka. Za interesujące uznali pokazanie pracy brygady, bo jak stwierdzili, „wiele się dowiedzieli o codziennej pracy żołnierzy”. Ciekawie opowiedziana historia sprawiła, że oglądali film z zainteresowaniem. ■

K S I A Ź K A

Niczym najemnik

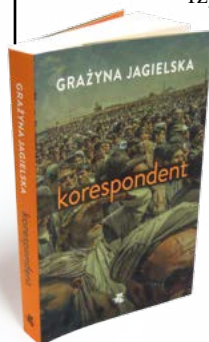
Kiedy dziennikarz sam staje się tematem na pierwsze strony gazet...

Ta opowieść nie ma ani początku, ani końca. Grażyna Jagielska „Korespondentem” uchyla bowiem drzwi do innego świata. Tyle że nie wiemy, kiedy z hukiem zatrzaśnie nam je tuż przed nosem. Czy zatem warto wybierać się w podróż w nieznaną? Zdecydowanie tak, bo taka forma powieści sprawia, że ta historia jest wiarygodna i wciąż czytelnika bez reszty. W czasie lektury czujemy się trochę jak podglądacze, którzy na chwilę zakradli się do cudzego życia. Opowieść nie zaczyna się bowiem razem z pierwszymi wyrazami, ani na ostatnich nie kończy.

I tak przenosimy się w czasie i przestrzeni. Jest rok 1996. Kaszmir. Caroline i Adam Matyasowie próbują dotrzeć do przywódcy powstańców, żeby przeprowadzić z nim wywiad. Nie udaje się, ale dziennikarze wiedzą, że i tak to, co zebrali, zadowoli ich redakcję. „Bez trudu mógłby zrobić z tego materiał na pierwszą stronę, obraz prosty z samych faktów, niemal prawdziwy” – Adam przecież nie od dziś jest reporterem. „Mógłby wykonać tę sztuczkę po raz kolejny i nikt by się nie domyślił, jak niewiele się za tym kryje. Mógłby, gdyby jeszcze chciał”. Adam razem z Caroline w pogoni za newsami przemierzali bowiem świat wzdłuż i wszerz. I nieraz już wracali, podobnie jak dziś, do starej kamienicy w Delhi, gdzie wynajmowali mieszkanie, które – tak samo jak kilka innych miejsc w różnych częściach świata – śmiało mogli nazywać domem. Tym razem było jednak inaczej... Nie powstał kolejny tekst. Nie czekała ich kolejna wspólna reporterska wyprawa. W Adamie coś pękło. Nie zmobilizowały go do działania ponaglenia redakcji, która chciała w ekspresowym tempie wysłać reporterów do Afganistanu, żeby udokumentowali, jak talibowie zajmują Kabul. Nie zainspirowała go też opowieść jednego z lokatorów – najemnika, który na niejednej wojnie sprzedawał swoje usługi. Przy kolejnej szklaneczce whisky pewnego wieczoru wspominał o korespondencie, którego pierwszy raz spotkał w Rwandzie, a ostatni – w Afganistanie. Odtąd francuski dziennikarz przepadł jak kamień w wodę. Tyle że wszelkie sensacje już nie interesują Adama. Pod pretekstem groźby epidemii dżumy nie chce się ruszyć z Delhi, a tak naprawdę zamierza zająć się historią gospodarki, od których wynajmuje mieszkanie. Czy to mistyczny klimat Indii, który zresztą Jagielska znakomicie oddaje, czy wypalenie zawodowe nastroja reportera do refleksji nad życiem? To jedno z wielu pytań, które pojawiają się w powieści. Nie dostajemy na nie jednoznacznych odpowiedzi... ■

ANETA WIŚNIEWSKA

Grażyna Jagielska, „Korespondent”, WAB, 2014



Z A M K I

Krzywa wieża

W Polsce znajdziemy pozostałości unikatowej krzyżackiej twierdzy wodnej.



Widłach Wisły i Wdy około 1335 roku krzyżacy rozpoczęli wznoszenie gotyckiej warowni. Usytuowali ją w miejscu dawnego grodu książąt pomorskich. Wykorzystując dwie rzeki, wybudowali w Świeciu jedyny na terenie swojego państwa prawdziwy zamek wodny, dodatkowo odcięty od lądu fosą. Posadowiono go na sztucznym nasypie, aby zabezpieczyć budowlę przed częstymi powodziąmi.

Na kamiennej podmurówce powstała ceglana budowla na planie kwadratu. Dwa prostopadłe skrzydła łączyły me-

trowej grubości mury, otaczające dziedziniec z krużgankami. Na wysokości kilkunastu metrów mury obiegały strażnicze ganki. Warowni strzegły też cztery potężne okrągłe baszty. Najwyższa z nich, ulokowana od zachodu, liczyła blisko 35 m wysokości i 10 m średnicy. Zamek wysoki otaczało podzámcze chronione murem obwodowym i fosą.

Przez wiele lat warownia pełniła ważną funkcję w państwie Krzyżaków. Była siedzibą komturów, którzy zarządzali okręgami, z niej kontrolowano ruch na Wiśle. Tutaj także przed bitwą grunwaldzką koncentrowały się siły

armii zakonu. O tym, jak dobrze warownia była ufortyfikowana, świadczy nieudany szturm polskich wojsk po bitwie pod Grunwaldem.

Podczas wojny trzynastoletniej zamek przechodził kilkakrotnie z rąk do rąk. Ostatecznie, w połowie XV wieku, został zdobyty przez opowiadające się po polskiej stronie oddziały Związku Pruskiego, a po pokoju toruńskim w 1466 roku przypadł Polsce. Najpierw był własnością władz Torunia, a potem siedzibą starostów królewskich.

Jeden z nich, kasztelan chełmiński Jerzy Konopacki, po wielkiej powodzi w 1540 roku, która naruszyła fundamenty, przebudował zamek w stylu renesansowym. Niestety, 100 lat później szwedzkie wojska zdobyły i spaliły Świecie. Choć warownia nie została odbudowana, to aż do pierwszego rozbioru Polski nadal mieściły się w niej różne urzędy.

Dopiero władze pruskie położyły kres średniowiecznej fortyfikacji. Za ich zgodą zaczęto rozbiórkę zamku na materiał budowlany. Z cegieł ze Świecia wzniesiono wiele okolicznych budynków, a w opuszczonych murach warowni urządzono magazyny.

Pierwsze prace remontowe zaczęto prowadzić w połowie XIX wieku. W okresie dwudziestolecia międzywojennego na zamkowej wieży Wydział Dróg Wodnych założył punkt obserwacji przeciwpowodziowej, a nieopodal budowli powstała restauracja. Remont zakończono jednak dopiero po II wojnie światowej. Ruinę odgruzowano, część murów nadbudowano, położono dach i całość przystosowano do zwiedzania. Od sześciu lat zamek jest uznany za obszar chroniony z powodu zimowania w jego piwnicach nietoperza mopka.

Dziś warownia jest własnością Ośrodka Kultury, Sportu i Rekreacji

K S I A Ź K A

Apokalipsa według Majki

Zmienia się świat, ale nie ludzie.

Kraków, rok 2033. Po spustoszonej wybuchami nuklearnymi starym świecie nie zostało już prawie nic. Stary porządek zastąpiła nowa rzeczywistość, łaskawa tylko

dla najsilniejszych osobników, które dzięki mutacjom zdołały przystosować się do nietypowych warunków. W wielkim chaosie, wśród ruin miasta, żyją jeszcze ludzie. Duża grupa ocalałych



zamieszkuje podziemne schrony Nowej Huty. Niektórzy, wychowani tam od urodzenia, nigdy nie byli na powierzchni. Gdy sytuacja zmusza dwoje nastolatków, Ewę i Marcina, do wyjścia na zewnątrz, nie mogą się odnaleźć w zupełnie nieznanym świecie. Gdyby nie pomoc Wesołego, z pewnością by nie przeżyli. Razem z nim wyruszają w niebezpieczną podróż po zniszczonym mieście, klucząc

➔ **Vademecum**

Świecie leży 50 km od Torunia. Dojedziemy tu pociągiem lub autobusem z Bydgoszczy, Torunia czy Grudziądz. Dla zmotoryzowanych przy zamku jest darmowy parking. Budowlę można zwiedzać codziennie od 1 maja do 30 września w godzinach 10.00–17.00. Poza sezonem, po wcześniejszym uzgodnieniu, dla większych grup są organizowane wycieczki. Wstęp kosztuje 5 zł. W każdej chwili można też udać się na wirtualny spacer po zamku dzięki stronie www.swieczamek.pl. W podziemiach obejrzymy ekspozycje replik zbroi i broni rycerskiej oraz izbę tortur, a na dziedzińcu dwie maszyny oblężnicze. Na zamku organizowane są koncerty, wystawy, przegląd filmów grozy i Festiwal Mocnych Brzmień, a także inscenizacje historyczne w wykonaniu bractwa rycerskiego. Koniecznie trzeba też wspiąć się na wieżę i obejrzeć z niej panoramę doliny Wisły. Zanocować można w gospodarstwach agroturystycznych, a latem na kempingu pod zamkiem.

w Świeciu. Zwiedzający ją turyści mogą podziwiać zachowane skrzydło północne – za czasów krzyżackich mieściły się tam kapitularz oraz kaplica – pozostałości narożnej wieży północno-wschodniej oraz główną basztę. Z powodu osiadania gruntu wieża przechyla się od pionu, teraz o ponad metr. W ten sposób stała się najwyższą krzywą wieżą w Polsce, na której szczyt mogą wejść turyści. ■

ANNA DĄBROWSKA

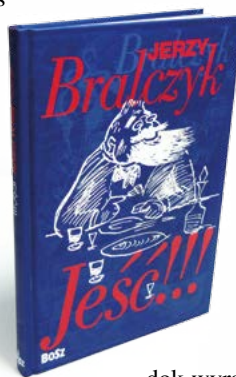
między ludzkimi enklawami i siedzibami zmutowanych gatunków. Nie wiedzą jeszcze, że ten całkiem nowy świat, który ledwie powstał, niedługo może też się skończyć...

Świetna powieść Pawła Majki „Dzielnica obiecana” jest częścią większego projektu „Uniwersum Metro 2033”, dobrze znanego wielbicielom literatury poapokaliptycznej. Jego twórcą jest rosyjski pisarz Dmitry Glukhovsky, autor bestsellerów „Metro

K S I A Ż K A

Smaczne słowa

Czy można połączyć rozmowę o jedzeniu z edukacją językową? Można, pod warunkiem że robi to Jerzy Bralczyk, wybitny językoznawca, gawędziarz i... smakosz. Uczynił to w znakomitej książce, pięknie wydanym leksykonie pod intrygującym tytułem „Jeść!!!”. Czy to nie jest jedno z najczęściej przez nas wymawianych słów? Autor w niebanalny i pełen uroku sposób opowiada o pochodzeniu wyrazów mających związek z jedzeniem – nazywających czy to rozmaite produkty spożywcze, czy przedmioty. Dużo tu zabawy słowem, anegdot, ale i ważnych informacji. Bo też nie tylko o jedzenie w tej książce chodzi. Autor przekazuje czytelnikowi sporą dawkę wiedzy o języku, o pochodzeniu wyrazów, nie zawsze oczywistym, którymi posługujemy się na co dzień, o tym, jak czasami



TYLKO MLECZNA MARGARYNA ZROBI Z CIEBIE GAGARINA

dok wyrazu „słodczyce”. Szumi w głowie od koniaku. Pełno jest też smaków dzieciństwa. Całość uzupełniają naprawdę piękne ilustracje. ■

RENATA GROMSKA

W Y S T A W A

Święta w niewoli

WLubuskim Muzeum Wojskowym można obejrzeć naprawdę niezwykłą ekspozycję. Prezentowane są na niej pamiętki z czasów II wojny światowej, związane ze świętami Bożego Narodzenia, kartki i listy ze Starobielska, z obozu dla internowanych w Szwajca-

rii, zdjęcia uwieczniające spędzane w niewoli wigilie czy wystawiane przez jeńców jasełka, a także karnety na spotkania noworoczne. Wystawę zorganizowano we współpracy z Centralnym Muzeum Obozów Jenieckich w Łambinowicach, z którego zbiorów pochodzą ekspozyty. ■

Wystawa „Święta w obozach jenieckich”, Lubuskie Muzeum Wojskowe w Drzonowie; Drzonów 54, 66-008 Świdnica.

JOANNA ROCHOWICZ

Paweł Majka, „Dzielnica obiecana”, Insignis 2014

2033” i „Metro 2034”. Zaprosił on do współpracy młodych twórców z różnych krajów, którzy – trzymając się jego wskazówek i ustalonych zasad – przedstawiają własną wizję świata po zagładzie. Majka jest pierwszym polskim autorem w projekcie, wszedł jednak w Uniwersum mocnym uderzeniem. W mikroświecie, który stworzył na terytorium Krakowa, zmieniło się wszystko oprócz ludzi – wciąż chcą oni budować nową rzeczywistość we-

dług starych zasad. Ci, którzy mają władzę, czerpią przy tym z tradycji głównie to, co najgorsze: tworzą struktury, opierając się na kłamstwie i zdradzie – broni równie skutecznej, co używane powszechnie proce i łuki. Mało optymistyczna wizja końca naszej cywilizacji. ■



Ramita Navai, „Miasto kłamstw. Cała prawda o Teheranie”, Prószyński i S-ka, 2014

K S I A Ż K A

Podwójne oblicze

Codienne życie w metropolii

Wyjaśnijmy sobie jedno: Aby żyć w Teheranie, musisz kłamać – tak Ramita Navai wprowadza czytelników w świat swoich bohaterów, mieszkańców tego miasta. Każdy z nich na swój sposób walczy o przetrwanie – jedni buntują się przeciw własnej kulturze i religii, żeby odnaleźć wolność, inni wręcz przeciwnie – próbują, w zgodzie z tradycją, odnaleźć swoje miejsce w świecie, którego już nie rozumieją. Brzmi trochę jak banał, ale w książce Navai nie ma nic banalnego. Ludzie, którzy

zainspirowali ją do stworzenia bohaterów „Miasta kłamstw” byli prawdziwi, a ich przeżycia, mimo że wydają się nieprawdopodobne, to zbiór doświadczeń wielu mieszkańców Teheranu. Gangsterzy, prostytutki, transseksualiści, rewolucjoniści, narkomani, terroryści walczący w imię Allaha – każdy z nich wchłonięty został przez to miasto, w którym czasy minispódniczek i otwartych do późna barów sprzed rewolucji miesza się z czasami czadorów i ochotniczych straży dbających o moralność. Każdy z bo-

haterów trawi rzeczywistość po swojemu, buntując się lub poddając temu, co go otacza. I każdy musi kłamać, żeby ta rzeczywistość go nie pożarła. Jak przekonuje autorka, „kłamstwa to przede wszystkim konsekwencja dążenia do przetrwania w warunkach ucisku, pod rządami reżimu przypisującego sobie prawo do ingerencji w nawet najbardziej intymne sprawy swoich obywateli”.

Sam Teheran, rozciągnięty wzdłuż Wali Asr – głównej arterii i najdłuższej ulicy na Bliskim Wschodzie, tkwi na dwóch biegunach rzeczywistości, zarówno w czasie, jak i przestrzeni. Wali Asr łączy bardziej nowoczesną, północną część miasta z tradycyjną i biedniejszą południową. Wciśnięte między centra handlowe kramy należące do „baazari” przypominają o tradycyjnym Teheranie. Z drugiej strony, patrząc na pozostałe, gdzieś tam pamiętające jeszcze lata siedemdziesiąte, bary, starsi mieszkańcy wspominają okres sprzed rewolucji, kiedy można było spędzić tam czas w miłym towarzystwie, z kieliszkiem wina.

Ramita Navai jest dziennikarką irańskiego pochodzenia. Pracowała między innymi dla „The Timesa”, pisała również raporty dla ONZ. Przesłanie jej książki jest bardzo proste: „Mam nadzieję, że nawet najbardziej dramatyczne historie zawarte w tej książce pozwolą człowiekowi z zewnątrz zrozumieć, jak wygląda codzienne życie w tej metropolii zamieszkałej przez ponad dwanaście milionów ludzi”. ■

JOANNA ROCHOWICZ

K S I A Ż K A

Nie przegrać życia

Ze 132 tys. kobiet kilkudziesięciu narodowości zginęły 92 tys. Z 40 tys. Polek przeżyło 8 tys.

Ta niewielka, licząca zaledwie 200 stron, książka jest zapisem rozmowy, którą dziennikarz Dariusz Zaborek przeprowadził z lekarką pulmonologiem i anestezjologiem Alicją Gawlikowską-Świerczyńską, była więźniarką

obozu w Ravensbrück. Dziś ma ona 92 lata, mieszka sama, nadal pracuje, działa też w klubie kobiet, które przeżyły obóz. Ta niezwykła osoba, pogodna, ciepła, niesamowicie ambitna i pracowita, opowiada o swoim życiu w wojennej Warszawie, konspiracji, uwięzieniu na Pawiaku i wreszcie długich latach w Ravensbrück, gdzie dzieliła los między innymi z malarką Mają Berezowską. Nie ma jednak w tej książce patosu, epatowania

doświadczeniem obozowym. Chwilami bohaterka wręcz szokuje, kiedy wspomina lata spędzone w Ravensbrück, tym jak wiele radości umiała odnaleźć nawet w dramatycznych okolicznościach. To przede wszystkim opowieść o tym, jak się nie poddawać, jak zachować godność w każdej sytuacji, jak nie przegrać życia, jak liczyć się odwagą i podążanie własną drogą. To także hołd złożony tym, którzy nie doczekali wolności. ■

RENATA GROMSKA

Alicja Gawlikowska-Świerczyńska, „Czesalam ciepłe króliki”, Czarne 2014



18 tys.
dziecitrafiło
do Lebensbornu

K S I A Ź K A

Piętno Lebensbornu

Splodzone dla Führera, porzucone przez rodziców,
porwane, poddane selekcji...

Olaf jest synem zagorzałych nazistów. Matka z dumą opowiadała chłopcu o idealnych warunkach, w jakich dorastał. Wpajała mu, że gdyby nie koniec wojny, to czekałaby go świetlana przyszłość.

Hannelise została porzucona przez swoich rodziców. Trafiła do rodziny zastępczej, w której była molestowana i szykanowana, więc na własną prośbę trafiła do domu dziecka. Minęło wiele lat, zanim ze strzępów informacji składała historię swojego dzieciństwa.

Barbara urodziła się w Gdyni, ale gdy umarła jej matka, zamieszkała z babcią w Łodzi, centrum „polityki germanizacyjnej”. Dziewczynkę wkrótce zabrano do domu dziecka, aby później oddać na wychowanie niemieckiej rodzinie. Kiedy zżyła się z przybranymi rodzicami, musiała wrócić do Polski. Tyle że tu, po latach, nikt z krewnych jej nie chciał.

Sigune Imma to imię rodem ze średniowiecznego eposu o Parsifalu. Znany lekarz wojskowy i jego żona tak też nazwali swoje drugie dziecko. Nie bez powodu. Miała być córką idealną, na miarę „rasy panów”. Los chciał inaczej. Dziewczynka urodziła się z zespołem Downa, więc – tak jak

inne chore bądź upośledzone niemowlęta – została zamordowana.

To bohaterowie zaledwie czterech z dwudziestu opowieści przedstawionych w książce „Dzieci Hitlera...”. A takich historii można by przytoczyć **nawet 18 tys.**, czyli tyle, ile dzieci trafiło do Lebensbornu. Niektórzy jednak do dziś nie wiedzą, że jako niemowlęta dostali się w tryby wymyślonej przez Himmlera maszyny SS, mającej na celu stworzenie nowego pokolenia „rasy panów”. Część ofiar ciągle szuka odpowiedzi na pytanie, skąd pochodzą i kim są. Inni natomiast nie chcą wracać do przeszłości. Dziś już siedemdziesięcioletkowie boją się, że tracą szacunek, gdy ujawnią, kim byli ich rodzice.

Kilkanaście osób zdecydowało się jednak opowiedzieć o poszukiwaniach własnej tożsamości. U wszystkich Lebensborn pozostawił ślady. Ich historie burzą wiele mitów, które narosły wokół tej organizacji.

ANETA WIŚNIEWSKA

Dorothee Schmitz-Köster, Tristan Vankann, „Dzieci Hitlera. Losy urodzonych w Lebensborn”, Prószyński i S-ka, 2014

K S I A Ź K A

Blizny pamięci

To przepięknie opowiedziana historia pisarza intelektualisty, wrażliwego człowieka, odważnie idącego przez życie własną drogą.

Autor kilku powieści i scenariuszy filmowych (m.in. „Dym”, „Lulu na moście”) pisze, jak sam twierdzi, stale tę samą książkę, „Dziennik zimowy” wbrew tytułowi jest raczej pamiętnikiem, złożoną z fragmentów opowieści o życiu Paula Austera od czasów dzieciństwa po wiek dojrzały. A książka powstała, gdy autor miał 64 lata. Stąd jej tytuł, odnoszący się do wkraczania w zimowy okres życia. Z tej perspektywy Auster spogląda na siebie w różnych etapach życia. Często przeskakuje w czasie, sięga do zdarzeń z odległej przeszłości, by za chwilę powrócić do dorosłego życia. Swoje wspomnienia snuje poprzez doświadczenia ciała. Owa cielesność jest tu niezwykle istotna. Ciało i intelekt są bowiem dla Austera jednością. I nie chodzi wyłącznie o seksualność, która odgrywa w jego życiu niezwykle istotną rolę, lecz także o choroby, fizyczne cierpienie, blizny na twarzy. „Za każdym razem, gdy stajesz na jakimś rozdrożu, ciało odmawia ci posłuszeństwa, bo wie coś, czego nie wie twój umysł, ale nie potrafi sobie z tą wiedzą poradzić i po prostu się załamuje”.

To przepięknie opowiedziana historia pisarza intelektualisty, wrażliwego człowieka, odważnie idącego przez życie własną drogą, który doświadcza, z jednej strony, silnych stanów lękowych, między innymi związanych z utratą rodziców, a z drugiej – miłości, chciałoby się powiedzieć, absolutnej. Przez te wszystkie doświadczenia i sposób, w jaki autor o nich pisze, ta książka jest jak lustro, w którym się przeglądamy i odnajdujemy siebie, ponieważ zawarte tu prawdy są uniwersalne.

RENATA GROMSKA



Paul Auster, „Dziennik zimowy”, Znak, 2014



WOJSKOWY INSTYTUT MEDYCZNY

Military Institute of Medicine

WARSZTATY Z MEDYCYNY RATUNKOWEJ

Oferta na 2015 r. Zakładu Medycyny Pola Walki WIM



ZESPÓŁ URAZOWY

Doświadczenia leczenia ofiar ciężkich urazów w praktyce SOR i CU. Organizacja pracy zespołu urazowego. Wczesna diagnostyka obrażeń. Procedury wykonywane w trybie ratunkowym (damage control). Agresywne leczenie wstrząsu krwotocznego i innych potencjalnie odwracalnych przyczyn zgonów. Ćwiczenia oparte na symulacji prawdziwych przypadków.

TAKTYCZNO-EWAKUACYJNE RATOWNICTWO MEDYCZNE

Aktualne wytyczne taktyczno-bojowej opieki nad poszkodowanym (TCCC). Najnowsze trendy w opiece przedszpitalnej (Combat Trauma System). Taktyka działań ratowniczych i sposoby ewakuacji. Rozbudowana część praktyczna – jeden dzień na poligonie.

USG W PRAKTYCE TRAUMAROOM

Wykorzystanie ultrasonografii w praktyce urazów i nagłych stanów zagrożenia życia. Szerokie stosowanie protokołów badania USG jako point-of-care do wspomagania decyzji diagnostycznych i terapeutycznych, dla oceny hemodynamicznej serca (FATE), niewydolności oddechowej (BLUE), kompleksowej oceny pacjenta po urazie wielonarządowym (e-FAST, FASTER, FAST-ABCDE, RUSH) oraz oceny ciśnienia śródczaszkowego (ONSD) i USG transkranialnego w urazach głowy.

POSTĘPOWANIE W ZDARZENIU MASOWYM

Postępowanie w zdarzeniach masowych (MASCAL). Zakres czynności osób funkcyjnych i elementy wpływające na efektywną pracę w zespole. Zajęcia warsztatowe oparte na analizie rzeczywistych przypadków. Symulacja procedur segregacyjnych i działań ratowniczych w zdarzeniu masowym.

POSTĘPOWANIE PRZEDSZPITALNE W OBRAŻENIACH CIAŁA

Zasady podejmowania krytycznych decyzji i działań medycznych, algorytmów postępowania oraz priorytetów podczas zaopatrywania obrażeń. Zajęcia praktyczne: techniki ratownicze w opiece przedszpitalnej – doświadczenia środowiska taktycznego.

RESUSCYTACJA PŁYNOWA W URAZACH

Specjalistyczna intensywne terapia płynami i preparatami krwi. Uzyskiwanie dostępow naczyniowych i doszpikowych u pacjentów pourazowych.

WENTYLACJA I TRUDNE DROGI ODDECHOWE W SOR

Techniki oceny wydolności układu oddechowego. Wspomaganie nieinwazyjne i prowadzenie wentylacji w działaniach ratunkowych. Postępowanie ratunkowe w sytuacji opieki nad pacjentami z tzw. trudnymi drogami oddechowymi.





Hit TVP Historia!

W styczniowe soboty o godz. 21 zapraszamy na pięcioodcinkowy cykl przedstawiający miejsca, które odegrały ważną rolę w historii naszego kraju.

Premiera odbędzie się 3 stycznia o godz. 21. „»Sensacje XX wieku« czy »Encyklopedia II Wojny Światowej« cieszą się niezmiennym zainteresowaniem widzów TVP Historia, dlatego nowy rok postanowiliśmy zacząć od najlepszych życzeń dla naszych widzów i... nowego programu Bogusława Wołoszańskiego. Jak zwykle, będą w nim histo-

ryczne ciekawostki oraz duża dawka rzetelnej i ciekawej wiedzy”, mówi dyrektor TVP Historia dr Tadeusz Doroszuk.

Odcinki pt. „Bastion” (cz. 1 i 2) – realizowane w Kołobrzegu, Rogowie oraz Pobierowie – opowiadają o historii fortyfikacji polskiego wybrzeża. Opuszczone bunkry w Pobierowie, unikatowe zbiory muzeum w Rogowie (samolot

Lim-2, czołg Sherman, wyrzutnia raketowa) pozwolą przedstawić przełomowy czas historii XX wieku. Kolejne odcinki, pt. „Magazyn śmierci” (cz. 1 i 2), zostały zrealizowane w Rogowie, Dobrowie, Świnoujściu, Peenemünde oraz w Warszawie. Armia Radziecka pozostawiła w Dobrowie magazyny głowic i bomb nuklearnych wybudowane w końcu lat sześćdziesiątych XX wieku przez nasze wojsko i oddane Armii Radzieckiej. Zachowane w doskonałym stanie pozwalają, przy udziale grup rekonstrukcyjnych, pojazdów wojskowych, w tym wyrzutni rakietowej Scud, przedstawić plany i przygotowania do wojny nuklearnej.

W ostatnim odcinku, pt. „Bóg wojny” (realizacja w Warszawie i Pobierowie), zostanie zaprezentowana historia unikatowego czołgu FT-17, nazywanego bogiem wojny. Obecnie jest on eksponatem Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Historia powstania czołgu FT-17 w niezwykle sposób łączy się z wielką historią wojny polsko-bolszewickiej. ■

3 stycznia, godz. 21.00

TVP
HISTORIA

Moulin Rouge

Najsławniejszy kabaret na świecie.

Moulin Rouge, czyli Czerwony Młyn, to najślawniejszy na świecie kabaret. Słynie z wyróżniających się urodą i wspaniałymi strojami tancerek. Film jest zapisem życia kabaretu

od kulis. Składa się z wypowiedzi pracowników: tancerek, trenerów zwierząt, choreografów, reżyserów, a nawet kucharzy. Możemy oglądać pracownie krawieckie, perukarskie i garderoby, w których wiszą wspaniałe i drogie ubiory. Kankan, który się tu narodził, tańczony jest do dziś i stanowi kulminacyjny punkt programu. Interesujące. ■

31 grudnia, godz. 00.15

TVP
HISTORIA

Kalendarium historyczne

Człowiek Świętego Imienia

Legenda o działalności Romualda Traugutta ewoluowała w literaturze i tradycji polskiej. Dla Elizy Orzeszkowej był herosem walki o sprawę narodową. W okresie międzywojennym otaczano go kultem i kreowano na duchowego przewodnika marszałka Piłsudskiego. W Polsce Ludowej przedstawiano jako bojownika walczącego o wyzwolenie

społeczne i narodowe – w tej właśnie kolejności. W książce „Kompleks polski” Tadeusza Konwickiego jest człowiekiem, który nie tylko nie był bohaterem, ale nawet nie chciał nim zostać. Głównym celem audycji dokumentalnej jest przybliżenie sylwetki bohatera narodowego, w gruncie rzeczy mało znanego. ■

22 stycznia, godz. 18.10

TVP
HISTORIA

Rok 1863

Kulisy powstania styczniowego



Film dokumentalny poświęcony powstaniu styczniowemu z 1863 roku. Przedstawia sytuację ziem polskich przed jego wybuchem, przebieg oraz skutki drugiego w XIX wieku zrywu narodowowyzwoleńczego. Jaki on był? Nieprzemyślany, niepotrzebny, niezaplanowany czy realistyczny, z szansą na powodzenie? Kim byli główni inspiratorzy powstania styczniowego? Młodzi idealisci czy konserwatywni działacze polityczni, dążący do ugody i spokojnego życia? ■

22 stycznia, godz. 21.25



JERZY
EISLER

Ognisty łuk

Siedemdziesięciolecie zwycięstwa aliantów nad Trzecią Rzeszą postanowiłem zaznaczyć, przypominając na łamach „Polski Zbrojnej”, zrealizowany z największym w dziejach światowego kina rozmachem, radziecki pięcioczęściowy (w sumie blisko dziewięć godzin projekcji) film Jurija Ozierowa „Wyzwolenie”. W jego produkcję w rozmaity sposób były zaangażowane kinematografie kilkunastu państw, w tym Polski. Nie można się więc dziwić, że do dziś „Wyzwolenie” pozostaje jednym z najdroższych obrazów w dziejach kina – rozmachem inscenizacyjnym z pewnością porównywalnym z największymi produkcjami hollywoodzkimi, przy czym, w odróżnieniu od twórców amerykańskich, radzieccy realizatorzy w praktyce nie musieli liczyć się z żadnymi finansowymi czy technicznymi ograniczeniami. W zdjęciach plenerowych brały udział tysiące żołnierzy z Moskiewskiego, Kijowskiego czy Zakarpackiego Okręgu Wojskowego.

Pierwsza część, zatytułowana „Ognisty łuk”, opowiada o największej w dziejach ludzkości bitwie pancernej, do której doszło latem 1943 roku na Łuku Kurskim. Zwycięstwo Armii Czerwonej ukazano w dwojaki sposób: z jednej strony, za pomocą stosowanych na szeroką skalę panoramicznych zdjęć lotniczych, z drugiej – z tak zwanej żabiej perspektywy, to znaczy z optyki walczących, nierzadko wręcz i z niebywałą determinacją żołnierzy. Na planie filmowym, czyli na rozległym stepowym poligonie, zgromadzono kilkaset najróżniejszych pojazdów, w tym ponad 100 czołgów rozmaitych typów. W najdalszych planach, żeby tylko stworzyć wrażenie ogromnej liczby wozów, wykorzystano nawet służące wówczas w Armii Radzieckiej, a wyprodukowane 20 lat po II wojnie światowej, T-54. Do zbliżeń użyto jednak prawdziwych T-34 z lat wojny, a także wyprodukowanych specjalnie na potrzeby tego filmu w końcu lat sześćdziesiątych w radzieckich fabrykach zbrojeniowych replik niemieckich tygrysów, panter i ferdynandów.

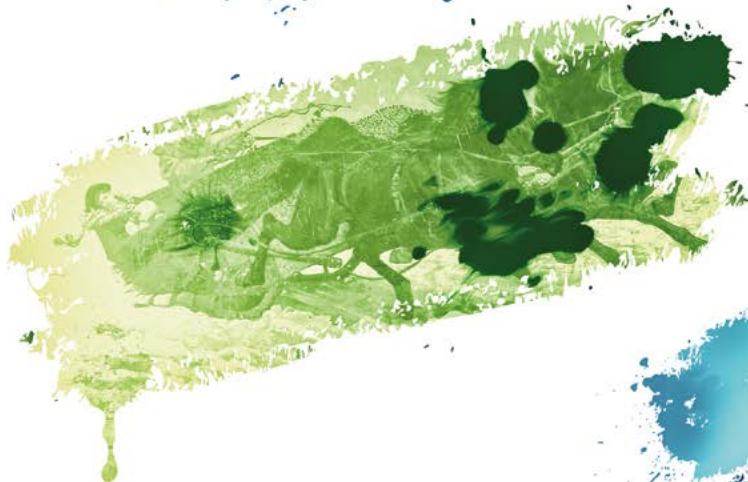
Niewiele widziałem w życiu porównywalnych scen batalistycznych, a wszystko to sfilmowano w kolorach, na szerokiej taśmie 70 mm i w latach siedemdziesiątych pokazywano ze stereofonicznym dźwiękiem na ogromnym (jednym z pierwszych w Polsce) wklęsłym ekranie w stołecznym kinie Relax. W tym monumentalnym dziele na znaczną skalę wykorzystano też archiwalne materiały filmowe, wmontowywane między innymi we fragmentach opowiadających o wydarzeniach mających miejsce poza Związkiem Radzieckim.

Znamienne było to, że akcja tej superprodukcji rozpoczynała się wiosną 1943 roku, a więc jej twórcy świadomie pominęli okres radzieckich klęsk w ciągu dwóch pierwszych lat wojny z Niemcami, a także krwawo okupione zwycięstwo pod Stalingradem. Film miał bowiem poświadczać propagandową tezę, że decydującą rolę w zwycięstwie nad Niemcami odegrała Armia Czerwona, niosąca Europie tytułowe „wyzwolenie”, które w praktyce nierzadko oznaczało jednak zamianę jednej okupacji drugą. ■

DO DZIŚ „WYZWOLENIE”
POZOSTAJE JEDNYM
Z NAJDROŻSZYCH
FILMÓW
W DZIEJACH KINA.



PROFESOR JERZY EISLER JEST
HISTORYKIEM, DYREKTOREM ODDZIAŁU IPN
W WARSZAWIE I KIEROWNIKIEM ZAKŁADU
BADAŃ NAD DZIEJAMI POLSKI PO 1945 ROKU
W INSTYTUCIE HISTORII PAN.



Fundacja „Nikt Nie Zostaje” we współpracy z instytucjami Ministerstwa Obrony Narodowej oraz Departamentem Szkolnictwa Artystycznego i Edukacji Kulturalnej Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego organizuje

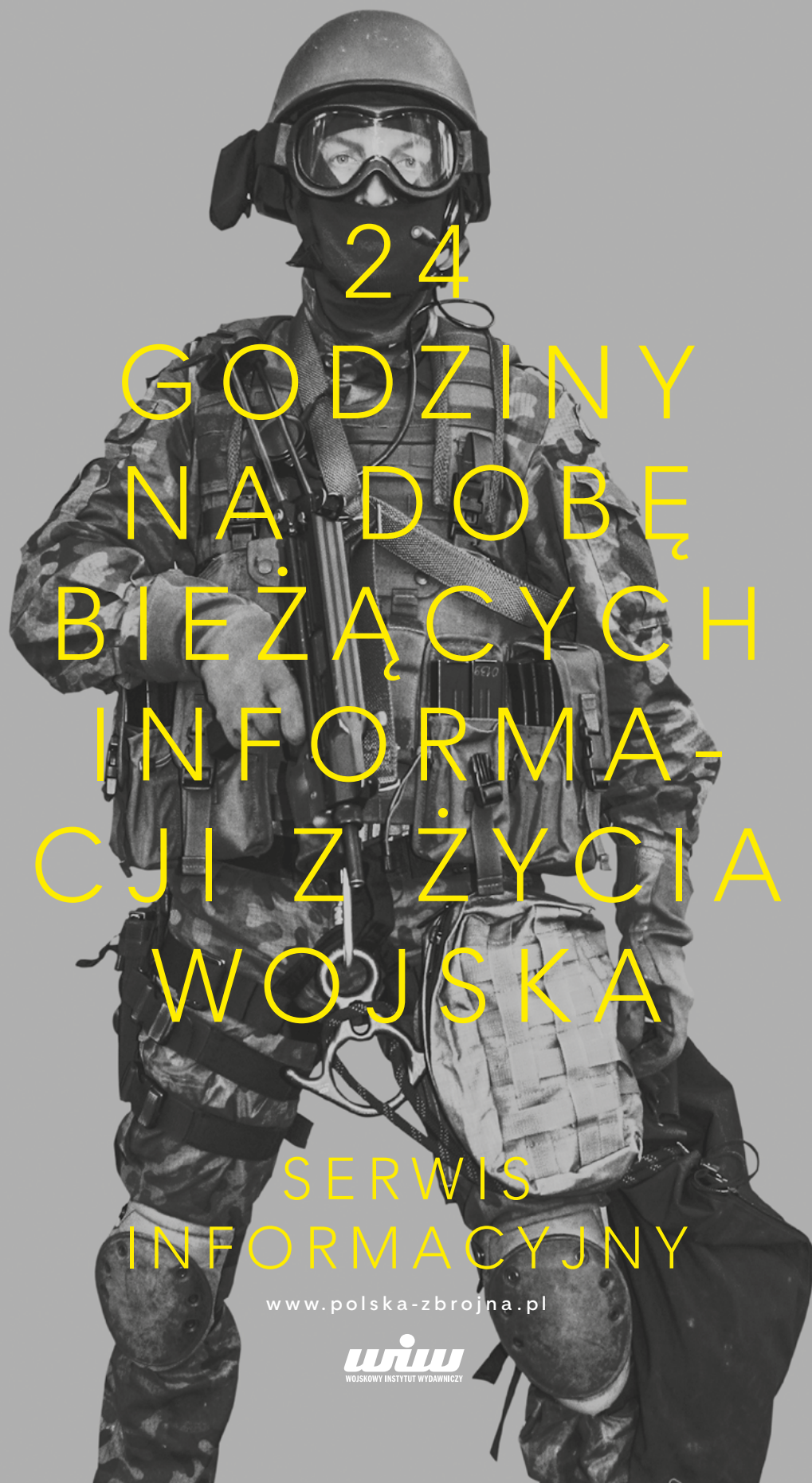
Warsztaty Plastyczno-Fotograficzne „Śladami Józefa Chełmońskiego”,
które odbędą się od 28 maja do 6 czerwca 2015 roku w Domu Pracy Twórczej w Radziejowicach.

Warsztaty mają na celu podniesienie poziomu kompetencji artystycznych i twórczych środowiska weteranów i ich rodzin. Celem projektu jest także integracja i ponowna adaptacja uczestników w społeczeństwie.

Warsztaty są skierowane do osób, które doświadczały traumatycznych sytuacji, wykonując zadania na rzecz bezpieczeństwa państwa poza jego granicami. W projekcie przewidziano udział 45 osób – spośród weteranów, którzy powrócili z misji, oraz rodzin żołnierzy tam poległych.

Więcej informacji o warsztatach oraz sposobie naboru do udziału w nich można znaleźć na stronie www.niktniezostaje.net.pl

POLSKA-ZBROJNA.PL



24

GODZINY
NA DOBĘ
BIEŻĄCYCH
INFORMA-
CJI ŻYCIA
WOJSKA

SERWIS
INFORMACYJNY

www.polska-zbrojna.pl

wiw
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY